



POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

Tom sześćdziesiąty szósty.



Na Królewskim Dworze.

(CZASY WŁADYSŁAWA IV).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

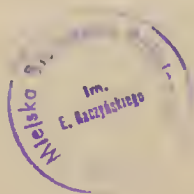
TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1891.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Марта 1891 года.



Друк Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Nowolipki Nr 9.

I.

Bielecki z zamku powracający w parę dni potem przyniósł dla p. Lasoty i niespodziewaną i niezbyt miłą wiadomość, że kanclerz się z nim widzieć potrzebował.

— Oho! — rzekł w duchu Plaza do siebie — ani chybi, że mnie ztąd chcą wyprawić, a z Bietką jeszcze ani wiem co pocznę!

Dzień i noc dręczył się tem, zmieniony do niepoznania. Życie wprzód było mu dość obojętnem, bo epilog jego odegrywał się jeszcze, z pewną ciekawością nawpół rozbudzoną przybył do Warszawy, między tych, których niegdyś swymi nazywał. Tu naprzód począł się w nim dawny człowiek odradzać i odmładzać, potem przyszło znalezienie dziecięcia, i zdawało mu się, że nanowo żyć musi, zapominając o swej kożaczkiej przeszłości. Tymczasem ona, jak grzech, czy cnota ludzkiego żywota, ciążyła na nim. Wymazać jej nie mógł z rachunku, wkładała mu ona pęta na ręce.

Nie szczędziłby ofiar pewnie, aby się wyswobodzić i całkiem dziecku poświęcić, ale tu innej nie starczyło, tylko całkowitego oddania siebie samego.

Był kosзовym bratem i sługą, a kozactwo, jak często wybranego atamanem batka, gdy odmawiał

przyjęcia urzędu, zabijało na miejscu, tak każdego co się wkupił do tego ich zakonu prześladowało jako zdrajcę, gdy chciał się wyrwać na swobodę. A, jak Parfen powiadał, kozacy długie ręce mieli.

Jechać znowu na Niż sam dla siebie potrzebował Płaza koniecznie, powrócić ztamtąd było największą trudnością. Czy go wysłać powtórnie zechcą, za to ręczyć nie mógł. Parfen dozorujący zdaleka nie bardzo był kontent z niego. Wprawdzie ukrywał dobrze kozactwo swe i poselstwo, ale nadto się zżył z lachami, i Parfen go widywał chodzącym często do księdza i kościoła.

— Lach taki zawsze lachem — mówił sobie — ze swej skóry się nie wywlecze, to darmo.

Posłuchanie u kanclerza naznaczone było na ranek następny, miał się więc czas przysposobić do niego Płaza, i poszedł naprzód do przyjaciela Stoczka, bo przed nim jednym tylko mógł się całkiem szczerze wypowiadać i poradzić co dalej?

Ks. Stoczek niezawsze mu dał radę taką, za którą pójść otwarcie było można, ale wskazywał drogę, uspokajał sumienie. Teraz zaś ksiądz mu był nieodzownie potrzebnym. Po namysłach wielu postanowił jemu opiekę powierzyć zwierzchnią nad córką i pieńniadze; jakie przywiózł, złożyć u niego na wypadek wszelki dla Bietki.

Nie łudził się bowiem — podróż była długa, niebardzo bezpieczna, powrót wątpliwy. Samo odkopywanie skarbu i wyprowadzenie go z Siczy tak, aby tego niedostrzeżono i nie powzięto podejrzeń, dosyć było trudnem. Płaza przebiegłym bardzo nie był, a często gwałtowny, choć już przytępiony wiekiem, temperament go zdradzał. W Siczy miał-ci przyjaćiół, ale daleko więcej zazdrosnych i niechętnych.

Było więc o czem rozmyślać. Powołanie do kanclerza nie mogło nic innego oznaczać nad odprawę.

Tegoż dnia idąc na zamek do córki, z którą się

widzieć chciał conajprędzej, spotkał Parfena, czatującego około Bernardynów.

— A co batku? niema tam nowego dla nas nic?— zapytał go kozak.

— Owszem—rzekł Płaza—jutro mi kazano u kanclerza być, a że jemum listy oddawał, nie chybi, że mi odpowiedź przysposobili, z którą zaraz napowrót pojadę.

Z rodzajem niedowierzania i zdumienia popatrzał Parfen na niego.

— Hel hel—rzekł—pojedziecie napowrót do Siczy! Al jak ja wam zazdroszczę! Ja tu już usycham i ginę. Prawda, u księcia Ostrońskiego kozaczyzny jest dosyć, ale to nie naszal niema do kogo słowa huknąć, trzeba się oglądać, aby kto nie podsłuchał. Wolnego kozaka tu, prócz was i mnie, niema więcej. A mnie tu jak przykutego trzymają.

Posmutniał Parfen.

— Z czemże oni was nazad odprawia? — dodał — ze świstkiem papieru, którym chyba nabój przybić w rusznicy, bo hroszy niema.

Rozrzucił ręce szeroko i śmiał się.

— Bóg z nami — dodał cicho — gdyby nasz skarb i ich obliczyć, pokazałoby się, że u nas groszy więcej niż u nich, ale też jak oni tu je garściami rzucają za okna! Boże zlituj się, wszystek pieniądz za granicę wędruje. Wina siła piją, bo im ani kwas, ani piwo nie smakuje, ani nawet gorzałka, choć gorzałkę mają lepszą, jak nasza, co kotłem śmierdzi; za wino muszą płacić, sukna na nich niema kawałka, ani jedwabiu, ani złotogłowu, ani szkarlatu, żeby go z zamorza gdzieś nie sprowadzili, opłacając drogo; skórę na buty ciągną od obcych, pieprz płacą na wagę złota. Kamień nawet na posadzki kupować muszą. W końcu i płacić nie będzie czem, bo ziemia u nas nie rodzi złota.

Westchnął kozak.

— A no? co nam do tego!—dodał.—Tatarów to tam kozuchami zbęda i lada kiesa, ale nam hroszy trzeba dużo dać, bo my bez nich nie pójdziemy. Rozsierdzi się Turek, na nas pierwszych złość skrupi.

Plaza słuchał zimno. Kozak westchnął.

— O! o! jak ja wam zazdroszczę—szepnął—wiosna za pasem, a co ona tu warta w tych murach? Tu jak zimy nie było widać, tak i wiosny człowiek nie poczuje. Zawsze jednako miasto śmierdzi...

Pożegnał go Plaza, bo mu do córki pilno było. Na zamku już się umiał obracać; wywołano z fraucymeru Bietkę, ojciec blady stał przed nią.

— Dziecko moje — rzekł głosem stłumiouym — przyjdzie pono mi jechać, jak dawno przewidywałem. Jutro kazano być u kanclerza, nie darmo... Na grzane piwoby mnie nie prosił...

Potał głowę zafrasowany.

— Gdy mi listy oddadzą—ciągnął dalej—natychmiast wyjeżdżać muszę. Cóż z tobą będzie?

Dziewczę rażno podniosło główkę.

— Muszę znaleźć sposób, aby się do Mingajłowej dostać—rzekła—kiedy taka wola wasza, ale bądźcie spokojni, nie dam się im zjeść.

— Mingajłowa — mówił dalej Plaza — pocziwa babka, ale stara, a ty samowolna i płocha. Na Bieleckich się zdać nie mogę, bo choć dobrze życzą, ale chodzić nie umieją, ino tak, jak się na dworze nauczyli... ciebie też inaczej nie poprowadzą. Dam ci więc opiekuna jednego jeszcze, takiego człowieka, że przed nim klękać i do niego się modlić.

— Wiem, mówiliście mi już o księdzu Stoczku—przerwało dziewczę—ale to ksiądz. On ze swą suknią nie wszędzie wejdzie i wiele rzeczy dworskich zrozumieć mu będzie trudno.

Na co on się przyda—rozśmiała się—chyba gdybym już do klasztoru szła, to muie odprowadzi, ale ja za kratę nie myślę! nie! nie!

— Stoczek!—przerwał Płaza—prawda, że nawet sutanny nowej nie ma, żeby na świat wyjść, a sprawić sobie nie da, ale on i w podartej gotów choć przed króla. Pieniądzy z sobą przywiozłem, nazad ich zabierać nie myślę, bo to posag twój; zostawić ich Bieleckim nie mogę, bo nie utrzymają, oddam księdzu. Gdybyś potrzebowała, u św. Brunona przy szkole dowiedz się o niego.

Bietka ramionami poruszyła.

— Nie—rzekła—ja pieniędzy nie będę potrzebowała. A one mnie na co? Klejnocików nakupiliście mi dosyć, i gdybym je przyjmować chciała, daliby mi drugie tyle moje gachy. Sakni jest tymczasem dostatek. Stoczek mi się chyba zda...

— Niedokończyła swej myśli.

— Prędkoż wy powrócicie?—spytała ojca.

— Toć mój frasunek—jęknął Płaza—albo ja wie-dzieć mogę, kiedy jadę i jak powrócę? Sługą jeszcze jestem i z tych kajdan rozkuć się muszę; byleś ty mi całą i zdrową była.

Bietka zadumana nic nie odpowiedziała.

— Nie wiem co się stało — szepnęła po małym przestanku. — Dawniej się tu mocno nową królową zajmowali, teraz o niej milczą. Zobojętnieli... albo? kto ich zrozumie. Amanda głowę do góry podnosi i weselej się uśmiecha, a królowi przypodobać usiłuje... Co to będzie! co to będzie!

— Przyjdź do Bieleckich, jak najprędzej ci pozwolą, bo szerzej pomówić musimy swobodnie.

— O pozwolenie się pytać nie będę—uśmiechnęło się dziewczę.—Przyjdę...

Z zamku wprost pośpieszył Płaza do szkółki przy św. Brunonie na Nowe miasto. Stoczek siedział tu w porzniętej przez pauprów kozikami katedrze i mierzliwie wykladał obiecado, owo odwieczne obiecado, a, b, c, chleba chce, a kołacza nie porzuca, bo się dobrze ucze.

Gromada obdartusów krzykliwemi głosami odpowiadała, powtarzała, swawoliła. Po bladej twarzy Płazy poznał ksiądz, że niedarmo do niego w odwiedziny przychodził.

Starszego więc jednego z różgą w rękę posadził do nadzoru, a sam poszedł z przyjaciелеm do izdebki. Po drodze już wiedział o co chodzi, to i zafrasował się.

— Jechać muszę — rzekł Płaza — nie nie pomoże, choćbym skarbu zakopanego na Chortyty się wyrzekł, nie dadzą mi tu pozostać, ani oni co mnie wypuścili, ani kanclerz co mnie odprawia do nich. Z trwogą w duszy pojadę.

Bietka—dodał—wie o was, mój ojcze; że opiekuna znajdzie; ja pieniądze wam moje złożę, bo ich z sobą nie mogę wozić.

— Zamkniemy je w zakrystyi bezpiecznie — odparł Stoczek — ale połóżcie pieczęcie i napiszcie czyj depozyt, bośmy śmiertelni. Ja po szpitalach i po domach się włóczę, gdzie biedna ludność wymiera, mogę chorobę przynieść z sobą i z niej nie powstać. Dla mnie to będzie łaska Boża, ale dla was...

— Al—zakrzyknął Płaza—niech Bóg was uchwali! Ja na was rachuję. Jechać muszę, ale i powrócić do dziecka też, choćby gardło stawić przyszło. Jarym ja tu człowiekiem przywlokłem się, a wcale innym powracam. Kozacze życie dla mnie smaku nie ma... dziecko na myśli... losu dla niej szukać muszę, a potem co będzie, o to nie dbam.

Żyłem i nażyłem się do syta.

Uściskał Stoczka ze łzami w oczach.

— Al ojcze—westchnął — gdy o sobie myślę, muszę cuda Boże na ziemi uwielbiać, bo je widzę na sobie. Odbyłem pokutę na Niżu jak cięższej sobie wyobrazić trudno. Zdawało się, że z lacha na kozaka przerobił się tak, iż żyłki we mnie starej nie zostało, a no... wszystko wróciło dawne, dziecko odzyskałem, zaprzadź się trzeba dla niego...

— Śmiało tylko i z ufnością w Boga — dodał

ks. Stoczek. — Powracajcie jak najrychlej, powracajcie... ze skarbem czy choć bez niego, dla dziecka rodzic to skarb największy.

— Bietkę zostawiam na dworze — mówił Płaza — ałem dla niej wyprosił przytułek przy starej ochmi-strzyni u marszałkowstwa Kazanowskich, która poważną jest niewiastą. Tam się ona pewnie do przyjazdu królowej przeniesie, a potem chce gwałtem na dwór nowej pani. Jeżeli więc o dziecko moje dowiedzieć się zechcecie, pytajcie o nie u Kazanowskich.

— Wysokie progi na moje nogi! — westchnął księżyna, ukradkiem spoglądając na poplamioną woskiem i zszarzaną sutannę. — Do Kazanowskich kanonicy tylko i prałaci chodzą, albo z mnichów który, bo Bernardynów pod bokiem mają, ale że ja z nimi dobrze jestem, trafię może...

Płaza nie mógł się wstrzymać, aby przed przyjacielem nie wypowiedział się z tego wrażenia, jakie na nim pałac Kazanowskich uczynił.

— *Vanitas vanitatum* — przerwał mu ks. Stoczek — nie chcą tego wiedzieć ludzie, że zbytek i miękość ich psuje, ani pomną, że gdziekolwiek się one zakradły, tam z niemi przyszła zgnilizna. Padło tak rzymskie państwo, gdy złote pałace Neronowie pobudowali. Dziś i nas nie poznać pod grubą pozłotą, a co po niej? Starzy lepsi byli co w grubych chadzali oponczach. A no, mówią, że prostota obyczaju to dzikość.

I zamilkł księżyna.

Wynurzywszy się z tego, co na duszy miał Płaza niespokojny, wrócił do Bieleckich, przez cały wieczór myślami się trapił, a nazajutrz rano już z tym samym przewodnikiem do gabinetu kanclerza przez cały szereg pokoiów wędrował.

Zastał Ossolińskiego przy tym samym stole, zarzuconym papierami, z dosyć frasobliwą twarzą, choć się ona wyjaśnić usiłowała.

— Odprawę wam gotuję — rzekł mu powoli kanclerz — a radbym, abyście się z nią pośpieszyli, bo odpowiedź mi potrzebna.

— Jabym też rad bardzo ją przywieźć miłości waszej—odezwał się Płaza — bo, wyznać muszę, kozakiem tu przyjechałem, a starym salachcicem, jakom niegdyś był, na Niż powracam. Córkę tu znalazłem i już mi Sicz nie smakuje.

Ossoliński słuchał go roztargniony.

— To osobiste są sprawy wasze—odezwał się. — Pośpieszajcie z listami do starszyny, naglijcie o odpowiedź. Wasza rzecz postarać się, aby wam ją powierzono. Gdybym ja na to nalegał, rychlejby zaszkodziło niż pomogło.

— Niech mi wolno będzie tylko to dodać — rzekł Płaza— iż z naszymi młojcami na słowa i obietnice rachować wiele niemożna. Żądni są grosza, spodziewają się go dostać.

— Będą go mieli—przerwał kanclerz — ale teraz niepora płacić, gdy jeszcze nie nie uradzono, kędy i jak nam, to jest królowi służyć mają. My i sił nie znamy i ludzi co tam rej wiedzą.

— Atamany i starszyna się zmienia — rzekł Płaza—bo nieufni są, a o swobody swe zazdrośni bardzo. Nikt ich lepiej wszystkich nie zna nademnie, com prawie dwa lat dziesiątki wpośród nich spędził. Ufam też, że królowi JMci i rzeczypospolitejbym się zdał, gdybym powrócić mógł i tu pozostać.

Ossoliński podumał.

— A więcej jeszcze, gdybyś wasze królowi służył na miejscu tam pozostając—odparł kanclerz.

— O tem wątpię — rzerwał Płaza — bo we mnie oni zawsze lacha widzieć będą i nie zaufają mi nigdy.

— A przecież was tu wysłali? — zagadnął kanclerz.

— Lacha do lachów—odparł Lasota—to nie dziw, ale w koszu oni mi władzy ani wpływu nie dopusz-

czą, a choć mnie do rady i głosowania wezwą, tajemnic swych największych nie powierzą.

— Waszmość je powinienes zbadać nie pytając— rzekł Ossoliński—ale to są sprawy późniejsze. Tymczasem, jutro listy dla was gotowe będą, zabierajcie je i pośpieszajcie z niemi, a nastawajcie na to, aby mi ataman rychło dał stanowczą odpowiedź.

Wyśla-li was, rad będę, wolę mieć do czynienia ze znajomym, ale na to w piśmie nie mogę nalegać.

To mówiąc kanclerz, nieco zadumany i jakby niepewny co ma uczynić, ręką zanurzył w otwartej stolika szufladzie, cofnął ją, popatrzył na Płazę, na strop, na podłogę, głową potrząsnął i odwracając się ku stojącemu jeszcze, rzekł cicho.

— Król JMość chciałby wam łaskę swą okazać. Na drogę wiatyk dostaniecie jutro.

Skłonił się Płaza.

— Nie gardzę—rzekł—łaską pańską, alem grosza nieżądny.

— Toś waszmość szczęśliwy — uśmiechnął się Ossoliński i skinął głową na pożegnanie. Odchodzącego już przywołał raz jeszcze.

— Jutro—dodał—zgłóście się tylko do tego, który was tu przywiódł. On wam pisma i wiatyk wręczy, a gdy je mieć będziecie, radbym ażebyście ani godziny nie opóźnili się, bo sprawa jest pilna. Raz i dwa może posyłać przyjdzie, jeśli nikomu pełnej mocy nie dadzą, a tu czas może nagleć do roboty nie do pisania.

Z tą odprawą wyszedł Płaza, i jak się nieochybnie spodziewał, ledwie bramę pominął a w ulicy zwrócił się ku dworowi ks. Szyszkowskiego biskupa warmińskiego, gdy Parfen go powitał.

— Śława Bohul

Spojrzeli sobie w oczy.

— No, kiedy w drogę? — zapytał kozak uśmiechając się.—Listy macie?

— Jeszcze nie, ale jutro mi je wręczyć mają —

odezwał się Płaza — i nagłą, ażebym pośpieszał z niemi.

Parfen głową poruszył.

— Koń wasz silny, zdrów i wypoczęty—odezwał się — wyście także mieli czas się w pierzynach wylegiwać, tylko źle, że zima idzie i obiecuje się sroga. Czy mrozy ścisną, to na konnego bieda, aby nóg nie poodmrażał, czy roztopy przyjdą, ślizgawica lub grzęzawica! Nól podróż będzie nie do zazdrości.

Parfen pomyślał.

— Jaby na waszem miejscu—rzekł — prosto do Kijowa jechał. Tam do naszej gospody, do Nikity się zgłosił, może dalej nie będzie potrzeba.

Płaza głową potrząsał.

— Ja muszę w Siczy być—rzekł—bo nie jednego głowa roztrzygać będzie, ale starszyzna cała radzić musi.

Kozak nie już nie mówiąc na to, rękami liczenie pieniędzy pokazał.

— A hroszy?—zapytał.

— Tylem tylko o nich słyszał, że i na drogę coś dać myślą.

Ręką rzucił a Parfen się skrzywił.

— Co potem?—zamruczał.—Ale u nich w skarbie jak w wyłowionym stawie, ani plotki pono niema.

Czekają na młodą królowę, aby im francuzkich pieniędzy przywiozła.

Kiedyż ona przyjedzie? — dodał — na żółwiu ją wiozł! Król chory i nie o weselu mu pono myśleć, a tu żonkę gwałtem dają... Sam ci jej chciał, a kto się teraz z nią będzie pieścił...

Wtem Parfen nagle urwał, głową skłonił i szybko uszedł na stronę, a Płaza widząc się sam na zamek zawrócił.

Bietkę zastał w kożuszkui zimowym, z chustą na głowce, gotową do wyjścia.

— Szłam do was—rzekła smutnie—jestem niespokojna. Nie miałam jeszcze czasu się do was przy-

wiązać, a już czuję, że tęsknić będę. Zawsze opieka mężka siłą jakąś daje. Jam się bez niej obchodzić nawykła była, a teraz...

Szli więc razem na róg Piwnej ulicy, gdzie nikogo nie zastali, bo Bielecka po kumoszkach i po sklepach biegła, a szafarz biedował ze spiżarnią pańską, w której zawsze czegoś brakło. Najwięcej zaś pie-niędzy.

— Z tą nową królową—poczęła Bietka — już za-prawdę nie wiem co oni myślą. Chcieli z początku jej przybycie przyspieszyć, król na gwałt już do Gdańska się wybierał, nagle teraz po tych listach, których treści nikt nie wie, ostygło wszystko. Kró-lowę chcą powoli wieść i dać jej spoczywać. Sami nie wiedzą kogo jej za marszałka wyznaczą. Nikt się nie napiera...

Widzę po twarzy panny Amandy, że poweselała i coś sobie lepszego tuszy niż przedtem. Król się jej już chciał pozbyć ze dworu, za ubogie ksiąźką wydając; teraz ona się krzywi i zamaż nie chce niby... tak bardzo królewicza kocha, tak się gotowa cała dla niego poświęcić...

Bietka rozśmiała się.

— Tej biednej królowej przyszelej — mówiła da-lej—coś się stało pewno niepomyślnego. Ktoś jej tu stołka przystawił nim jeszcze przybyła. Król, słyszę, na wizerunek jej, który ustawicznie chciał mieć przed oczyma, ani patrzy, ani mówi o niej wcale, a Pac znowu kłzota się, aby go rozerwać, a nasza tera-zniejsza królowa spodziewa odzyskać...

Al! ta niemkini! —mówiła dalej Bietka — jakie to przewrotnel jak dumne! Wiemy przecież przez stare sługi nieboszczki, z którą tu Amanda przybyła, że z prostych ludzi pochodzi, a dzieckiem ją dla pię-kności wzięto za towarzyszkę do cesarzówny. Teraz się tak nosi jakby sama arcyksiężną była. Kto wie o czem marzyła i marzy? Był czas, że król bez niej wytrwać nie mógł, teraz ostygł bardzo... Już mu cze-

goś świeżego potrzeba, i jak u nich wszystko cudzoziemskie najsmaczniejsze, tak i na faworytkę muszą z zagranicy chyba sprowadzać. Z naszych dziewcząt podstawki tylko, gdy już nie innego niema...

Złośliwie tak i swobodnie paplała Bietka, ale czuć było, że gorzko jej przychodziło teraz ojca pozbyć, samej zostać i czekać na tę nową królową, na którą rachowała zawczasu.

— Długo wy możecie pozostać w tej podróży? — spytała w końcu ojca.

— Radbym i ja to wiedzieć — odezwał się Płaza wzdychając. — Mówiłem ci, że mam tam trochę jeszcze grosza przychowanego, ale to nie tak jak u nas, co się do klasztoru albo kościoła powierzy... musiałem zakopać w ziemię, bo ta jedna nie zdradzi. Teraz trzeba tak dobyć, aby nikt nie podpatrzył, bo dla pieniędzy zabić mogą, trzeba zabrać to z sobą i aż tu doprowadzić!

Bietka się za głowę pochwyciła.

— Aż mi strach myśleć — zawołała. — Ale gdyby się wam najszcześliwiej powiodło, ile na to czasu trzeba?

Zadumał się licząc Płaza... a no podróż nie dawała się obliczyć. Dostyc było kaprysu końskiego, aby ją przeciągnąć. Wprawdzie ten brzydki i niepozorny szkapa, na którym się tu dostał, żelaznym był, ale i żelazo się kruszy.

Płaza odpowiedzieć nie umiał.

— Toć pewna — rzekł po długim dumaniu — że ja i godziny nie zaśpię.

Na tę poufną rozmowę wpadła powracająca z miasta Bielecka, cała jeszcze rozgorączkowana czynnie spędzonym porankiem.

— Cóż ty z zamku przynosisz? — zagadnęła Bietkę.

— Ja z próżnemi rękami przychodzę — odpowiedziało dziewczę. — Król chory... i po wszystkim.

— Gdybym ja była na miejscu waszem — z wyrzutem poczęła pani Łukaszowa — jużbym tej taje-

mnicy dobyła pewno, bo mi tego nikt nie wmówi, żeby jej król nie miał zwierzyć nikomu oprócz Kazanowskiego i Pstrokońskiego.

Młody Pac, który dla was, moja panno, dałby się obwiesić, wie pewno, albo się domyśla. Dosyćby jednego całusa, aby dobyć z niego...

Plaza się wzdrygnął.

— Ależ pani moja — rzekł — wiecie jak to idzie, od całusa się poczyrna...

— I co dalej? — przerwała rezolutna mieszcza — niekoniecznie zatem idzie, aby się więcej nad całus dawać miało... A rozum od czego?

Bietka pokręcała głową.

— Całusa — rzekła z minką poważną — cała sztuka zawsze niby przyrzekać, a nigdy go nie dać... ale z Pacem... Któż go wie? Wczoraj był jak воск mięki, a dziś już u panny Amandy w usługach, bo wiatr powiał inny...

— Co? — zawołała Bielecka — królby do niej miał powrócić?

Bietka dała znak potakujący.

— Na jak długo, nie wiem, ale od tych listów znowu do niej przystał. Kazał się z krzesłem nieść do niej wieczorem i pozostał tam na wieczerzę, gdy już Zygmus dawno spał, choć to się zowie, że król tam synaczka odwiedza... Fantazje ma tylko. Królowej Cecylii gorzkie było życie z nim, opłakała je nieraz... pokochał ją dopiero gdy utracił, a gdy ją miał, mało go szanował.

Naówczas już panna Amanda chciała Urszulę Meyerin udawać, ale głowa nie potemu. Piękna jest, to prawda, ale i ten wdzięk już przekwita. Teraz ona książątka nie chce i droży się, a potem jej i chłop nie zechce.

Dosyć, aby królowa z sobą piękną jaką francuzicę przywiozła, pójdzie panna Amanda w kątek...

— Ależ królowa sama — dorzucił Plaza — piękną

jest i potrafi sobie pewnie starszego daleko małżonka serce pozyskać.

Dziewczę nad swój wiek rzeźko przerwało ojcę:

— Zapominacie, że żoną jego będzie! Żony długo kochać nie potrafi, bo ją zawsze u boku swego mieć może, a jedna potrawa się przejada...

Bielecka śmiać się poczęła i ścisnąć Bietkę, ale ojciec zmarszczył.

— Nadto ty masz rozumu na twoje lata—szepnął.

— Rozumu? nie! — odparła śmiało córko — ale doświadczenia mam dosyć. Oni wszyscy tacy. Owoc zakazany najsmaczniejszy zawsze.

Plażę to szczebiotanie w końcu rozechmurzyło.

— Dziecko ty moje—rzekł — jeżeli biblij wierzyć, owoc zakazany nie nam, a wam niewiastom najpokusniejszy. Adamby go nie zrywał, gdyby nie jejmość.

Śmieli się wszyscy. Wtem wszedł Bielecki poważny i zasepiony. Nie nowina go było takim widzieć, gdy z zamku powracał, bo się z kucharzami nagryźć zawsze musiał dużo.

— Czołem!—zapytał Plaży — a co, jedzicie?

— Zdaje się — rzekł gość składając się — a was też od załogi naprzykrzonej nwołnię.

— A! nie naprzykrzyliście się nam — przerwała Bielecka — teraz w domu będzie się wydawać pusto. Wracajcie ino rychło.

— Byłem mógł — szepnął Plaża, który na córkę patrzył.

Bielecki się dokoła obejrzał.

— Nic-ci ja nowego nie wiem—szepnął — a przecież więcej może niż wy... Marszałek Kazanowski zwierzył się z czegoś żonie, jejmość mówiła księdzu, ksiądz bratu... i ot... zaczyna się coś wykluwać...

Porwała się Bielecka.

— A mówże, człowiecze!—krzyknęła — tyś na kata stworzony.

— Tyle wiem—dodał Bielecki — że listy owe, które króla tak zgryzły, wprost przysły z Francji, i to

od nieprzyjaciół królowej. Potwarz na nią, słyszę, rzucają, iż kochanków miała, o których wiedzieli wszyscy...

— A król nie miał kochanek?—oburzyła się pani Bielecka.

— Z tem wszystkiem niewiadomo jeszcze na czem się to skończy — ciągnął dalej Bielecki—król prawdę czy potwarz tak pono wziął do serca, że z początku Kazanowskiemu powiedział, iż ją nazad odeszłe do Francyi. Ledwie go marszałek opamiętał, że w listach złość i zemsta jawna, którym tak ślepo wiary dawać nie można...

Ale burza się nad nieszczęśliwą panią zbiera wprzód jeszcze nim przybyła. Kazanowski tem króla nieco pohamował, iż mu rzekł.

— Mężczyzna czy kobieta, która w tak podły sposób zdradza i donosi, czy może na wiarę zasługiwać?

Pójdzie więc wszystko swym porządkiem do przyjazdu królowej, do wyjaśnienia tu na miejscu, ale co za małżeństwo może być z tego, gdy się ono od takiego kwasu zaczyna?

Bietka się też wtrąciła.

— Któż wie, ta niegodziwa niemkini, Amanda, może jest albo sprawcą lub pomocnicą, bo ona zawsze jeszcze się spodziewa, że króla znowu opanuje i już go nie puści nigdy.

U nas to wszystko być może. Niemka gotowa była listy wymyśleć, aby króla do żony zrazić i pozostać przy nim.

Królowi też Pac i drudzy wmówią, że z Amandą, gdy ona pozostanie, nie będzie potrzebował się rachować, bo ona go nie spyta czy się z kim zabawiał na uboczu, czy nie? a królowa będzie zazdrosna. Życie terażniejsze wygodniejsze dla niego i dla tych, co korzystają.

— Nie domyślajcie się nadaremnie—wtrącił Bielecki — bo odgadnąć nikt nie potrafi, a wkrótce

wszystko musi wyjść na wierzch jak oliwa. Pauna Amanda się potrzyma jaki czas, a no przed żoną ustąpić musi. Kazanowski, Ossoliński, duchowieństwo, co jest poważnych ludzi, wezmą stronę królowej, sam król zechce-li od niej posagu na wojnę dostać, musi przecie się zbliżyć. Francuzka też pewno rozum ma i tak się jak nieboszczka zawojować nie da.

— Tymczasem ludzie wodę mącą—dodała Bietka — i ryby w niej łowić będą.

Plaza zwrócił potem rozmowę na córkę polecając ją Bieleckim.

— Ja otwarcie mówię—dodał—losu dla niej nadzwyczajnego nie żądam, byle uczciwego męża znalazła, choćby sobie ubogim szlachetką był, muie dosyć. Myślę, że i ona ma rozum i wysoko się wdziierać nie będzie.

— A ja, ja—odezwała się Bietka—na teraz o żadnym zgoła mężu nie myślę. Naprzód tę niegodziwą niemkę muszę ztąd precz wypędzić i z całym jej dworem, potem dopiero o sobie pomyślę. Zobaczym jaką nam królowę przywiozą.

— Konterfekty jej widzieć łatwo, bo ich z Paryża przywieźli siła, rozdają i sprzedają — rzekł Bielecki — na nich ona piękna, ale kto wie jaka żywa jest?

To pewna, że już niebardzo młodziuchna.

— I to pewna — dodała Bietka — że miała już wielkie małżeństwo obiecywane, bo jakieś księstwo z sobą w posagu przynosi, ale podobno księstwa się teraz zrzekła za pieniądze, aby królewską koronę pozyskać.

— Łada dzień — rzekł Bielecki—dowiemy się więcej, bo z tych, co we Francyi byli, poczną powracać niektórzy, a królowa od Gdańska bardzo będzie jechać pomału i odpoczywać. Mówią, że w jednym miejscu nawet parę tygodni zabawi dla lekarstw jakichś, które ma brać. Król także chory, do ślubu

o swej mocy nie stanął. Dobry jeszcze kwartał uplynie nim my ją tu ujrzymy.

— Ja temu najbardziej rad będę — odezwał się Plaza — bo we trzy miesiące i ja też tu powrócić mogę, jeżeli Pan Bóg mi wrócić dozwoli.

Przez cały wieczór tak rozprawiano o sprawach bieżących, aż do odejścia Bietki. Plaza przyrzekł, iż choćby mu nazajutrz listy oddano, nie wyruszy aż pojutrze.

— Sanna się ściele — dodała śmiejąc się Bielecka — więc my kuligiem was odprowadzimy choć na Pragę do kaplicy loretańskiej, a tam pomodliwszy się ruszycie już w imię Boże.

Stawił się Lasota do kanclerskiego pałacu na godzinę naznaczoną. Tu czekał już na niego młody komornik Ossolińskiego. Listy były gotowe, które Plaza z poszanowaniem w jedwabną chustkę paradną kozacką zawinął i dobrze zanadną umieścił.

Wręczono mu też złotych sto niedobłą monetą na Szlążku fałszowaną na drogę, za które pokłonić się musiał. Zaczem młodzieniec dobrej drogi życzył i z pałacu odprawił, winem uczęstowawszy.

Nie było już więc co czynić, tylko konia nanowo podkuć, sakwy związać, co potrzeba na drogę przysposobić przez ten dzień, a następnego, jak się rzekło, wyruszyć.

Ks. Stoczek dowiedziawszy się, że go Bieleccy z córką do kaplicy loretańskiej odprowadzać mieli, ofiarował się też tam znaleźć i litanię dla nich odśpiewać, na intencję szczęśliwej podróży.

Dopiero teraz wobec tej nieuniknionej konieczności porzucenia dziecka, puszczenia się w niebezpieczną drogę, serce staremu boleśnie się bardzo ścisnęło. Zdawało mu się, że nigdy chyba napowrót się tu dostać nie potrafi, i gdy Bietka przyszła, rozplakał się jak bóbr. Ona też choć do łez nieskłonna, zapłakała i strwożyła się; tylko Bieleccy, którzy nie przewidy-

wali niebezpieczeństw żadnych, ducha i mężstwa dodawali.

Szafarz życzył konia wierzchowego do sanek przywiązać, albo nawet zaprządz i zamiast konno na terlicy, sankami się w podróż puścić dla pośpiechu. Rada wcale złą nie była, a gdy się jeszcze znalazł mieszczanin, który do Brześcia jechał i Płazę z sobą zabrać się ofiarował, złożyło się tak, iż kozak konia mógł puścić luzem. Pośpieszając dnia tego Parfenowi musiał się jeszcze opowiedzieć, który zrazu ofiarował się towarzyszyć Płazie przez część drogi, potem namyślił się i pozostał.

Dodnia o naznaczonym terminie wszyscy tedy na-przód na Pragę zrana do kaplicy loretańskiej podążyli.

Była ona zbudowana tuż przy kościele księży Bernardynów, na wzór znajdującej się w Lorecie, ozdobnie i kosztownie, bo się do niej królewska rodzina przyczyniała; ołtarz zwłaszcza wielki, w którym obraz Matki Boskiej, według Łukasza świętego, oprawiono, jaśniał ofiarami bogatemi. Naprzeciwko wizerunek Chrystusa na krzyżu widać było.

Za ołtarzem pobożni mogli oglądać wszystek ten sprzęt prosty a ubogi, który wedle tradycyi w domu rodziny świętej miał się znajdować, okienko pozdrowienia anielskiego, stoliczek, ławeczki, Kuchenkę, garnuszczyki i sławne dzwonki loretańskie.

Przed ołtarzem tym Matki Boskiej ukląkłszy ks. Stoczek zanucił litanię, którą wszyscy zanim pobożnie odśpiewali, a przed kapliczką u muru, który ją od ulicy dzielił, nastąpiło pożegnanie.

Tu dopiero i Bietka się rozplakała nadobrze, ojcu na szyję rzuciła, zaczęła wołać, aby powracał—i Płaza zmiękłszy bardzo od tych łez puścił się w drogę.

Parfen, który ani do kaplicy nie chciał iść, ani się pokazywać, dopiero dobrze za Skarzyszewem na gościńcu czekał na Płazę, i konno przy saniach jadąc towarzyszył mu spory drogi kawał.

Gdy mu w końcu nazad do miasta zawrócić przyszło, kozaczysko aż kląć począł swą dołę, która go tu przykutym trzymała, zazdroszcząc Płazie, iż do kosza powracał.

Potem nagle, nie żegnając go, konia szarpnął, nawrócił w miejscu i jak szalony popędził do Warszawy.

Płaza do wieczora pogrążony w dumaniu, ani się ruszył, ani zagadał, ani dał znaku życia. Dopiero gdy na noc stanęli, czarkę gorzałki wychyliwszy, odetchnął i oczy mu na świat się zdawały otwierać.

II.

Tegoż wieczora, król się jakoś lepiej czując, bo mu w nogach boleści owe wielkie ulżyły, odprawiwszy kilku obcych pułkowników, z którymi o zaciągach się naradzał, o zmroku się kazał nieść z krzesłem do syna.

Mały Zygmunt miał na temże piętrze pomieszkanie wraz z panną Amandą i całym swym kobiecym i męzkim dworem. Przeważali tu cudzoziemcy, jak wszędzie, chociaż chłopak chętnie po polsku mówił i chadzał w stroju, który mu był bardzo do twarzy.

Dziecię prawdziwie pańskiej krwi, ślicznego, szlachetnego oblicza, śmiałego wejrzenia, żywe, wesołe, obiecywało wiele. Wszyscy je i nienadaremnie podziwiali. Uczył się łatwo, pamiętał doskonale, a nadewszystko ochotę miał do ćwiczeń rycerskich, co ojca radowało.

Sześcioletni na koniku już w podwórcu piaskiem grubo wysypanym toczył tak zrećnie, jakby się z tą

umiejętnością narodził; małą kopią, którą dla niego umyślnie zrobiono, wywijał do tarczy godząc na podziw staremu nauczycielowi, szabelką robić się uczył... i najmilszą zabawą było rycerza udawać.

Niecierpliwił się, że powoli rósł, dźwigał jak mógł na palce, wyciągał i dowodził, że bardzo prędko wyrosnąć musi, bo chce tego!

Smiali się ci co tego argumentu słuchali, ale chłopak w siłę jego wierzył.

Dumne było chłopię, szczodre bardzo, a razem miłe i serdeczne, i gdy się przypodobać chciało, nie było człowieka, coby się w niem nie kochał. Ciężyla mu opieka panny Amandy, którą szanować i słuchać jej musiał, nie czem innem jak tem, że kobietą była i dzieckiem go czyniła. Obcował też chętniej z dworzany, którzy zawczasu sobie łaski jego skarbili.

Jak zazwyczaj, gdy króla oznajmiono wieczorem, zapalały się świece we wszystkich świecznikach, przywoływano Zygmunta ustrojonego, wycodziła panna Amanda poważnie ale zalotnie ubrana, czasem jeszcze któraś z kobiet stawiała u progu, pażowie za drzwiami, i króla hajducy wnosili z wielkim krzesłem do pokoju, w którym na kominie ogromny ogień płonął.

Zastawiano tu przekąskę i łakocie wieczorne, których czasem król pokosztował, najczęściej jednak lub kubkiem lekkiego wina, albo winem z wodą i cukrem się ograniczał, rozmowę prowadząc naprzód z synem, gdy ten odchodził na zabawę, z panną Amandą.

Z tą król mówił po niemiecku, bo choć kilku językami z łatwością władał i wyrażał się swobodnie, niemiecki mu macierzystym był, tym pierwszym, którego się w kolebce nauczył jeszcze.

Do polskiego był przywykłym bardzo, ale była to mowa wyuczona już potem, która mu z rodziną nigdy do zamiany myśli nie służyła. Matka mówiła z dziećmi po niemiecku, ciotka i macocha nigdy się nawet po polsku nie uczyła i nie kryła się ze wstrętem do polaków i ich języka. Opiekunka zastępująca

mu matkę, dobra, serdeczna Urszula Meyerin, niemką też była do szpiku kości.

Cały dwór ów szwedzki Zygmunta III, skutkiem małżeństw, daleko bardziej był niemieckim niż szwedzkim. Inne języki: włoski i francuzki, europejskie i dworskie powszechne, nieobce były Władysławowi, ale mowa niemiecka im wszystkim przodowała.

Od dawnego już czasu król życie nosił jak brzemię — znudzony był, obojętny i jedna jeszcze tylko niezerwana struna w duszy jego brzmiała: marzenie wielkości, sławy, potęgi... Najdziwniejszemi kombinacyami politycznemi chciał zdobyć tę wielkość upragnioną...

Dwie już korony stoczyły się bezpowrotnie z jego skroni, chwilę nawet Francya ludziła go cesarską, teraz pogrom pogan, wygnanie ich z Europy, zagarnięcie po nich spuścizny było już jedynem marzeniem, do którego urzeczywistnienia z gorączkową niecierpliwością rwał się Władysław.

Nie chciał tego dojrzeć ani zrozumieć, że jako elekcyjny król rzeczypospolitej, do takiej wojny, jaką chciał rozpocząć, był w najniepomyślniejszych warunkach, związany, zależny, dozorowany, niewolny.

Namiętność zawsze człowieka ślepym czyni, a w królu wojenne plany te stały się namiętnością i oślepiały go. Zdawało mu się, że pokona w kraju opór, że szlachtę pociągnie, że ją nakłoni do wojny, a w ostateczności rachował na kozaków aby Turcyę zmusili do kroków zaczepnych a kraj do obrony...

Kazanowski się nie mieszał do polityki króla, zleniwiał, rozpieszczony w duchu jej był pewnie przeciwnym, ale królowi nigdy i w niczem niezwykły był oponować.

Prawą ręką, człowiekiem, na którego zręczności i talentach leżało wszystko, był istotnie przebiegły, rozumny, wymowny, energiczny a ambitny Jerzy Ossoliński.

Król go nie lubił, ale potrzebował. On był jego

tajemnie powiernikiem i najposłuszniejszem narzędziem polityki we wszystkich jej zwrotach. Pochlebiał zrzeczenie, a w potrzebie umiał wmówić to, co uznawał koniecznem.

Władysław IV naostatek uwierzył w jego rozum, i oddał mu się cały. Nikt oprócz Ossolińskiego nie był panem najtajniejszych myśli króla. Zazdrościli mu Kazanowscy, obawiali się go, ale nie porywali się do próżnej walki.

Kancierz tworzył te awanturnicze plany, w których spełnienie może sam nie wierzył, ale miał talent króla czynić ich twórcą, więc i odpowiedzialnym za nie.

Nie powiodło się Ossolińskiemu wprowadzenie orderu i zakonu Niepokalanego Poczęcia, który miał ze szlachty wydzielić podporę tronu arystokratyczną, musiał on sam zrzec się książęcego tytułu, ale ani król, ani on nie przestawali marzyć, iż demokratyczną rzeczpospolitą przerobić potrafią.

Środkiem ku temu była teraz ta wojna, wojna, na którą szła pod wodzą Władysława Wenecya, Moskwa, Papież, Francya, któż wie ilu jeszcze sojuszników.

Mogliż przypuścić, że garstka ubogiej, biednej szlachty szaraczkowej, olbrzymim tym marzeniom oswobodzenia chrześcijaństwa stanie na przeszkodzie?

Nie było tajemnicą dla nikogo to króla pragnienie, a ktokolwiek mu się przypodobać pragnął, ten fau-tazyi tej przyklaskiwał. Znała ją też dobrze panna Amanda, i gdy dnia tego król się wnieść kazał do niej, zastał Zygmunta nad wielkim papieru arkuszem, na którym jaskrawemi barwami pomalowany wizerunek króla wyobrażał go gniotącego nogami tłumy Turków i w ręku laurami opasaną podnoszącego chorągiew chrześcijaństwa.

Rysunek był dziełem jakiegoś skromnego miłośnika, a zabarwienie go wykonał królewicz.

Gdy króla z krzesłem przysunięto do stołu i rzu-
cić mógł okiem na leżący obrazek, uśmiechnął się.

Piękna Amanda odpowiedziała mu uśmiechem.

— N. Panie—szepnęła.—Sam królewicz żądał aby
mu to wyrysowano, i dziś cały dzień niemal farbami
to malował. Dzieci mają przeczuć!

Król Zygmuntka po główce pogłaskał. Westchnął.

— Radbym—rzekł półgłosem—łatwiejsze mu rzą-
dy pozostawić po sobie, rozwiązane ręce, szerokie
państwo!

— I wszystko się to stać musi! — dodała niemka
przypochlebiając się i wdzięcząc—Chwila nadchodzi...

Król słuchał lecz jakby roztargniony. Zadumał
się, popatrzył na syna, ujął za rączkę Amandę i uści-
snął ją.

— Tyle mam trosk na głowie!—westchnął. — Wy-
znacie moje życie, wiecie, że ja się pracy nie wzdry-
gam; od rana mnie nachodzą, dają posłuchania przez
dzień cały, ale nie mam szczęścia do ludzi i szczęścia
w ogóle.

— A! N. Panie—przerwała niemka gorąco—godziź
się to mówić, po tylu tryumfach nieśmiertelnych, po
tylu bohaterskich bojach...

— Z których oprócz sławy nie mi nie pozostało
— rzekł król.—Ostatni teraz wysilek czynię.

Zamilkł spuszczać głowę.

Zygmunt patrzył na ojca, zdając się go słuchać,
ale ani dosłyszeć, ani zrozumieć nie mogąc.

— Jak wyrosnę—zawołał—pójdziemy na turka!!

— Gdy ty wyrośniesz—przerwał król—turków już
być nie powinno w Europie! Da-li Bóg, stać się to
musi.

Zygmunt słuchał, ale nagle król rozmowę umyśl-
nie przerwał i zwrócił.

— Gdzie Pac?—zapytał.

Jakby tylko czekał na to, aby go zawołano, wo-
jewodzie stanął w progu. Było to dziełem przypad-
ku, a mogło się wydać obrachowaniem.

— Nic nowego?—zagadnął król—listów żadnych?
Niemka wtrąciła.

— Wieczorem nie powinno być listów. Zdrowie
N. Pana to najdroższy nasz skarb. Niepokoić się
przed snem, gdy odpoczywać potrzeba...

Paź potwierdził, że listów nie było.

— Do Radziwiłła wysłaliście?

— Jeszcze rano wyjechał posłaniec.

— Trzeba, ażeby mi codzień znać dawano o po-
droży — szepnął król chmurno. — Słyszę, że pani po-
słowa, ciągle o swą godność troskliwa, nudzi kwe-
stiami etykiety.

Cóż to będzie, gdy Karol tam przyjedzie?

— Radziwiłł ma wiele doświadczenia, taktu, po-
wagi i sądzę, że wszystkie te trudności załatwi, o któ-
re wasza miłość wcale się nie powinniście troszczyć?

— W ogóle o nic—przerwała niemka.—Cóż tak
straszego, że się jedna stara francuzka nadąsa?

Nastąpiło krótkie milczenie. Królówicz Zygmunt
niespokojnie się zakręcił, jakby kogoś szukał, spy-
tał u drzwi paziów i wybiegł z nimi. Z tej chwili
król skorzystał, aby, wcale nie zważając na Paca, po
twarzy pogłodzić Amandę, poklepać ją po ramionach
i poszeptać jej coś, przyjętego rumieńcem.

Nagle Zygmunt powrócił, mocno poruszony, pod-
biegł do ojca, stanął przed nim, wziął się w boki
i zapytał go.

— Nieprawdaż? ty jesteś królem i panem?

— Tak jest!—odparł Władysław.

— Możesz rozkazać i wszyscy cię słuchać powin-
ni?—mówił Zygmunt.

— Wszyscy, nawet ty — dodał, śmiejąc się, król.

— Rozkażże mi natychmiast, aby ta niegodziwa
Bietka, która się gdzieś ukryła, przyszła tu i bawiła
się ze mną. Ja ją lubię!

Uśmiechnął się król.

— Gust masz niezły—rzekł—gdzież jest ta Bietka?
Amanda zmarszczyła brwi i zaciśnęła usta. Pac

nie chcąc snąć odpowiadać, cofnął się w tył... nastąpiło milczenie. Zygmunt królewicz tupał niecierpliwie nóżkami.

— Cóż się z nią stało? — żartobliwie powtórzył Władysław, zwracając się do Amandy, której twarz wyrażała gniew i oburzenie.

— N. Panie!—odezwiała się wreszcie, wybuchając i zapominając o dziecku, które słuchało.—To jest całkiem zepsute, dziedziczne, nieposłuszne, nie do prowadzenia dziewczę. Oddawna chciałam się go pozbyć.

— O! ja na to nie pozwolę—wtrącił królewicz—ona się doskonale umie bawić ze mną i opowiada mi historie, które ja lubię.

Król się też niecierpliwie zaczynał i widząc, że ze strony Amandy na długi wywód się zanosilo, spojrzal na Paca; ale ten, milczący, nie miał jakoś ochoty wyręczyć faworyty i cofnął się krokiem, a niemka mówiła coraz żywiej:

— Sprzykrzyło się jej widać na dworze; mówią, że jakiś awanturnik ją przyznał za córkę. Nie wiem... ale to pewna, że od rana jej niema, że bez mojej wiedzy wyniesiono jej rzeczy i ona sama znikła...

— Jak to być może! — zawołał król, mocno oburzony tem, zwracając się do Paca. — Cóż to za porządek, a raczej nieład u mnie, ażeby służba mogła samowolnie...

Pac milczał, wskazując na Amandę, która się rzucała z gniewu, próżno tłumiąc go w sobie.

— Straty nie poniesiemy, gdy sobie pójdzie precz—dodała—ja dawno chciałam ją wypędzić... Zuchwałą była i nieposłuszną nad wyraz wszelki, nad wiarę; ja byłam cierpliwa nadto długo.

Królewicz Zygmunt, słuchający z uwagą wielką, wmięszal się.

— Amanda się z nią obchodziła, jak z prostą służką, a to była moja dobra przyjaciółka!

Nie mógł się od uśmiechu król wstrzymać, wi-

dząc, z jaką powagą Zygmus się ujmował za tą swą przyjaciółką.

Panna Amanda spojrzała na chłopca piorunującym wzrokiem, Pac zagryzł usta i pokręcał węża, a król, którego ten spór już nudził, potrząsnął głową.

— Cóż się z nią stało?—zapytał.

— Nie wiem, dokąd uszła — odezwiała się niemka. — Bywała bardzo często u szafarza Bieleckiego, posyłam tam po nią. Zaklina się jejmość, jej dobra przyjaciółka, że o niej nic nie wie.

Zygmunt nogą uderzył o posadzkę.

— Ty jesteś król!—zawołał, podnosząc rękę wyciągniętą ukazując na podłogę—rozkaz, niech natychmiast powraca, niech Amanda jej nie prześladuje i niech się ona bawi ze mną. Ja starej Lipczycowej nie lubię, ona ma węży.

Oprócz Amandy, której gniew rósł, rozśmiali się wszyscy. Władysław się obrócił do Paca.

— Niepodobieństwem jest — rzekł — ażeby się tu w mieście skryć miała... kazać jej szukać i przyprowadzić.

I pomyślawszy nieco, król dodał:

— Mówiliście o ojcu... któż jest i zkąd się wziął ten ojciec?

— O tem zapewne wojewodzie lepiej W. Król. Mość objaśnić potrafi — wtrąciła niemka, której król zadał pytanie.—Ja nie wiem. Bietka ta miała szczęście i wojewodzieciowi się podobać...

— I memu synowi—dodał król żartobliwie, bo go zazdrośne gniewy niemki bawić zaczynały—coż chcecie, nawet mnie!

Amanda odskoczyła w głąb komnaty.

— Słuchaj, Pac! — zawołał Władysław — mówże! Jesteś pewnie lepiej świadomym, niż wszyscy... co się z nią stało?

Wojewodzie się ociągał z odpowiedzią.

— Przyznał się do niej, jako ojciec, na mocy jakichś poszlaków—począł nareszcie—szlachcie, który,

jak mi mówiono, świeżo z kresów, z Podola, czy też z Niżu powrócił. Być może, iż on nią rozporządził.

— Bez mej wiedzy?—zawołał król.

— Nie raczyli mi też wcale się opowiedzieć—zamruczała Amanda.

— Szlachcie, który z Niżu powrócił!—odezwał się król zadumany i poruszył ramionami.

Pac milczał.

— Więcej nie wiem nic—dodał—dziewczę dosyć w istocie samowolne i kapryśne a ładne... Któż wie, co jej do głowy przyjść mogło?

— Niepodobna pozwolić na to — przerwał król, spoglądając na syna — aby służba sobie tak poczyniała, jakby dwór królewski był zajezdną gospodą, do której zajezdza kto chce i precz jedzie, nie żegnając gospodarza. Z miasta się pewno nie wyniosła, każcie jej szukać, ja sam się z nią rozmówię. Widzicie, że Zygmunt tęskni za nią.

— Bo ona jedna z tych kobiet umie się bawić ze mną—rzekł chłopak.

Tym sposobem wieczór u panny Amandy został dla niej zatruty. Cofnęła się w kąt przyciemniony nadąsana, a król, widząc ją tak usposobioną, ziewnął i ręką tylko pożegnawszy, kazał się odnieść nazad do swej sypialni, Pacowi szepnąwszy, aby szedł za nim.

Zygmus, który już znał swą ochmistrzą i wiedział, co go czeka po odejściu ojca, natychmiast swym paziom oświadczył, że idzie do łóżka.

Gdy w sypialni króla zostali sami król z Pacem, Władysław się zwrócił do niego, spodziewając szerszych objaśnień.

— N. Panie — odezwał się Pac — to są babskie sprawy... mówić o tem nie warto... panna Amanda nie lubiła tego dziewczęcia... powiedzmy prawdę: postrzegła może, iż nie królewiczowi, ale samemu królowi Bietka wpadła w oko... stała się zazdrosną i opryskliwą...

Uśmiechnął się król.

— Domyślam się tego—szepnął.

Pac żywo dokończył:

— Dziewczę musi się znaleźć, a panna Amanda pogodzić z niem. Spodziewam się, że to wszystko ułoży się łatwo...

Tu uśmiechnął się dwuznacznie.

— I królewicz Zygmunt odzyska swoją przyjaciółkę—dokończył.

— Nie wątpię i ja — rzekł król — że gdy się ty w to wdasz, przyprowadzisz to do porządku. Umiesz sobie radzić z temi babami, które za tobą przepadają.

Pac zaprotestował, ale król nakazał mu milczenie.

— Proszę cię, ażeby Bietka powróciła—rzekł.— Ze wszystkich dziewcząt, które są przy Amandzie, ta najładniejsza i najroztropniejsza. Niech-że choć spojrzeć mam na kogo bez wstrętu.

I po krótkiej pauzie wtrącił:

— Mówiliście, zdaje mi się, że ojciec szlacheic? szlachcianka więc?

— Tak słyszałem—rzekł Pac—ale cała ta historia odszukanego ojca wydaje mi się podejrzaną. O ile mogłem się dowiedzieć, szlacheic świeżo tu przybył od kozaków z Niżu.

— A! czy nie ten, który list do kanclerza przywiózł od atamana i starszyny—pochwycił król, trochę się marszcząc.

— Tak się zdaje, bo mieszkał u szafarza Bieleckiego, który mi mówił, że od kanclerza miał go po-leconym sobie.

— Co za płatanina! — przerwał król z niechęcią, jakąś. W tem wszystkiem trzeba, żebyś lepszych zasięgnął wiadomości... ja nie chcę się mieszać, rozumiesz? Dziewczę powinno powrócić.

Dnia tego skończyło się na wydanym rozkazie, a że Pac wszystkich oszczędzał, nikogo sobie nie chcąc narażać, od króla poszedł zapukać do panny

Amandy, która już napół rozebrana, narzuciwszy na siebie szeroką suknię ranną, przyjęła go jeszcze nieuspokojona i gniewna.

Pac cicho powtórzył jej rozkaz, jaki od króla odebrał. Niemka gniewała się na niego.

— Niegodziwe to dziewczę i starego nawet potrafiło ująć sobie — rzekła — ja nie chcę jej mieć tutaj. Pamiętaj o tem!

— Nie masz się o co obawiać — począł wojewodzić poufale bardzo, gdy zostali sami, obchodząc się z faworytą.

Nie zważając na jej dąsanie się i zły humor, usiadł w krześle wygodnie, wyciągnął nogi, ręce, założył za głowę i słuchał jej narzekań, które szybko, niewyraźnie z pięknych ustek się sypały.

— Doprawdy, nie rozumiem cię — rzekł w końcu. — Znasz doskonale króla... u niego to nie trwa nigdy długo, on potrzebuje spokojnego, nałogowego przywiązania, któreby mu nie przeszkadzało do niczego. Pozostanie wam wiernym, ale mu fantazye podobne przebaczyć potrzeba. Zresztą co do Bietki, powinnaś i z tego względu niewiele dbać o nią, że ona pewnie ani królowi, ani tu nikomu nie będzie pozwolna!

— O! oh! — zakrzyknęła gniewnie niemka. — Cóż znowu za cnota!

— Cnota?... ja nie wiem — odezwał się Pac — może rachuba tylko, ale że tak jest jak mówię, za to ręczę.

— Dlatego, że wam była oporną! — rozśmiała się pogardliwie Amanda — ale to nic nie dowodzi... nie a nie, bo ja wiem, że się godzinami zamykała z muzykantami od kapeli króla...

Pac zerwał się z siedzenia zarumieniony i zdradził z tem, jak go Bietka obchodziła.

— O! to być nie może! — krzyknął — ktoś wam splótł tę bajkę. To do niej niepodobne.

Niemka dumnie spojrzała na niego.

— Co mówię, tego jestem pewną—dodała.—Nie wspominałam o tem wprzód, bo cóż mnie obchodzi taka jakaś służanka!

Pac się opamiętał, iż nadto okazał zajęcia Bietką, udał więc obojętność, siadł znowu w krześle i rzekł, śmiejąc się kwaśno.

— Może się uczyła muzyki... ale nie widzę pomiędzy śpiewakami i wirtuozami J. Król. Mości nikogo, co by wybrednej dziewczynie się mógł podobać.

Złośliwa niemka zwróciła się z przekąsem ku niemu.

— Są różne upodobania dziwaczne—zasyczała—ostatnia waćpana ulubienica zdradzała go przecież dla tego pomarszczonego jak jabłko karła nieboszczki królowej.

— Moja ulubienica!—wtrącił, ramionami ruszając, Pac, i zaśmiał się wesoło. — Widzę, że dziś, droga Amando, nie potrafimy ani się zrozumieć, ni pogodzić; odłożmy więc to do jutra... i dobranoc...

Pac chciał ją, zapewne na mocy dawnych przywilejów, pocałować, ale niemka się dumnie cofnęła i zdala mu dała znak, aby wyszedł, co też wojewo-
dzić, ziewając w progu, spełnił.

Nazajutrz rano nie on jeden, ale wszyscy, których Bietka ująć sobie potrafiła, a na dworze liczba ich była znaczna, puścili się, poszukując, śledząc, dopytując, co się z nią stać mogło.

Nie było to tak bardzo trudnem do wyszperania i wojewodzie dowiedział się, że Bietka schroniła się do Mingajłowej, ochmistrzyni Kazanowskich. Miał on tam stosunki, chociaż u marszałka łaski nie pozyskał, bo był o niego zazdrosnym.

Pewien tego, gdzie Bietki ma szukać, Pac natychmiast się do starej ochmistrzyni opowiedzieć kazał, nie wątpiąc, że przyjmie, odgadując, co go tam sprowadzało.

Mingajłowa, spytawszy naprzód Bietkę, co ma czy-

nić, kazała prosić wojewodzica, który wszedł do jej pokoju z wesołą twarzą i zastał w nim nietylko starszuskę, ale dziewczę, które się ukrywać wcale nie myślało.

Pozdrowił naprzód ciwunową, którą wszyscy szanowali.

— Domyślicie się łatwo—rzekł—co mnie tu sprawadza, bo ja czasu mam niestety mało, a służba królewska ani tchnąć mi nie daje, ale właśnie po tej służbie ja tu przychodzę. Sam król JMość, królewicz Zygmunt, nie licząc nas, wszyscy się o uwiedzioną przez panią ciwunową pannę Bietkę upominają.

— I panna Amanda?—wtrąciła żartobliwie obżalowana.

Pac się roześmiał.

— Ta najmocniej—rzekł—to się rozumie. Lecz żart na stronę... król się gniewa w istocie, a królewicz wczoraj tak wystąpił ze skargą do ojca, jakby nie siódmy, ale siedemnasty rok życia liczył.

— O biedne moje chłopię! — westchnęła Bietka.

— Ja—dodał Pac żywo kończąc, aby nie tracić czasu — ręczę pannie Bietce za bezkarność, za przebaczenie; choć król się dąsa, ale powrócić potrzeba.

— Ani myślę—odparła zimno dziewczyna, główkę podnosząc. Ja nie z własnej woli się tu przeniosłam, ale z rozkazu ojca. Ojciec mój wyjechał. On mnie oddał pani ciwunowej, a ja jestem posłuszną tylko.

Pani Mingajłowa, na którą Pac spojrział, potwierdziła nietylko poruszeniem, ale słowem.

— Tak jest, tak jest w istocie—odezwała się—ojciec jejmościanki życzył sobie tego, prosił, nie mogłam mu odmówić. Pani marszałkowa się zgodziła na to, aby tymczasowo u nas pozostała.

— Zaczęłam już szyć w krosnach—dodała Bietka—nie mogę porzucić. Ichmość nie wiecie tego, iż niema dla nas kobiet gorszego znaku i przepowiedni, jak gdy robotę rozpoczętą przerywamy, niedopro-

wadziwszy jej do końca. Dowiedziona rzecz, że to znaczy, iż nigdy się na kobiercu nie stanie.

— Niech panna Bietka nie żartuje—odpowiedział Pac.—Król w istocie silnie o to nalega, aby ją mieć na dworze, choćby dla Zygmunta, który się o przyjaciółkę dopomina despotycznie. Na mnie złożono całą winę niedozoru, chociaż ja ochmistrzynią dotąd mianowany nie jestem.

Król—powtórzył Pac z naciskiem.

— Król? — przerwała Bietka — czy pan wojewdzie sędzisz, że ja się obawiam króla? Nie a nie... król jest daleko lepszy, niż wy go opowiadacie. Jam gotowa sama się stawić i tłumaczyć przed nim... ale wara! jeśli mi się wymknie jakie słowo dla niemki lub dla kogoś tam niemile.

Pac się zasępił. Przybliżył do Biety i szepnął, nie chcąc aby ciwunowa posłyszała.

— Cóż znowu za historia z muzykami JKMości?

Dziewczę myślało chwilę, twarzyczka jej poczęła się rozjaśniać jakby się na śmiech zbierało, i spoważniała znowu.

— Z muzykami?... uczyłam się trochę muzyki — dodała — ale zdaje mi się, że ja do niej nie mam zdolności. Nauczyciel mi ciągle powtarzał, że nie mam ucha, chociaż mu ich dwoje pokazywałam.

I figlarnie zwróciła tak twarzyczkę ku Pacowi, aby jedno a potem drugie różowe jej uszko z bardzo pięknymi koleczykami mógł oglądać.

— Panna Bieta żartuje!—odezwał się—a sprawa jest bardzo seryo. Cóż gdy król gwardyę swoją naśle na pałac Kazanowskich i gwałtem zbiega odprowadzić każe?

— Zbiega? zbiega? — odparło dziewczę — ale ja jestem szlachciauka i wolna.

— Tak—rzekł wojewodzie—jednakże byłaś przy dworze; nie porzuca się go tak bez opowiedzenia.

Bietka pogardliwie krzywiła usta.

— Koniec końcem—rzekła —panią ciwunową nie

męczcie, mnie nie namówicie do powrotu, a ja każdej chwili gotowam się stawić przed królem i tłumaczyć. Życzę jednak pamiętać, że ja dużo mówię i nikogo oszczędzać nie myślę, broniąc siebie.

A gdybyście mnie szlachciankę, słyszycie, chcieli porwać przeciwko woli ojca, i o tem życzę myśleć, że szlachta robi rokosze!.. a jak ja pochwycę rokoszową chorągiew...

Pac mimowoli śmiać się zaczął.

— W istocie — zawołał — za takim chorążym i jabym gotów ruszyć... ale nie żartujmy, król się gniewa, Zygmunt się niecierpliwi.

— A ja wam słowo daję, że na dwór nie powrócę — odparła Bietka — przynajmniej teraz, przynajmniej póty, póki nowa pani nie przyjedzie, bo królowej Amandy ja nie uznaję.

— Tst! — kładąc palec na ustach, zawołał Pac — wy w istocie rokosz podnosicie!

— Tak, ale jeśli się królowi JMośei podoba, gotowam...—rozśmiała się—jak się to nazywa, co szlachta podaje, gdy się skarży?

— Grawamina — wtrącił Pac.

— No, ja moje grawaminy — dokończyła—gotowam przed króla wytoczyć... N. Pan nie zechce pewnie, ażebym ja ojcu memu stała się nieposłuszną?

Pac próbował jeszcze skłonić Bietkę do powrotu i do jakiegoś pojednania z Amandą, ale uparte dziewczę oświadczyło, że winno ojcu naprzód posłuszeństwo i że to jest w dziesięciorgu Bożych przykazań zapisanem.

— I, bez żartu — dodała — jeżeli król zechce, ja z panią dobrodziejką pójdę na zamek, a sama się wytłumaczę.

— Niech pan wojewodzie nie nalega — odezwiała się stara Mingajłowa.—Ja istotnie poświadczyć mogę i żarczę za to, że ojciec wymagał, aby ze dworu się usunęła. Dziecka do nieposłuszeństwa nawet król

JM. nakłonić nie może. Nie jest to fantazya jej główki, ale rozkaz rodzica.

Bieta ciągle głową potwierdzała. Pac nakoniec musiał poprzestać nalegania, zamilkł, ale widać było, że odchodził zakłopotany.

— Wszystko to—rzekł do Bietki, oddalając się—spadnie na mnie.. Król nie zechce wierzyć, a nie lubi, gdy się jego nie spełnia rozkazów.

Powróciwszy na zamek wojewodzie czekał, aż król sam pozostał i po odejściu mnogich senatorów i urzędników wsunął się do sypialni, gdy już obiad podawać miano.

— Widziałem się ze zbiegłą Bietką—rzekł, przystępując do łóżka, gdyż król, jak zawsze, na obiad czekał, nie podnosząc się z niego.

— Gdzież ona jest?—spytał król ciekawie.

— Doskonałą sobie twierdzę wybrała — rzekł Pac. — Umieścił ją ojciec, jak świadczy ciwunowa Mingajłowa, ochmistrzyni pani marszałkowej Kazanowskiej, u niej i pod jej opieką, aż do swojego powrotu.

Skrzywił się król, słuchając.

— Ojciec więc?—wyjęknął kwaśno—nie ona...

— Zdaje się, że i ona sobie tego życzyła—dodał Pac—bo z panną Amandą były ciągle spory.

Zmarszczony, kwaśny, król spojrzał na wojewodzica, ziewnął, ręką poruszył.

— Bez mojej wiedzy z mojej służby i dworu — zamruczał.

— Dziewczyna gotową jest, jak mówi, sama się stawić i tłumaczyć—dodał Pac—ale będzie Amandę obwiniać... i to do niczego nie doprowadzi.

— Al niech zostanie gdzie jest — odparł z widoczną niechęcią i zniecierpliwieniem—ja się w te sprawy kobiece wdawać nie myślę. Francymmer prowadzi panna Amanda i ona za niego odpowiada. Jej wina jeśli go utrzymać nie umie. Nie róbmy z tego dziecинства kwestji tak ważnej. Nie życzę sobie, aby

marszałkowa Kazanowska wiedziała o tem, że ja się w to wdaje, chociaż czynię to dla dziecka...

Biedny Zygmunt przyjaciółki się wyrzec będzie musiał—dorzucił król nawpół szydersko.

Pac zmilczał. Rzecz zdawała się już załatwioną, gdy król po namyśle kazał się zbliżyć do łóżka wojewodzie. Wysunął szufladę stolika, w której zadźwięczały pieniądze. Pac szedł opornie.

— N. Panie—rzekł—jeżeli myślicie o podarku dla Bietki, ona pieniędzy nie przyjmie, a ja będę narażony.

— Nie zostaniesz na nic narażony—rzekł król sucho. — Masz oto tych kilkanaście talarów, bo więcej nawet dać nie mogę, kup koleczyki lub noszenie na szyję i oddaj jej odemnie. Od króla się to przyjmuje przecie bez obrazy.

Sklonił się Pac w milczeniu.

— Lub, lepiej jeszcze—poprawił się Władysław—oddaj jej to od Zygmunta.

Pac wielce uradowany, bo wszystko się spokojnie kończyło, a on sam spodziewał się zarówno w łaskach Amandy i panny Bietki utrzymać, natychmiast spełnił rozkaz króla i jak się to jemu i bogatszym dworzanom trafiało bardzo często, do podarku od królewicza, który mu się wydał za skromnym, coś dołożył z własnej kieszeni. W ten sposób noszenie na szyję nie będąc wspaniałe, mogło przynajmniej być ozdobione i chwilowo ucieszyć dziewczę, lubiące się stroić.

W parę dni powrócił z niem do pałacu Kazanowskich i udał się do pani ciwunowej.

Bietka siedziała z towarzyszką swą panną Filipiną nad krosienkami i zastał samą tylko staruszkę.

Nastraszyła się, zobaczywszy go.

— Cóż nam pan wojewodzie przynosi? — spytała trochę trwożliwie—pokój, czy wojnę?

— Na teraz, chwała Bogu, przychodzę z pokojem—rzekł Pac.—Król bardzo żałuje, że przy synu

mieć nie będzie wesołej i ulubionej mu Bietki, ale wchodzi w jej położenie i ojca woli sprzeciwiać się nie chce. A na dowód, iż gniewny nie jest, polecono mi nawet w imieniu królewicza oddać pannie Biecie tę małą pamiąteczkę.

Uradowana staruszka przywołała zaraz dziewczę, które od krosien przybiegło, całe obwieszone jedwabiami. Postrzegłszy Paca, zachmurzyła się i cofnąć chciała, ale ciwunowa ją kilku słowami uspokoiła.

Bietka odetchnęła.

— Proszę królewiczowi podziękować—rzekła, patrząc się kanackowi, który w rękach trzymając, na różne strony obracała do światła. — Da Bóg, że może mu się odwdzięczę, gdy z pod pauowania niemkini go wyzwolę, o co nieomieszkam się starać, choć zdaleka.

Wojewodzie się uśmiechnął z tej przechwałki.

— Zdaleka będzie to trudniej, niż zblizka, a nie udało się przecie, gdyś panienka była z nami, dajmy więc pokój królowej Amandzie, bo ona i tak dosyć jest nieszczęśliwa. Gryzie się zawczasu przybyciem królowej.

— Niechżeby była swoje książątko zachowała na złą godzinę—dorzuciła złośliwa Bietka.

To mówiąc i nie chcąc przedłużać rozmowy, Płazianka zdala ctykietalnym ukłonem pożegnała wojewodzica, uśmiechnęła się szydersko i tryumfująca pobiegła się kanakiem chwalić przed Filipiną.

Ale w pałacu Kazanowskich jakże to wspaniałej potrzeba było rzeczy, ażeby się ona piękną wydała!

V.

Wiadomość o tem, co przyniosły owe tajemnicze listy z Francyi, nierychło, ale się jednak rozchodziła w kołach bliższych dworu.

Kani Kazanowska dowiedziała się najdokładniej o tem od męża, a że oni tu oboje nie lubili panny Amandy, a z rachub ich wypadło być dobrze z przyszłą królową, pani marszałkowa mocno nad tem ubolewała, że spotwarzona pani przybędzie do rozgniewanego na nią zawczasu, zniechęconego małżonka, nie przygotowana do obrony, nie obmyśliwszy środków, jakimi się oczyścićby mogła.

Marszałkowa jako kobieta brała na ślepo stronę królowej, w tak niegodziwy sposób przez nikezemnego człowieka mściwie prześladowanej. Wiedziała ona, że francuz, co z listem tym oskarżającym wyprzedził przybycie Marji Ludwiki, mścił się na niej za to, iż ją posądzał o przeszkodzenie mu do świetnego małżeństwa z jedną z tych pań, które towarzyszyły jej do Polski. Było to oburzającym. Wszystkie panie jak najgoręcej ujmowały się za królową i gotowe były z nią razem przysięgać, że jest niewinną. Kazanowska, żywego temperamentu, znająca najlepiej, jak często kobieta podać się może niesłusznie w podejrzenie, łamała nad tem głowę, jakby królowę uprzedzić, oznajmić jej o tem, co ją tu czekało, pomódz do zwycięztwa, o którym nie wątpiła.

I ona i marszałek Kazanowski znali nadto króla, słabość jego charakteru, przy całym despotyzmie, jaki wywierał na otaczających, dbałość o sławę domu, konieczność pojednania się z królową i przyjęcia jej choćby napozór z oznakami przywiązania. Z Francyi donoszono im o energicznym charakterze i świetnych przymiotach Maryi Ludwiki, tem więcej przekonani byli, że ona nad słabym, chorym i zużytym Władysławem weźmie górę.

Zdrową więc polityką było zawczasu sobie fawory pani zapewnić i okazać jej życzliwość teraz, gdy nikogo tu jeszcze nie miała.

Marszałek sam czynnie się mieszać nie chciał w tę sprawę, ale żonie wcale przeszkadzać nie myślał i owszem gotów był dopomódz nieznacznie.

Zdaniem obojga państwa marszałkowstwa nie-
zmiernie wiele zależało na tem, ażeby królowa jak
najprędzej się dowiedziała o tej zdradzie i zrozumiała
zmianę nagłą w postępowaniu męża, który teraz, za-
miast żądać przyspieszenia jej przyjazdu, wysyłał roz-
kazy, aby podróż i przybycie do Warszawy o ile
można zwlekano.

Za tłumaczenie służyła choroba, która króla tra-
piła, lecz w istocie sam on nie wiedział co pocnie.
Walczył z sobą, czasami idąc tak daleko, że szukać
chciał środków pozbycia się poślubionej już przez
prokurę panil

Wszystko to, co się tu działo w Warszawie, było
tajemnicą dla młodej pani, przyjeżdżającej z najle-
pszymi nadziejami, łądzącej się miłością króla dla
jej wizerunku, o której szeroko rozpowiadano, gdy
tymczasem Władysław kazał ten konterfekt zasunąć
gdzieś Pacowi, aby na niego nie patrzeć.

Wiedząc, co ją tu czekało, przebiegła zręczna, za
jaką ją miano, Marya Ludwika mogła się przypo-
sobić do walki i naradzić się o nią z panią posło-
wą marszałkową de Guebriant, o której rozumie, tak-
cie, powadze i znaczeniu wiele już mówiono.

W ciągu przedłużonej do Warszawy podróży, kró-
lowa, świadoma tego, co się około króla działo, miała
czas wysłałych naprzeciw nich dygnitarzy i urzędni-
ków pozyskać sobie i uczynić z nich swych stroni-
ków.

Lecz do tego wszystkiego pierwszym, najważniej-
szym krokiem—królowę ostrzedz conajprędzej.

Potrzeba było posłać kogoś.

Zachodziła w tem jednak niezmierna trudność, bo
oczy były zwrócone, o ruchu każdej znaczniejszej
osobistości wiedziano, stronnictwo królowej Amandy
stało na czatach, donoszono królowi.

Pani Kazanowska tak mocno coś na to poradzić
pragnęła, że się aż staruszcze ciwunowej zwierzyła.

Mingajłowa zaś gadatliwa, mówiła o tem ze swą Filipinką i Bietką.

Za drugim, czy trzecim razem, gdy się o tem rozmowa wznowiła, Bietka, która paliła się żądzą pomśzczenia na Amandzie i pomięszania jej szyków, odezwiała się ze swą otwartością dziecinną:

— Proszę pani ciwunowej, czy może być co łatwiejszego nad to, by królowę ostrzedz? Ja się od dawna gotowałam do tego, żeby królowej francuzce służyć, umyślniem się nauczyła po francuzku. Gotowa jestem jutro, lada z kim ruszyć do Gdańska, a tam... oho! ręczę, że sobie radę dam i do królowej się dostanę.

Myśl ta wydała się tak dziką, zuchwałą i śmieszną, że Bietka za pierwszym razem, gdy się z nią odezwiała, wysmiana, rozgniewała się i rozplakała. Ona to brała zupełnie za rzecz możliwą!

Zabawiając nazajutrz panią marszałkową, ciwunowa ze śmiechem jej opowiedziała, jak się to odwaźnie ta Bietka ofiarowała ruszać do Gdańska!

Kazanowską to mocno zaintrygowało.

— Pokaż-że mi tego rycerza w spódnice — odezwiała się — który gotów w pomoc uciśnionej pani z motyką na księżyc.

Skutkiem tego żądania śmiała dziewczyna nazajutrz stawiała się przed majestatem pani marszałkowej Kazanowskiej. Był to w istocie majestat, pani bardzo piękna, wypieszczona, bogata żona Adama przyjaciela króla, wielbiona, czczona na kolanach. Nosila się ona tak wysoko, że zaledwie tron nad sobą widziała.

Temu bóstwu taka biedna Bietka, dziewczę nieznane, robaczkciem się wydać musiało, ale ona miała zuchwałość i odwagę, śmiałość słowa, gorące uczucie, które nie tylko na mężczyznach czyniło wrażenie.

Marszałkowa, która sądziła, że ją ośmielać będzie potrzebowała, zdziwiła się, widząc taką butną i od-

ważną, iż nieraz na usta zdumionej pani wywołała uśmiech sympatyczny.

Bietka poczęła od tego, iż z wielką fantazją odmalowała życie swe na dworze i panowanie nad nim królowej Amandy, dla której była nielitościwą. Tłumaczyła swą niechęć dla niej nie osobistemi doznaniem przykrościami i upokorzeniami, ale pogardą dla fałszywego charakteru i niegodnych intryg, jakimi zaślepionego króla otaczała.

Opowiedziała potem o postanowieniu swem dostania się na dwór francuzki, o nauce języka potajemnej. Wypowiadała się z tego cudownego wynalezienia ojca, które przyszło jej tak w porę... a gdy Kazanowska potroszę się wyśmiewać zaczęła z dziwnego projektu dostania do Gdańska, Bietka odparła żywo.

— Zapewne, że mnie tak samej jednej się tam dobić bardzo trudno, ale gdybym tylko poważną jaką towarzyszkę znalazła!

Napróżno marszałkowa żartobliwie jej wszystkie trudności tego szalonego wybryku starała się odmalować, Bietka miała na wszystko odpowiedź, a im więcej mówiła o tem, tem się mocniej rozgrzewała.

— Proszę pani marszałkowej—mówiła—królowej trzeba koniecznie oznajmić, co ją tu czeka, a tego nie potrafi nikt zrobić nieznacznie, tylko kobieta... No, a jak ma być kobieta, czemuż nie ja? Drugaby to zrobiła z polecenia, z rozkazu, a ja uczynię z własnego popędu, z przywiązania do królewicza i do króla. Prawda, że się może wydaje młodą, że mi może i zaufać trudno, ale mi się ja wychowała na dworze... wszystkiego, co trzeba, nauczyło mnie to, com na nim wycierpiała.

Rozmowa z Bietką, która być miała rozrywką dla pani Kazanowskiej, w końcu ją mocno obeszła i tegoż dnia opowiedziała o niej mężowi.

Kazanowski do niczego się mieszać nie chciał, po-

wtarzał to ciągle, ale radby był widzieć kogoś przychodzącego w pomoc królowej.

— Od nas to wychodzić nie powinno — rzekł do żony — lecz, gdyby jej kto pomógł dostać się istotnie do Gdańska i zanieść tam ostrzeżenie, dla czego-by i tego środka nie próbować?

Litość wprost zmusza tę biedną cudzoziemkę, przybywającą tu z najpiękniejszymi nadziejami, ostrzedz, aby się nie łudziła. Król znowu dziś do księcia Karola list wyprawił, aby się nie śpieszono... pisał o tem do księcia Albrechta Radziwiłła, kazał oznajmić Denhoffowi, podrażniony jest, gniewny... i burza zbliża się straszna. Obwinia wszystkich, że go oszukali, nie szczędząc francuzkiego dworu. Zdaje mi się, że gdyby nie kilkakroć sto tysięcy talarów, któremi już rozporządził nim przybyły, małżeństwo zostałoby rozerwane.

— A my zostalibyśmy pod przyjemnem panowaniem tej niemkini, krórejby się w końcu klaniać potrzeba.

Kazanowskiego twarz wyraziła pogardę i obrzydzenie.

— Nie mieszaj się do tego sama, nie mów z nią nawet więcej o tem, ale ciwunowa, ale inne jej znane jejmoście, gdyby dziewczę szukające służby u nowej pani wspomogły, cóżby w tem było dziwnego?

Że się stara dostać do królowej, jest to rzecz naturalna, a bardzo być może, iż pożądaną będzie jej, jeżeli choć cokolwiek zna język.

— Mowi źle, rozumie dobrze — odparła marszałkowa — ale to taki temperament szalony, taka wola silna, że ani wątpię, iż się wprędce i z językiem i z dworem oswoi i będzie wśród niego jak w domu.

Wszystko to z początku snuło się jak bardzo nieprawdopodobne marzenie. Sama Bietka nie sądziła, ażeby jej podróż mogła przyjść do skutku. Nie domyślała się tego, że zręczna i ostrożna pani Kazanowska, umyślnie unikając widzenia się z nią, ciwu-

nowej potajemnie wydawała rozkazy i popierała śmiałą wycieczkę.

— Jeżeli się jej tak bardzo chce, niechaj jedzie! owszem... ty jej pomóż, moja ciwunowa, ale ja, ja o tem, ani marszałek nie powinniśmy wiedzieć.

Moja dobra Mingajłowo, jeżeli znajdziesz kogo do towarzystwa tej dziewczynie....

Nikt dotąd nie pomyślał o kosztach, oprócz Bietki, która na seryo już w podróż się wybierała. Wyprosiła się na mszę świętą, do Ś. Brunona.

— Ale pocóż do Ś. Brunona, kiedy Bernardyni pod bokiem? — spytała ciwunowa.

— Bo ja się muszę widzieć z księdzem Stoczkiem przyjacielem ojca.

Dobrawszy sobie służącą nazajutrz już biegła do Ś. Brunona, wpadła do kościoła, do szkółki, wyszukiwała księdza i z gorączką mu zaczęła opowiadać co zamierzała.

Ksiądz zrazu ofuknął ją łagodnie.

— A co ci się mięszać w cudze sprawy? co to do ciebie należy? ani wiek, ani rozum, ani nic cię do tego nie upoważnia! Poczciwe wścibstwo, a ja na to nie pozwolę.

Bietka porwała się bronić swej sprawy.

— Jakto? proszę księdza dobrodzieja, to my będziemy na to patrzyli jak na naszą panią zasadzkę czynią, aby ją zgubić, i będziemy złym ze strachu pomagali milczeniem? Pewno, że wygodniej siedzieć za piecem, niż iść się dać podrapać i zabłocić, ale Pan Bóg przykazał bliźnim służyć.

Stoczek poczynął się śmiać, było to dobrym znakiem.

— O to z jejmościanki rycerz? — zawołał — ale ja jastem *quasi* opiekun.

— Mnie się nic nie stanie, głowy mi za to nie zdejmą — mówiła Bietka. — Ja bądźcobądź pojedę do Gdańska. Towarzyszkę staruszkę jaką poważną znajdę, a jak mi jegomość z pieniędzy ojcowskich

nie dasz, sprzedam do ostatniego pierścionka, pójdę bodaj piechotą.

— Byłoby to bardzo pięknem — odezwał się ks. Stoczek — gdyby ta twoja cnota wielka i miłość bliźniego nie miały źródła w paskudnem uczuciu zemsty. Ty tego sama nie czujesz może, ale ja to widzę.

Bietka spuściła oczy.

— Może to być — odpowiedziała cicho — a niemniej ja złego nic nie zamierzam i nie mam na sumieniu.

Ks. Stoczek badał, pytał, uspokajał, nawracał i skończył na tem, że sam przyjdzie się rozmówić z panią ciwunową.

— Czy mam sprzedawać moje klejnoty? — zapytała go szydersko.

— Nie śpiesz się — rzekł ksiądz. — Zamiast myśleć o tem, pomódl się, pomódl, wezwij w pomoc Ducha świętego, a nie puszczaj sobie cugli tak bardzo. Niewieście to nie przystało.

— Ojciec mój — całując go w rękę odezwała się Bietka. — Byłam sierotą, sama musiałam myśleć o sobie, dlatego dziś wydaję się wam zuchwałą. Gdybym mniej odwagi miała, kto wie, co by dziś już działo się ze mną.

Ksiądz nad głową jej krzyżyk zakreślił.

— Ot to mnie ten Wierzbęta obarczył opieką — i westchnął. — To szalona dziewczyna.

Po rozmowie z ciwunową, jednakże Stoczek spokojniej się zaczął zapatrywać na całą tę sprawę, nie obwiniał tak bardzo Bietki; zawsze jednak wolałby był, żeby spokojnie siedząc tu na powrót ojca czekała.

— Proszę pani ciwunowej dobrodziejki — mówił do niej — a nuż powróci ten Wierzbęta, chcę mówić Płaza, i spyta mnie, gdzie córka, którą ci powierzyłem? Co ja mu odpowiem?

— On ją przecież i mnie powierzył — odpowie-

działa staruszka — i wierz mi, ojcze, że ja niemniej się o nią troszczę; ale nic jej nie zagraża, a dobry uczynek spełni się przez nią.

— Jakże ona to potrafi? roztrzępana taka! — wzdychał Stoczek.

— O! o! — mówiła uspokajając staruszka. — Ona mi się też taką wydawała w początkach, ale gdy potrzeba, tak się umie miarkować...

Sama potem Mingajłowa dla siebie, przez dworzan Kazanowskiego, poczęła szukać okazji do Gdańska.

Wprawdzie stosunki między stolicą a miastem portowem, najważniejszym w Rzeczypospolitej, tą potęgą handlową i ogniskiem wielkiego życia, były niezmiernie ożywione; ale w tej porze właśnie, gdy zima trzymała jeszcze, lądem nie szły tam karawany, i mało kto się wybierał. Ze szlachty jechało dosyć na spotkanie uroczyste w różnych miejscach królowej, o ile można było przewidzieć kierunek podróży, lecz to więcej zastraszало niż ułatwiałо dostanie się do Gdańska. Panowie zbierali poczty, aby z nimi witać przyszlą panią swoją, zresztą z Warszawy tylko gońcy z listami od króla przesuwali się po gościńcach.

Ciwunowa miała dosyć trudności nim w końcu napylała żonę kupca gdańskiego Rebisza, która od rodziny do męża powracała. Jejmość jechała z dwógiem dzieci, było jej więc na rękę mieć dziewczę do pomocy przy nich. Była to kobieta spokojna, niebardzo zdrowa, bojaźliwa, skarżąca się ciągle, której towarzystwo śmiałej i rezolutnej Bietki dobrze posłużyć mogło. Zgodziła się więc chętnie na zabranie jej z sobą pod niezbyt ciężkimi warunkami.

Bietka mało nie oszalała z radości. Natychmiast począł się wybór w tę drogę, która jakby urzeczywistnienie snu jakiegoś wydawała się dziewczęciu.

Nie pomyślała o tem nawet, jak przybywszy do Gdańska, potrafi się dostać do królowej — zdawało się jej to najłatwiejszem. Dotąd tak się powodziło, iż

nabrała wiary w siebie, choć i tak jej na niej nie zbywało.

Z Warszawy nie mogła mieć polecenia od nikogo, obawiano się go dać.

Uściskawszy ze łzami razem i śmiechem starą Mingajłową, jednego zimowego ranka siadła Bietka do sani z panią Rebiszową i jej dziećmi, młodsze z nich wzięwszy na kolana, i w imię Boże puściła się w tę podróż awanturniczą, dumna tem, że ona — ona biedna, nieznana dziewczynina jedzie ratować królowę!

Ks. Stoczek błogosławił zadumany, opierać się nie mogąc, ale do końca przeciwny i smutny.

Dziewczęciu teraz o nic już nie szło, tylko o pospiech, aby coprędzej dostać się do królowej.

Ale podróż zależała od śniegu, mrozu, gościńców i koni, ciągnęła się więc dłużej niż rachowano; Bietka miała więc czas bliżej się zapoznać z Rebiszową i przyjaźniąc z jej dziećmi, pozyskać sobie, tak że po dniach kilku były już na stopie poufałej i serdecznej. Kupcowa jednak nie wiedziała nic więcej nad to, że wiozła dziewczę, które w służbę królowej dostać się pragnęło.

Byli już o półtora dnia tylko od Gdańska, wedle rachunku Rebiszowej, gdy dnia jednego nad wieczór, podczas przebywania lasu, wzięła się zadymka śnieżna, która wśród gęstych drzew mało się im czuć dawała. Dopiero gdy w pole później wyjechali, woźnica znalazł drogę tak zawianą, a śnieg coraz gęstszy tak sypał miotany wichrem, że wkrótce prawie już dalej jechać stało się niepodobieństwem, a i do lasu zawrócić, aby tam się gdzieś schronić, nie było można, bo o trzy kroki nie dostrzedz nie mogło oko.

Konie zmęczone z dosyć ciężkimi saniami zapadły w kupę śniegu, noc nadechodziła i położenie stało się rozpaczliwem. Woźnica stracił głowę, a Rebiszowa, bojaźliwa, trwożna więcej o dzieci niż o siebie,

plakała, krzyczała i coraz co innego rozkazywała. Ruszyć się z miejsca było niepodobna, a śnieg gęsty coraz jeszcze przysypywał więcej sanie i konie. Woźnicy przyszło w dodatku na pamięć, że to była właśnie pora, gdy wilecy się stadami włóczyć zwykli i wygłodzone napadać na ludzi. Tuż gdzieś niedaleko, oczom teraz zakryty był las.

Nawet odważna Bietka zamilkła, widząc rzeczywistość położenie straszliwem. Na wypadek napadci wilków żadnej broni z sobą nie miał woźnica. Jedyłą nadzieją coraz głębiej zasypywanych śniegiem było, że Pan Bóg jakimś cudem sprowadzi im kogoś na pomoc. Noc przebyć w zaspie śnieżnej tem trudniej było, że i mróz wzmagał się coraz silniejszy.

Woźnica próbował hukać, składając ręce i dobywając głosu, lecz wieher szalony o kilka kroków nie słyszeć nie dawał.

Placz i rozpacz nieszczęśliwej Rebiszowej, tulącej dzieci do siebie, nawpół obłąkanej, przejmował Bietkę, której także życia żal było. Śmierć zdawała się nieuniknioną. Wkrótce ani koni, ani sanń już z pod śniegu dojrzećby nie mogli podróżni, gdyby się jeszcze trafili jacy.

Mrok padał coraz gęstszy. Bietka po namyśle woźnicę namawiać zaczęła, aby i ich i siebie w ten sposób ratować próbował, by jednego konia wyprzągl-szy i odkopawszy puścił się szukać przytułku lub ludzi.

Wprawdzie powrót do sanń był bardzo wątpliwym, ale nie nie mając już do stracenia, najmniej nawet obiecujących środków ratunków chwytając się było potrzeba. Woźnica nie miał wielkiej ochoty puszczać się na oślepi i ginąć gdzieś osobno... zwlekał więc a w końcu położył się na saniach i nie słuchał.

Mróz, zmęczenie znużyły tak w końcu wszystkich, iż jedna tylko jeszcze Bietka, wydobywszy się na wierzch sani stała i ponad kupę śniegu wyglądała. Rebiszowa, woźnica, konie, leżały już przysypane.

Wtem coś ciemnego zdało się przesuwac niedaleko. Bietka rozpoznała kopiące się w śniegu konie i z całych sił wołać o pomoc poczęła. Szczęściem wiatr głos jej niósł w tę stronę, z której jeźdźcy się pokazali. Zbudziło to i odrętwiałego już woźnicę.

Wśród białych ciemności coraz wyraźniej zarysowały się postacie koni po brzuchy w śniegu zatopionych i zwolna się ku saniom zbliżających. Byli to jeźdźcy w liczbie kilkunastu, a na ich czele młody, słusznego wzrostu, wąsaty mężczyzna, który się do sani przedzierał. Twarzy jego rozpoznać nie było można, ani on też podróżnych nógł rozeznac. lecz li-tosć go prowadziła na ratunek. Im więcej ludzi razem skupić się mogło, tem łatwiej jakiś sposób przetrwania żywym tej zawiei straszliwej obmyśleć było można. Gdy o parę już kroków od sani znalazł się jadący przodem mężczyzna, Bietka tak rozpaczliwym głosem poczęła wołać o ratunek, iż natychmiat rzucił się z konia ku nim.

Na szczęście poznało w nim dziewczę widywanego w Warszawie dworzanina ks. Albr. Radziwiłła, niejakięgo Izydora Nietykszę, który razem z wielu innymi szalenie się był rozmiłował w niej.

Prowadził on też do Gdańska ludzi i wozy swęgo pana i tak samo utknął wśród śnieżnicy na polu jak Rebiszowa, a szukając drogi natrafił na sanie. Miał on z sobą kilku towarzyszóv, resztę ich przy zagrę-złych wozach pozostawiwszy. Zabrali się zaraz wszy-scy do odkopywania sani, woźnica zrozpaczony przy-szedł do siebie, odżyła kupcowa, nadzieja wstąpiła w serca, a i Pan Bóg się ulitował nad niemi, bo wiatr zaczął ustawać, śnieg już padał coraz mniejszy i można się było spodziewać wypogodzenia.

Ów Nietyksza, który poznał Bietkę, chociaż nie mógł pojąć co ona tu zabłąkana na gościńcu robić mogła i zkad się tu wzięła, niezmiernie był spotka-niem uszczęśliwiony i gorąco się tak zajął saniami Rebiszowej, nią, dziećmi, nie mówiąc już o dziewczę-

ciu, że w godzinę potem, chociaż jednego konia postradał woźnica, z resztą się jakoś przy pomocy ludzi Radziwiłłowskich wydobyli na gościniec, który był niedaleko. Zawierucha jednak rozpoznać go wprzód nie dozwalała.

Bardzo już późną nocą zmarzli, zbiedzeni wszyscy razem, Nietyksza, jego wozy, ludzie i Rebiszowa dostali się do wioski tak zasypanej śniegiem, że kominy tylko i żórawie studni gdzieniegdzie sterczały. Tu musieli przez cały dzień spoczywać i dla kobiet i dla koni też, a tymczasem po drogach cokołwiek się przetarło i odwilż śnieg przygniota.

Nietyksza żwawy, ochoczy, wytrwały niezmiernie, a humoru nigdy niczem niezamąconego, litwin pocziwy, dopełniwszy swojego obowiązku około wozów książęcych, cały się oddał Bietce na posługi. Spotkanie z nią, zbliżenie się do niej wydawało mu się takim szczęściem, że szalał prawie.

Bietka, która go zawsze lubiła, bardzo była rada, iż Nietykszy, a nie komu innemu ocalenie była winna. Rzecz naturalna, ofiarował się on już prowadzić aż do Gdańska kobiety, a tymczasem we wsi tej przez cały dzień tak się niemi dobrze opiekował, że im na niczem nie zbywało i nawet Rebiszowa z przestachu ochłonawszy, uśmiechać się zaczynała.

Przyznawała ona ocalenie swoje Bietce, która najdłużej się trzymała na nogach i ją ponad saniami stojącą postrzegł Nietyksza. Gdyby nie ona, zasypane całkiem sanie i konie byłyby nieochybnie pominął.

Po dniu wypoczynku w nędznej chacie, która się pałacem wydała po tem, co podróżni przebyli, chociaż kapryśne śniegi mocno tajać zaczynały, puścili się saniami do niebardzo już oddalonego Gdańska i drugiego dnia przejechali wrota miejskie, przyczem Rebiszowa pierwsza postrzegła, że tu panował ruch nadzwyczajny.

Miasto, rynek, ulice, pełne były pocztów rycer-

skich, straży miejskich, kolebek, sań, jezdnych i pieszych, a naostatek mieszczan, którzy zdawali się tracić głowy.

Spodziewano się co chwila przybycia królowej — objaśnił zaraz Rebisz, który żonę i dzieci przyjął na progu domu, dziękując Opatrzności, że je cało doprowadziła. Pomimo chwili tak uroczyszej powrotu rodziny, kupiec, który zarazem był radnym miasta, nie mógł w domu pozostać. Znaleźli go wystrojonym, szedł bowiem na ratusz do rady, gdzie się niezmiernej wagi kwestye rozstrzygać miały.

Ks. Radziwiłł, wysłany przez króla, miał polecenie wspaniały wjazd królowej urządzać. Tymczasem mieszczanie o swoją niezależność troskliwi, bojaźliwi do zbytku, uroili sobie, że z wjazdu tego chciał król skorzystać, aby zamach na opanowanie miasta dokonać. Opierali się więc wpuszczeniu rycerskich pocztów, otwarciu bram, oddaniu kluczków i do ostatka bronili przeciw wymaganiom Radziwiłła, który na próżno im poprzysiegał, że najmniejszej krzywdy niktem czynić nie myśli, ani się król chce targnąć na ich samorząd i niezależność wewnątrz miasta. Potrzeba było nadzwyczajnych z jego strony wysiłków, poręczeń, ażeby wymódził otwarcie swobodne wrót, wpuszczenie wojska, a potem wreszcie należne dla królowej honory i podarki.

Bramy wprowadzie tryumfalne, obrazami poprzyzdabiane, były gotowe, ale miasto w początku niemi się wykupić chciało od innych ceremonij przyjęcia, które niebezpiecznemi mu się wydawały. Trafili właśnie, gdy na ratuszu z Radziwiłłem panowie radni, nastraszeni niełaską króla, ostatecznie się, radzi nie radzi, układali z księciem. Rebisz więc musiał być na swem urzędowem stanowisku.

Tymczasowy przytułek Bietka znalazła u kupcowej, która się tak do niej przywiązała, że gotowa ją była jak do rodziny należąca zatrzymać przy sobie. Ale o tem mowy być nie mogło. Umiejająca korzystać

ze wszystkiego Bietka, opanowała Nietykszę. Wiedziała, że Radziwił był wysłany dla przyjmowania królowej, mógł więc łatwo i jej dopomódz, gdyby chciał tylko.

W części zwierzyła się Nietykszy, jak jej wielce szło o to, aby się dostała conajprędzej na dwór pani. Nauczyła go, co miał i mógł powiedzieć o niej księciu. Litwin poprzysiągł na wszystko, co mu najdroższem było na świecie, iż Bietce ułatwi przystęp do królowej.

Besz tę ona, ufna w siebie, sama już miała dokonać.

Nietyksza, odprowadziwszy kobiety na Długi Rynek, gdzie stała kamienica Rebiszów, sam natychmiast udał się do Radziwiłłowskiej gospody, którą mu wskazano. Ale tu księcia pana nie znalazł, gdyż właśnie się z mieszczanami targował o to przyjęcie, o klucze miejskie, których z rąk puścić nie chcieli, o zawieranie bram w nocy i o tysiące drobnych szczegółów, które ojców miasta nabawiały paniką.

Nie można im było brać za złe, ale śmieszna się wydawać musiała i Radziwiłłowi i Dönhoffowi wojewodzie pomorskiemu i księciu Karolowi, gdyż nikt myśli najjnniejszej nie miał czyhać na swobody miasta.

Cały ten dzień jednak roztrząsano wszystko, obradowano nad ceremoniami, a panowie mieszczenie potroszę i koszta mieli na względzie, bo wszystko razem wzięte, z podarkami w złocie, z ucztami dla rycerstwa, z bramami wzniesionemi i z prochem, który z dział miano wystrzelać, kilkanaście tysięcy czerwonych złotych wynosić mogło.

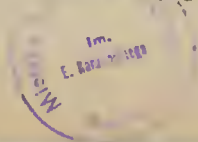
Miłość własna panów mieszczan walczyła z ich oszczędnością, dobrych gospodarzy i ostatnią pokonała, bo z Francyi przybywającej nowej pani nie chciał się Gdańsk ubogo i ładajako ukazać, zwłaszcza gdy posłyszano, jak wszędzie po drodze, miasta nawet obce, książęta, panowie, uroczyście i wspólnie podejmowali królowę.

Królowa, jak się później dowiedziała Bietka, pierwszą wiadomość, która jej do myślenia dać mogła, odebrała przez komornika królewskiego, który spotkał ją w Stolpe (7 lutego). Powitał on ją ustnie i oświadczył, że Władysław był mocno chory i że nie spodziewał się, aby królowa tak pośpieszyła... Oczekiwano jej tu dopiero na środopoście.

Zdziwić to musiało Maryę Ludwikę, że jej radożono zwlec przybycie do Warszawy, a nawet do Gdańska. Komornik króla plątał się tak ze swem poselstwem, powitaniem, radami, zresztą tak się zimno znajdował, tak mało okazywał radości z oglądania królowej, iż nietylko ona, ale wszyscy co ją otaczali, niemal czuli się tem obrażonemi.

O kilka mil od Stolpe drugi posłaniec z listami trochę naprawił co popsuł pierwszy, lecz zawsze jeszcze nietylko nie nagłono o przybycie, ale przeciwnie widocznie zwlec je usiłowano. Przed samą granicą rzeczypospolitej naostatek zjawił się wysłany iznaczony marszałkiem królowej, Dönhoff wojewoda pomorski, z dwoma oddziałami jazdy, niebieskim i szkarłatnym, ze dworem dosyć okazałym. Ten przeprowadzał do granicy, na której czekał namiot zielony królewski, cały wewnątrz wybity aksamitem szkarłatnym, wysłany kobiercami, gdyż śniegi leżały wszędzie, tak że drożyny nawet musiano okrywać sukniem. Tu oczekiwał na Maryę Ludwikę biskup kujawski, podkanclerzy Sapieha, Gembicki,znaczony kanclerzem królowej i bardzo wielu innych panów, którzy się z dobrej woli przyłączyli do orszaku przez króla wyznaczonych posłów.

W tym namiocie rozpoczęły się te nieskończone mowy, na które odpowiadać musiał ktoś w imieniu królowej i nieskończone komplementa, w których szczerłość trudno było uwierzyć. Mnóstwo ciekawych pań i panów tłumnie się znalazło po drodze do Oliwy, spotykając ciągle Maryę Ludwikę; w Sobótce ks. Karol brat królewski w jego imieniu powitał ją,



prowadząc za sobą gromadę szlachty i sześćset koni, po większej części pułków tatarskich, które nową barwą przystroić musiano.

Opowiadano tu wiele o przyjęciu w Oliwie, a Bietka dowiedziała się, co ją wielce zmartwiło, że tu pięć panien i dwie służebne z Warszawy królowej dodano. Złękła się więc, iż może trudno jej będzie dostać się do niej, mogła nawet być jej niepotrzebną!

Ze drżeniem więc oczekiwała przyjazdu do Gdańska, a przygotowania do przyjęcia same pozwalały wnosić, iż ono będzie bardzo wspaniałem. Dla dziewczęcia jednak okazałości te wszystkie zatrula obawa, niepokój i teraz dopiero widoczne niezmiernie trudności przystąpienia do przybywającej pani, około której tłumi pań polskich, panów, senatorów, szlachty, duchowieństwa się gromadziły, tak że jej chwili spoczynku nie dawano.

Na wszystko to musiał radzić pan Izydor Nietyksza i dowiódł tego, że miłość cudów dokazuje.

Jemu tylko wiadomem było, jakich użył środków, czyjego pośrednictwa, aby u księcia Albrechta Radziwiłła wyprosić zalecenie Bietki jednej z pań francuzek, znajdujących się przy boku królowej, pannie Langeron. Ta miała za przybyciem do Gdańska, jednego z tych dni, które na spoczynek przeznaczone były, ułatwić Bietce przystęp do Maryi Ludwiki.

Ona sama jednak, widząc jak wielka ilość osób coraz nowych przybywała, zaczynała powątpiewać, czy ją kto z przestrogą nie uprzedzi.

Niepodobieństwem prawie przypuścić było, aby wśród takiego natłoku ktoś się nie znalazł uwiadomiony o tem, co się na dworze działo i pragnący usługę oddać królowej.

A naówczas, jeżeli Bietka spóźnić się miała, gdy już służbę polską król zawczasu dla żony, obmyślił i przysłał ją na granicę, nie mogła się ona spodziewać ani przyjęcia, ani wdzięczności, ani pomieszczenia na dworze. Zdala to, co się tu dziać miało, by-

ło niewiadomem, i domyślać się nawet nie mogła Bietka, co ją spotka w Gdańsku.

Z bardzo więc małą nadzieją, aby się jej tu mogło poszczęścić, odebrała od Nietykszy ów bilecik do pani Langeron, który miał jej służyć jako polecenie i drzwi otworzyć do Maryi Ludwiki.

Z bijącym sercem czekała tedy przybycia, a własna sprawa tak ją gorąco obchodziła, że widok wspa-
niałego wjazdu, który Rebiszowie jej ułatwili, przesunął się przed oczyma jak mgła jakaś pstremi zabarwiona barwami. Myślała o jutrze!

IV.

Chociaż pora wcale nie sprzyjała okazałemu pod gołem niebem wystąpieniu, gdańszczanie zrobili co tylko mogli w krótkim stosunkowo czasie, aby się nie powstydzili przed potomnością. A że król sam widzieć nie mógł, co dla małżonki jego przygotowa-
no, postarali się, aby drukiem i sztychem uwiecznić dni tych pamiątek; same zaś obrazy, umyślnie dla przyozdobienia bram tryumfalnych, malowane przez doskonałych artystów, jakich Gdańsk miał naówczas, odesłano później w oryginale do Warszawy.

Nawiasem to powtórzyć potrzeba, o czem już wspomnieliśmy, iż dzięki zamilowaniu w sztuce Kazanowskich i Ossolińskiego, chwila ta była może w Polsce jedną z najświetniejszych dla niej. Mnóstwo najcelniejszych artystów pracowało dla polskich magnatów. Gdańsk miał D. Szulca i niezrównanego

Falck'a, Wilno Danckerts'a, sztychował Hondius tu sprowadzony, malowali inni, dziś zapomniani mistrzowie, w których dziełach ślad pozostał, iż kraj poznali i malowniczą jego stronę pochwycili żywo.

Na drodze już z Oliwy do Gdańska, w przeciagu milki jednej, na którą pięć godzin czasu straciła królowa, poczęły się powitania. Na pół drogi stały gwardye królewskie w sześciu oddziałach, w barwie niebieskiej podbitej żółtą, za nimi pachołkowie króla piesi, balabardnicy, dragoni, kozacy, ustawieni szeregami, całą prawie drogę aż do bram miasta zajmowali.

W bramach poczęły się kompanie mieszczan ukazywać, na których czelo siedł cech rzeźników, cały naturalnie w krwawych szkarłatach, za nimi mieszczanie w aksamitach czarnych, z łańcuchami złotemi na szyi, z piórami na kapeluszach czarnemi i białemi; kupcy czarno i poważnie, i niezliczone oddziały panów polskich, jedne wspanialsze od drugich.

Królowa jechała w złocistej kolebce sześciu śnieżnej białości woźnikami zaprzęzonej, w których grzywy i ogony ówczesną modą różowe wstęgi powplataniane były.

Tryumfalne wrota odznaczały się bardzo pięknymi malowaniami i rzeźbami, wśród których stosowne napisy jaśniały złotem.

Po raz pierwszy Bietka postrzegła królowę, jadącą w powozie, która widocznie siłła się na okazywanie twarzy wdzięcznej i wesołej, ale wydała się jej zmęczoną a prawie smutną.

Za wjazdem miały następować uczty po ucztach, lecz zaraz nazajutrz dowiedziało się dziewczę, że królowa sobie wypraszała spoczynek, którego po podróży potrzebowała. A że nie było wiadomem, jak długo zabawi w Gdańsku, bo Dönhoff na nią z nowem przyjęciem oczekiwał na starem, wspaniałem zamczysku krzyżackiem w Marienburgu; Bietka postano-

wiła przyspieszyć swój krok śmiały, dłużej nie mogąc już wytrwać w niepewności dręczącej.

Ubrana bardzo skromnie i czarno, powierzyła się opiece Nietykszy, który ofiarował się ją do pani Langeron doprowadzić, ułatwić przyjęcie, a nawet oczekiwać na powracającą.

Godzina ranna była; gdy z bijącym sercem, mimo całej swej odwagi, którą się i w ciągu podróży i tu na miejscu zbroiła, Bietka przestąpiła próg pokojów królowej i znalazła wobec jaśniejszej piękności w pełnym rozkwicie, z oczyma czarnemi, ognistemi, przenikającemi, wzrokiem ostrym, pannę Langeron.

Chwilę trwała cicha, z początku nieśmiała, potem coraz odważniej już prowadzona rozmowa Bietki z panią dworu królowej.

Panna Langeron kazała jej tu chwilę poczekać, a sama weszła do pokojów pani, i nie zabawiwszy długo wróciła, aby Bietkę wprowadzić.

Podniosła się i zapadła w oczach Nietykszy portiera, dziewczę mu znikło... i rozstrzygały się jego losy, na które już wpłynąć nikt nie mógł, oprócz Boga i jej samej.

Nietyksza, który wśród ciągle nowych przybywających, odchodzących, napraszających się, odprawianych osób mnóstwo w niewielkiej antykamerze pobytu nie znajdował zbyt zabawnym, wysunął się na szeroki ganek, który dom od ulicy oddzielał, i tu się spodziewał swobodniej obracać, ale ganek był również przepelniony, a w ulicy nawet przecisnąć się było trudniej coraz. Chociaż królowa wcale się tłumowi pokazywać nie miała, stał on uparcie w nadziei, że ją może zobaczy lub przybywającym do niej ciągle pańskim rydwanom i kolebkom się przypatrzy.

Nie przewidywał wcale, ażeby Bietka długo u królowej mogła pozostać, bo mnóstwo osób dopraszało się posłuchania, a godziny były policzone. Tymczasem na wieży w Artushof biła już godzina, która

świadczyła, że Nietyksza stał na straży około pięciu kwadransów.

Według jego rozumowania, było to dobrym znakiem. Upłynęło półtorej godziny, a Bietka nie powracała. Nietyksza zaczynał już się niepokoić, gdy pokazała się w ganku z twarzą tak nadzwyczajnie rozpromienioną i wesolą, że litwin pytać jej nie potrzebował i miał tylko za obowiązek przez niespokojną gawiedź zapelniającą znowu rynki i ulice doprowadzić nazad do domu Rebiszów.

Bietka tak szła w myślach zatopiona, że nawet mu nie podziękowała, i dopiero w pobliżu kamienicy przypomniawszy sobie pocziwego litwina, który w milczeniu za nią kroczył. Obróciła się do niego nagle i chwyciła go za rękę.

— Panie Izydorze — odezwiała się głosem wzrąszonym — nie myśl, żem niewdzięczną. Oddałeś mi przysługę, której ja nigdy, nigdy, dopóki żyć będę, nie zapomnę.

— Powiodło się? — ośmielił spytać Nietyksza.

— A! nadzwyczaj szczęśliwie! pomyślniej niż się mogłam spodziewać. Przybyłam w porę. Bóg łaskaw. Dziś jeszcze wieczorem przenoszę się do dworu pani, która mnie przyjęła.

Oczki jej zaświeciły radością.

— Królowa? — spytał litwin ciekawie.

— Królowa — odparła Bietka śpiesząc dalej — wydała mi się śliczną i nadzwyczaj miłą panią, ale niebardzo szczęśliwą. Nie potrzebujemy się jednak lękać o nią. Ma dosyć woli i rozumu, aby podolać temu, co ją tu czeka. Widziałam ją wprowadzić płaczącą, ale prędko i rezolutnie lzy otarła, odzyskała mężstwo i nie da się tak spętać, jak się może spodziewają.

Mówiłam długo, opisałam jej i opowiedziałam wszystko, bo dotąd wiedziała tylko to, o czem ją urzędownie zawiadomić chciano. Ja nie przed nią nie

potrzebowałam taić. Powinna wiedzieć wszystko, aby umieć postąpić jak należy.

Stali już w ganku Rebiszów kamienicy; uprzejmym uśmiechem Bietka pożegnała Nietykszę, śpieszno jej było.

— Będiesz waszmcść pewnie naszemu marszałkowi ks. Radziwiłłowi towarzyszył w podróży, a on nam, bo ja teraz już do orszaku królowej się liczę; zobaczymy się więc... i do zobaczenia!

A! ten uśmieszek i wejrzenie, jakim go pożegnała! Litwin byłby krwi za nie nie pożałował!

Wieczorem już Bietka przeniosła się do domu, zajmowanego przez królowę, pożegnawszy Rebiszowę, która łzawo się z nią rozstawała.

Spełniło się, czego pragnęła tak gorąco.

Wszyscy, którzy dotąd towarzyszyli królowej od granicy, i ci, co jechali z nią z Francyi, widzieli ją ciągle dosyć smutną i zateśknioną po kraju, który opuściła. Jechała jednak dosyć mężna i krzepiąc się, aby nie okazać, ile ją to męztwo kosztowało.

Dopiero w Gdańsku, gdy po odprawieniu Bietki wyjść była zmuszoną na przyjęcie Dönhoffa i Radziwiłła, oba oni poznali po jej świeżo umytych oczach, że płakała. Lecz tych ślady pozostały w wejrzeniu, chociaż usta dumniej i śmielej się uśmiechały niż kiedy. Coś gorączkowego, niecierpliwego miała w ruchach i mowie. Cochwila jakby mimowoli ściągały się jej brwi i surowym wyrazem namaszczały usta.

Dönhoff parę razy musiał powtórzyć pytania zadane, których nie dosłyszała, tak była w sobie zatopioną. Panna Langeron pierwsza szepnęła chorej towarzysze, pani des Essarts, iż królowa jakieś ważne ale niepomysłne otrzymać musiała wiadomości.

Nikomui się z nich jednak nie zwierzyła.

Tymczasem gdańszczanie raz ochłonawszy ze strachu i widząc, że polacy miasta ani bram opanowywać nie myślą, wysadzali się na grzeczności i na dowody gościnności, które razem były objawem dostat-

ków handlowego miasta. Panowie polscy, których większa część bankietować lubiła, ich dwory bardzo rade sposobności do rozrywki, nawet część francuzkiego dworu królowej, zabawiali się ochoczo. Dla francuzów wszystko tu było nowem, szczególnie zaś uderzający kontrast niezmiernej okazałości panów i niezmiernego ubóstwa ludu, opuszczenia wiosek, zaniedbania budowlu na prowincyi.

Od chwili wprowadzenia się swojego na dwór królowej, w nowej całkiem atmosferze Bietka była zmuszoną zmienić sposób obejścia się, ruchy, mowę, poskromić swą żywość i ułożyć się na wzór tych pań, które miała przed sobą.

Jej biedna francuzczyzna w początkach obudzała uśmiechy, ale dziewczę z nadzwyczajną łatwością ko-rzystało ze słuchania i obcowania; królowa wzięła ją w opiekę od pierwszego dnia. Ponieważ rozmowa, od której się poczęła znajomość, nie starczyła na objaśnienie Maryi Ludwiki, powołała, mając trochę wolnego czasu, Bietkę do siebie, a zmęczona położwszy się w łóżko, kazała jej na niskim taboreciku sięść u wezglowia i odpowiadać na mnogie pytania.

Musiała Bietka mówić o nieboszczce królowej, o pożyciu króla z nią, o małym Zygmuncie i o osobach najbliższej króla stojących. Naturalnie, poczęła od Kazanowskich, ale o tych i o Jerzym Ossolińskim królowa była dosyć już dobrze uprzedzoną.

Bietka oddawszy się tak całej nowej pani, nie miała już dla niej tajemnic, a że знаła mnóstwo ludzi, pamięcią była obdarzona doskonałą, nieoszaczwanem źródłem informacyi stała się dla królowej.

Nie dziw też, że owe pięć panienek szlachcianek polskich i dwie służanki, które król wysłał zagranicę, a do nich tu nikt nie mówił, nikt się o nie nie troszczył, nikt żadnej od nich usługi nie potrzebował, bardzo zazdrosnem okiem zaczęły patrzeć na tego intruza.

Pierwsza jednak Bietka zbliżyła się do nich, i nie

nadając sobie żadnych tonów wyższości, starała się im być pomocą na dworze, w którym jeszcze żadnego wyrobionego ładu i porządku nie było.

Królowa wiozła z sobą pań kilka, służbę francuzką dosyć liczną, a posel francuzki, posłowa osobna pani de Guebriant, dodani jej dla powagi towarzysze, składali gromadkę znaczną. Wszystko to z drugim światem polskim, obok stojącym, jeszcze się nie miało czasu połączyć i zlać w jedno. Spoglądano na siebie z ciekawością ale pewnem niedowierzaniem.

Nietyksza, który przez tych dni kilka miał czas już szpetnie się rozkochać na nowo w dzieweczce, o ile mu jego służba dozwalała, dowiadywał się do niej. Jednakże, choć dosyć dla niego życzliwa. Bietka musiała przestrzegać, że na nich ludzie złośliwi patrzą i że to jej szkodzić może. Musiał więc nader przeznorny pan Izydor mniej bojaźliwą pannę Zubko, dodanej królowej z urzędu, zacząć bałamuścić, aby pod pozorem jej do Bietki się zbliżył.

W Gdańsku tymczasem codzien było na co pa-trzeć, bo miasto się nietylko zmogło pierwszego dnia na kawalkaty i na bramy, ale potem coraz to coś osobliwego dla zabawienia królowej wymyślano, chociaż ona to bardzo obojętnie i smutno przyjmowała.

We środę potem mszy słuchał dwór i pani w klasztorze zakonnic, a po niej zawieziono w paradzie wszystkich do Weichselmünde i zmuszono niemal królowę do wstąpienia aż na wierzchołek morskiej latarni dla wspaniałego z niej widoku. Miasto i tu przyjmowało obiadem. Następnego dnia przedstawiano włoską komedję a raczej operę ze śpiewami*), z muzyką, z tańcami, która pięć godzin trwała, bo czarodziejskie zmiany dekoracyj wiele czasu zabierały.

*) Opery zwano naówczas recytatywami. (P. A.)

Na rynku potem wyprawiono ognie sztuczne, a dla ludu wystawiono maszty mydłem smarowane, na które majtkowie i kominiarczuki do późnej nocy się drapali, aby zdobyć całe ubranie i woreczek z talarami, powieszzone na przynętę.

Musiała potem królowa oglądać bogato zasposobiony arsenał miejski, i przez cały tydzień z okładem nie ustawały rozmaitego rodzaju rozrywki. Bietka miała czas, nim we wtorek w dalszą wyruszono drogę, obeznać się ze dworem, porozumieć z towarzyszkami i nauczyć, jak mogła najlepiej usłużyć królowej. Do czynienia nie miała wiele, ale ją bardzo często powoływano, bo przekonawszy się, iż na jej przestrogi liczyć można, Marya Ludwika coraz nowych spotykając ludzi, ją o nich naprzód rozpytywała. Bietka zaś знаła wszystkich prawie, a o każdym miała coś do powiedzenia.

Wyjazd królowej nastąpić miał w poniedziałek, ale miejscowy przesąd pod jakimś pozorem kazał go zwlec do wtorku. Powozy już wyszły w rynek i miało się puścić w drogę, gdy na samym tym placu ukazała się gromadka masek, pasterek i pastuszków, i zmusiła zatrzymać się dla oglądania pożegnального baletu.

Maryi Ludwice tymczasem łyzy stały w oczach. Każdy nowo przybywający z Warszawy, czy ode dworu, przypominał jej rzuconą potwarz, wywoływał rumieniec, bo się pytała siebie: czy nie jest uwiadomionym?... w oczach każdego szukała oznak niechęci, ciekawości, politowania, zarówno ją drażniących.

Odosobniała się też, o ile mogła, tak, że nawet najpoufalsze towarzysзки milczeniem zbywała.

Na zamku w Marienburgu dozwolono jej spocząć nieco. Tu Dönhoff przyjmował królowę, która rada była podróż przyspieszać, gdy towarzyszący jej wi docznie opóźniać się starali.

W Marienburgu, mimo starań wojewody, wygod i mnóstwa rzeczy brakło.

Elbląg, do którego przybyła królowa w piątek, oprócz wrót tryumfalnych, w rynku zasadził cały las drzew pomarańczowych, z których owoce otrząsano i obrywano. Brama miała anioła u góry, który królowej podał koronę. W przejeździe przez Prusy podejmowano podróżnych kosztem holdownika, elektora brandenburgskiego, lecz bardzo oszczędnie i skromnie.

O dalszej podróży aż do Nieporętu, dosyć jednostajnej i nudnej, niema co mówić. Przed oczyma królowej kraj w tej porze roku mniej jeszcze wdzięczny niż kiedykolwiek, przesunął się jak szare jakieś tło, w którym oko zatrzymać się nie miało na czem.

Stosownie do rozkazów, z Warszawy nadchodzących, po krótkim wypoczynku w Nieporęcie, którego dwór i ogrody wcale ładnie wyglądały, pośpieszono do Falent, gdzie dłuższy naznaczony był pobyt. I tu także dosyć wygodnie, choć ciasno, pomieścić się było można, a Marya Ludwika wcale o wygody się nie troszczyła, mając niepokój w duszy i zawsze jeszcze do przebycia jakieś groźne przesilenie. Ona sama ani mogła, ani chciała go wywoływać, była nadto dumną, lecz posłowa pani de Guebriant już zawiadomiona o listach, które król odebrał, o zniechęceniu jego, przygotowywała się z całą powagą swą i zręcznością, ale razem z oburzeniem i siłą wystąpić przeciwko uknutej intrydze.

I ona i poseł p. de Brégy, zresztą dwór cały nie mógł nie zrozumieć i nie uczuć, że coś zaszło zatruwającego spodziewane wesele.

Dosyć było spojrzeć na Maryę Ludwikę, a nawet na daleko umiejętniej się maskującą panią de Guebriant, policzyć nieustannie tam i nazad przesyłane listy i przybywających od króla z poleceniami panów, których oblicza wiele odgadywać kazały, aby się domyślać, że pod świetnemi pozory pożądanego wesela kryło się coś bolesnego i groźnego.

Wisłę nie dojeżdżając do Falent przebyła królowa w lekkich sankach złożonych, mających kształt orła z rozpiętymi skrzydłami, ale nawet pod niemi osłabły łód już pękał i cięższych sań i wozów kilka się zalamalo.

Falenty mogły ze swym ogrodem, bardzo starannie utrzymywanym, być pięknymi w lecie; pierwszych dni marca, nawet trawa w miejscach ku słońcu zwróconych, zaledwie się dobywać zaczynała.

Ciekawość, przy niewielkiej odległości od Warszawy, ściągała tu nieustannie gości, których potrzeba było z wdzięcznością i nśmiechem na ustach przyjmować, gdy więcej ciężyli niż zabawiali.

Wszyscy oni chcieli poznać królowę, aby wyczytać coś z jej twarzy, bo jakieś posłuchy chodziły dziwne. Król to słaby leżał w łózk, to nagle wstawał, niecierpliwym był, gniewał się. Jednego dnia domagał się, aby przybycie królowej jak najdłużej odciągnąć się mogło, drugiego chciał je przyśpieszyć, jakby gorzkie lekarstwo, które wychylić był zmuszony. Marszałkowa de Guebriant w listach i przez swych posłów domagała się, żądała pośpiechu.

Królowa sama napozór w tej stłumionej walce wcale nie była czynną, musiała okazywać jakby o niej nie wiedziała, nie domyślała się jej wcale; nieszczęściem niewieścia drażliwość na pięknej jej twarzy codzień wyraziściej piętnowała niepokój wewnętrzny i męczarnię.

W Falentach Bietka, która umiała się ukrywać za drugimi i nie występować naprzód, królowej poufnie przydała się wielce. Od czasu, gdy opuściła Warszawę, domyślać się było można zmian może w usposobieniach, w położeniu króla względem osób otaczających, w osnutyh na przyszłość planach. Nikogo z przybywających z pokłonami gości ani się pytać, ani z nich wyrozumieć coś było można.

Królowa, która się dotąd na Bietce nie zawiodła,

miała wielką ochotę wyprawić ją na zwiady do Warszawy.

Od trzeciego do dziesiątego marca trwać miał spoczynek w Falentach, a może byłby się przeciągnął dłużej, zawsze pod pozorem choroby króla, gdyby zręczna pani de Guebriant przez różne osoby i różne środki nie przynagliła króla.

Zwłoki w ostatku były dla królowej obrażającemi, dawały powody do tłumaczeń i domysłów niemilych. Nie postrzeżono się wcale, gdy drugiego dnia po przybyciu do Falent, Bietka przybrawszy sobie pannę Zubko, małym brożkiem, ale końmi doskonałemi, o które się Nietyksza postarał, ranienteńko wyjechała do Warszawy. Pan Izidor w dodatku tak zręcznie manewrował, iż tego samego dnia dostał zlecenie dotarcia także do stolicy, i na gościńcu czekał na panny, bo im chciał towarzyszyć nieodstępnie aż do miasta.

Na wyjezdnem królowa popatrzyła na dziewczę nie mówiąc nic, miała lzy na oczach.

— Rozumie się — szepnęła cicho — że jedziesz dla siebie tylko, że ci się stęskniło, a ja nic o tem nie wiem. Powracaj prędko. Jeśli goście jacy przybędą z Warszawy, nie będę miała kogo spytać, jaką ich przyjmować twarzą, gdy już dziś, zawczasu, nim przybyłam, mam tu wrogów.

— N. Pani — odparło dziewczę, które ciągle starało się dodawać odwagi — potrafiśz ich łącno rozbroić, a npartyh pokonać.

Dwie najulubieńsze francuzki, pani des Essarts, która już była wyzdrowiała, i gderliwa, zazdrośna, niemila, podejrzliwa Langeron, niespokojnem okiem spoglądały na coraz pozyskującą większe zaufanie Bietkę, którą bardzo lekko szacowały z początku; umiała je ona wszakże zjednać sobie, unikając najmniejszego nieporozumienia. Oprócz tego służyła troskliwie pani des Essarts w jej chorobie w Gdańsku,

i potrafiła sobie pozyskać całą tę rodzinę, bo i mąż i córka jechali z nią za królową.

Bietka postrzegła łatwo, iż pomiędzy panią des Essarts a Langeron już się w czasie podróży wywiązały niechęci, zazdrości, podejrzenia. Potrzeba więc było unikać, aby się do zawikłań tych i intryg nie wmięszać.

Dwór Maryi Ludwiki był zresztą dosyć liczny. Oprócz ks. de Fleury, spowiednika królowej, doktora Sorbony, duchownego wielkiej nanki, powagi i ogłady, bardzo zręcznego doktora de Lafage, usłużnego i słodkiego dla wszystkich kuchmistrza de Ronsay i jego żony, otaczały królowę pani d'Aubigny, włoszka, wydana za Normanda, która miała tu sławę nadzwyczajnej przebiegłości i chytrości, pokrytej uprzejmością dla wszystkich, i trzpiotowate panny Duret, de Mailly, de Lucé. Te tak były zajęte nowym dla nich krajem, ludźmi, a nawet życiem i stołem, strojem i mową, które się im dziwacznie wydawały, że mało co więcej je obchodziło. Bietka była z nimi tem lepiej, że ciągle od niej objaśnień jakichś potrzebowały. Życie więc na dworze składało się dla niej dosyć szczęśliwie, a wiele też winna była własnej odwadze i zręczności, z jaką miejsce tu sobie wyrobić umiała, na którem niełatwo ją kto mógł zastąpić.

Namyslała się po drodze Bietka, dokąd w Warszawie naprzód zajechać miała. Chciała widzieć starą Mingajłową, ale jej do pałacu Kazanowskich, gdzie tyle oczów było i tyle języków pochopnych do roznoszenia plotek, nie zdało się bezpiecznem udać od razu. Mniej widoczne, cichsze mogły być odwiedziny Bieleckich, i brożek pojechał na Piwną alicę.

Można łatwo odgadnąć, jak niesłychanie ciekawa, spragniona wieści, karmiąca się głuchemi pogadankami dochodzącemi tutaj, pani Łukaszowa przyjęła przybywających z Falent gości. Dla niej było to szczęściem prawdziwem, ale i dla Bietki Bielecka,

której mąż całe dnie na zamku spędzał i nawykły był dla żony podsłuchiwać, nieoszacowanym źródłem się stała. Przez kilka chwil pierwszych usta się obu im nie zamykały, bo pytały obie, a żadna odpowiedzieć nie miała czasu. Nierycło się uspokoiły.

— Na rany Chrystusowe! — wołała Bielecka — mów, mów! Cóż to jest ta królowa! Chodzą o niej najsprzeczniejsze wiadomości. Jedni mówią, że stara i brzydka, drudzy, że śliczna i zalotna, że skąpa i rozrzutna, że samowolna, że bojaźliwa... Każdy przybywający co innego plecie, ale tyś ją przecież bliżej poznała?

— Nie wiercie bałamutnym opowiadaniom — odparła Bietka — królowa jest wcale młodą jeszcze, a gdy się przestanie gryść i niepokoić, będzie bardzo piękną. Teraz i drogą zmęczona i zgryziona tysiącem przykrości, i niespokojna, wygląda trochę miernie.

— Ale cóż? mądra? zła? dobra? — przerywała niecierpliwie Bielecka.

— Rozumu u nikogo pożyczać nie będzie potrzebowała — odparła z uśmiechem złośliwym Bietka — za to wam ręczę; dobra jest ale nie miękka i umie się szacować. Więc lada niemki się nie zleknie, a każdemu około siebie miejsce potrafi wyznaczyć jakiego wart. Zobaczycie...

— Będzie drugą Cecylią czy nie? — zapytała Bielecka.

— Wątpię ażeby się tak królowi zawojować i rządzić dała jak tamta — przerwało dziewczę — ale o tem zgóry trudno sądzić. Tymczasem to tylko wiem, że i ona i pani posłowa, która jej towarzyszy, dąsają się na króla. Pilno mu było tak mieć i widzieć tę żonę, a teraz z dnia na dzień nasze przybycie odkładają.

— Król bo chory! — wtrąciła Bielecka.

— Przecież tak słabym nie jest, aby żony przy-

jąc nie mógł, a kazał jej gdzieś na rozdrożu tak jak w gospodzie czekać na zmiłowanie!

Co na to powiedzą we Francyl!

Pani Łukaszowa obejrzała się na siedzącą tuż Zubkówną, jakby dla niej obawiała się mówić otwarcie.

W istocie świadek był niepotrzebny i musiano się go pozbyć pod pozorem wypoczynku.

— Ale cóż dzieje się z królem i Amandą? — poczęła niecierpliwie Bietka.

— Al! al! — zawołała ręce do góry podnosząc Bielecka. — Skorzystała niemkiny z czasu i z okoliczności, znowu tedy w niepomiernych łaskach u króla, który nietylko wieczorami z nią przesiaduje, ale większą część dnia tam przepędza. Niema już mowy o tem, ażeby kiedy ją zamaż wydano... jest niezbędną dla Zygmunsa, zostanie na wieki wieków, a król żony znać nie będzie.

Amanda nawet potrafiła go przez ten cały czas tak trzymać, że do żadnej z jej służebnic się nie uśmiechnął, a Pac nie śmie mu żadnej z nich nastroczać. Ona tu wszystkiem teraz.

To też ton przybrała cale inny i rozkazuje tak jakby panią była, króla nawet nie pytając, a w kościele do łoży pańskiej wchodzi i zasiada na tem krześle, które królowa nieboszczka zajmowała, jakby do niego miała prawo.

Królby może dawno już skończył z tem ożenieniem i nową panią, ale ona go wstrzymuje i nie dopuszcza. Pac jej służy i też piosnkę śpiewa. Potrafiła sobie pozyskać innych. Doktor dla choroby radzi wesele odraczać, ks. Pstrokoński też nie nagli, Kazanowski milczy, bo on nigdy przeciw wody nie płynie.

— No, ale się to raz przecież skończyć musi? — przerwała zniecierpliwiona Bietka. — Al! jakbym rada zobaczyć Paca, ale nie mogę! Nie. Czasu mi nawet zabraknie; a gdyby się wydało, że tu jestem... Niel

nie! Z jedną moją starą Mingajłową widzieć się muszę, bo taby mi nie przebaczyła.

Bielecka chciała się dowiedzieć, jak Bietce udało się tak szczęśliwie na swem postawić i do królowej dostać, ale dziewczę na dłuższe opowiadanie czasu nie miało i zbyło ją kilku słowami.

Wieczór upłynął na wzajemnem badaniu, a powracający do domu Bielecki niemniej od żony okazywał się ciekawym. Potwierdzał on wszystko co mówiła żona. Niestety! Amanda zachwianą swą nad królem władzę odzyskiwała z każdym dniem widoczniej.

Oprócz Paca skupiali się już i inni znowu przy faworycie, znajdując, że daleko wygodniej będzie jej stronę popierać, niż królowej, przeciw której uprzedzenie króla nie tylko rosło coraz, ale przybierało groźne cechy.

Ci co powracali do Warszawy z Nieporętu, z Mławy, z drogi, powitawszy królowę, wszyscy uprzedzeni przez przyjaciół panny Amandy, przywozili wiadomości, które jej tylko na korzyść wychodziły.

Opowiadano królowi, że królowa wcale się młodą nie wydaje, ani tak piękną jak na przywiezionych wizerunkach, że jest dumną, pogardliwą, niechętną, że kraj się jej i francuzom wydał ubogim bardzo i brzydkim.

Wprawdzie zwierzenia się te przybierały formy przyzwoite i nacechowane były niby współczuciem dla Maryi Ludwiki, ale skutek, jaki na królu wywrzeć miały, był obrachowany.

Co tylko mogli przyjaciele dworki wynaleźć, znając króla, najskuteczniej działającego na umysł, wszystko przeciwko królowej wymierzili.

Zniechęcenie Władysława było widocznem, niekiedy aż nadto, a w poufaleń kółku nie ukrywał się z niem wcale. Kazanowski jeden ze względów dostojęstwa królewskiego, polityki i potrzeby oszczędzenia Francyi, obowiązku uniknienia skandalu, po-

wstrzymywał przyjaciela, radząc mu umiarkowanie i cierpliwość.

Nie występował on otwarcie przeciwko niemce, która umiała takim kołem opasać króla, ale przemawiał do miłości własnej, do dumy, któraby upokorzona być musiała, gdy zbyt jawnie Władysław okazał, że został zwiedziony i oszukany.

Jedne też te chłodne uwagi Kazanowskiego miały dosyć siły i wpływu, aby króla od nierozważnego kroku powstrzymać.

— Niepodobieństwem jest dłużej kazać królowej czekać w Falentach—mówił marszałek.—Tydzień dla wypoczynku, dla przygotowania się, ale więcej rażaćcem będzie.

Kazanowski też pilnował, ażeby ten wjazd do Warszawy, który z początku chciano nadzwyczaj świetnym uczynić, nie został zaniedbany. Szło o króla, o okazanie francuzom jego potęgi i bogactwa.

W programie dawnym stało, iż król na spotkanie miał wyjechać choćby o mil parę. Władysław już się wzdragał tego uczynić. Składał się doktorem, który mu zabraniał niepodobieństwem. Ani nawet do Falent skłonić go nie było podobna.

Nad tem pracowali przyjaciele Amandy. Postarano się też o jakieś listy, które wrzekomo plotkę zawartą w pierwszych potwierdzały.

Słowem sprawa królowej stała tu jak najgorzej i Bietka łatwo się o tem przekonać mogła. Ale nie rozpaczała wcale, aby się to wszystko nie dało zmienić.

W ciągu podróży od Gdańska do Falent trochę się zapoznała zdala z otoczeniem posłowej pani de Guebriant, przypatrzyła jej samej i na niej największą pokładała nadzieję.

Królowa sama z pewnością nie byłaby potrafiła wyjść zwycięzko z osnutej sieci intryg, które tu na nią czekały.

Nie mogąc długo pozostać w Warszawie, naza-

jutrz rano dziewczę już było u Mingajłowej, która je zdumieniem przywitała, uląkłszy się naprzód czy ją ode dworu nie odprawiono. Uspokoila się dowiadując, że wysłana została dla dostania języka.

Ale od pani ciwunowej niewiele się dowiedzieć było można i upewnić chyba tylko, że Kazanowscy do obozu niemki wcale przechodzić nie myśleli, chociaż ona chwilowo była zwyciężką.

Marszałkowa ani znać jej ni wiedzieć nie chciała, tak się z nią obchodząc, jakby była prostą ochmi-strzynią przy królewiczu. Zabiegała wielce niemka, aby tak ją jak inne panie pozyskać i zbliżyć się do nich; wszystkie umiały się wymówić, wysłiznąć i nie dopuścić ją do poufałości z sobą.

Surowy obyczaj ówczesny wszystko łatwiej przebaczał nad tak zwane jawnogrzesznictwo, urągające prawom kościoła i mnożące zgorszenie. Pokątne miłostki puszczano płazem, choć na nich nie zbywało, ale publiczne zgorszenie nawet królowi bezkarnie ujść nie mogło.

Władysław lekcewał się sobie to, a wiele rzeczy nie znał i nie wiedział, ale nawet dworscy oddani mu, gdy przyszło do obrony króla, milczeć musieli. Nie mógł więc Władysław za złe mieć niewiastom, żonom senatorów, że od Amandy unikały lub obchodziły się z nią, tak, jakby o łaskach pańskich nie wiedziały.

Wielu surowszych, jak Albrecht Radziwiłł, bronili króla, wszelkie stosunki dwuznaczne mając za potwarz i bajkę.

Marszałkowa Kazanowska uwiadomiona o Bietce, weszła niby przypadkiem do ciwunowej, aby coś od niej o królowej posłyszeć. Dziewczę musiało dobrze obrachować co mówić wypadało. Wszystko co od niej usłyszała marszałkowa było na pochwałę nowej pani, i pani de Guebriant, która też ciekawość obudzała.

Bietka dodała kończąc, że królowej nawet niedo-

syć wygodnie było w Fałentach, a dla jej dworu ciasno, i że trzymać tu dłużej, w tej porze wiosny chłodnej, stawało się okrucieństwem.

— Spodziewamy się też—dodała—że król rychło pozdrowieje, że się do wjazdu wszyscy przygotowują nareszcie, gdy tyle czasu mieli na to, a nas z tej niewoli uwolnią. Wzdychamy do tego.

— I ja sędzę—odezwała się marszałkowa—iż to wkrótce nastąpić musi. Niech nam tylko młoda pani przybywa odważną, wesołą i śmiałą, a wiele rzeczy, o których jej niepotrzebnie może mówiono, zapomni, bo o nich wiedzieć nie powinna.

Z tem wyszła pani marszałkowa, a Bietka musiała, zebrawszy tu co mogła—niepocieszających wieści, powracać do Fałent. Wstąpiła tylko dla pożegnania do Bieleckich, gdzie czekał Nietyksza zabawiając pannę Zubkową, a oknem wypatrując, czy nie powraca Bietka. Konie stały gotowe, dzień się obiecywał dosyć znośny, i dziewczę dodając sobie odwagi, siadło do brożka, który się potoczył, z Nietykszą u drzwiczek nieodstępny.

P. Izydor miał także wiadomości, które we dworze Radziwiłłowskim zaczerpnął. Tam spodziewano się napewno już, iż wjazd około dziesiątego, to jest za dni kilka nastąpić musi. Ponieważ ks. Albrecht marszałkował u królowej, wydane przez niego rozkazy do gotowości dla pocztów własnych i rodziny miały pewne znaczenie.

Bietka tem była przynajmniej pocieszoną nieco, a choć w ogóle to co wiozła pocieszającym nie było, postanowiła królowej nie straszyć i owszem stan rzeczy jej odmalować lepszym niż był w istocie, aby odwagi nabrała.

Śmiejąc się i żartując z Nietykszy, którego koń był niesworny, a on sam roztargniony, dziewczęta przebyły do Fałent drogą prędzej niż się spodziewały. Wiatr wiosenny szybko suszył roztopy; błotni-

sta droga, którą królowę straszono, mniej się wydawała przykrą. Bietka z bijącym sercem, zabierając się trochę kłamać, wyskoczyła z brożka przed oficyną w Falentach.

V.

Przed częścią dygnitarzy i senatorów król był zmuszonym zachować się tak, aby nie dać poznać po sobie, iż zaszło coś odstręczającego od królowej i zniechęcającego do niej. Mianowicie z surowego obyczaju księciem Albrechtem Radziwillem, którego mianował marszałkiem dla przyjęcia przybywającej, obchodził się tak, jakby tylko choroba stawała na przeszkodzie powitania w Falentach i wyjechania na przeciw.

Ks. Radziwiłł, któremu i królowej widocznie cierpiącej na tem lekceważeniu żal było, a prócz tego i przed marszałkową de Guebriant musiał tłumaczyć króla, starał się przynajmniej jaakiemiś dowodami grzeczności i uprzejmości w oczach ludzi pokryć to postępowanie.

Panna Amanda tymczasem i jej przyjaciele robili co mogli, aby króla utrzymać w tem usposobieniu niechętnem i wstrzymać od wszelkich zbyt obiecujących objawów. Król się wahał i cierpiał.

Tymczasem pobyt w Falentach u pana Opackiego przeciągał się i pozostawienie tam królowej samotnej, prawie bez wiadomości od króla, opuszczonej, musiało być uderzającym. Radziwiłł więc, który był uwiadomiony o wszystkim, ale przed królem nie dawał tego poznać, wniósł, ażeby przynajmniej małego kró-

lewicza wyprowadzić i dać go poznać przyszej matce przybranej, która się jego wychowaniem zająć miała.

Król wysłuchał tego wniosku zimno, sam bowiem wprzód już myślał, iżby to było przyzwoitem, ale nie wiedział co na to powie panna Amanda. Miała ona zwierzchni nadzór nad nim, odebrać go jej, posłać bez niej? mogło dla niemki być obrażającym; posłać z nią, było narazić może. Zresztą nie wiedział czy ona zechce towarzyszyć wychowawcowi, a był pewnym, że wysłaniu go sprzeciwi się.

W pierwszej więc chwili nie odpowiedział nic Radziwiłłowi.

Zawołać kazał po wyjściu jego Paca, który mu służył za pośrednika.

— Zygmunta każą mi posłać królowej — odezwał się — niezawodnieby to uczynić wypadało. Tak jest — powtórzył zaszepiając się — ludzie już i tak mruczą... domyślają się. Wiesz, że żona Cezara nawet podejrzaną być nie powinna. Co zaszło, to musi pozostać między mną a nią, a tymczasem pozory ocalić należy dla dostojęstwa korony.

Pac milczał.

— Idź z tem do Amandy — dodał król — pojedzie ona sama z Zygmuntem?

Spojrzał król na wojewodzica, który usta zagryzał.

— Gdyby pojechała — mówił Władysław dalej — obawiałbym się jakiego fałszywego kroku... Nie panuje dosyć nad sobą.

— N. Panie, nadto jest do W. Król. Mości przywiązana — rzekł Pac — trudno po niej wymagać krwi zimnej w tej chwili, gdy widzi co jej zagraża.

— Ale cóż jej zagraża? — kwaśno przerwał król. — Dotąd nic a nic. Odemnie zależy miejsce jej i funkcye przy Zygmuncie zachować. Nie ma lat siedmiu królewicz, więc jeszcze kobiecej opieki potrzebuje.

— A królowa? — szepnął Pac.

— Królowa nie może się przecie zajmować drob-

nostkami — rzekł król — i niewiadomo jeszcze jak się ułoży to życie jej w przyszłości.

Podumał król nieco.

— Amandaby powinna wymódlz na sobie i jechać jako ochmistrzyni z królewiczem do Falent; poznałaby ją prędzej i mnie relacją przywiozła.

— Książę Karol zdaje mi się — wtrącił Pac.

Władysław ramionami rzucił.

— Waszmość wiesz, że książę Karol na kobiety nie patrzy i ledwie do nich mówić raczy. Królowa dla niego nie stanowi wyjątku. Jestem pewnym, że choć ją często w ciągu podróży widywał, nie wie ani koloru jej oczów ni włosów. O królowej dotąd nie miałem takiej relacyi, jakąbym życzył mieć, od nikogo. Radziwiłł chwali... chwałą wszyscy.

— Panna Amanda — począł Pac cicho — będzie przeciwną wysłaniu królewicza, a jeśli mi wolno ją tłumaczyć, powiem, że może ma słuszość, bo królowa tem nadszkakiwaniem jej ludzić się gotowa.

Władysław słuchał ze wzrokiem wlepionym w posadzkę.

— Królewicza wysłać potrzeba — rzekł — ceremoniał dworski tego wymaga. Byłoby uchybieniem. Idź z tem do Amandy.

Wojewodzie skłonił się i wyszedł krokiem przyspieszonym z poselstwem, które mu wcale nie smakowało. Wiedział co go tu czeka.

Królewicza nie było przy niej, siedziała sama, dni te całe spędzając w gorączce, rozpędzając swe sługi, gniewając się na wszystkich, płacząc naprzemiany i dając się. Napróżno sam król i przyjaciele ją uspokajali, a Władysław nawet więcej okazywał czułości niż przed kilku miesiącami; przewidywała, że się tu usiedzieć i pozostać nie będzie mogła.

Naprzemiany to sama chciała dwór opuścić, to upierała się na nim pozostać.

Na wychowawca swojego Zygmunta nie mogła rachować. Nie miała przywiązania do niego, i pozy-

skać też sobie dziecka nie umiała. Zygmunt, któremu już poszepnięto, iż zapewne straci swą ochotniczkę, mówił o tem z zupełną obojętnością. Spodziewał się, iż przy tej zmianie przejdzie pod dozór mężki, a tego sobie życzył, bo miał się już za dorosłego.

Gdy Pac wszedł do pokoju niemki, zastał ją opartą na stolicku, ze śladami łez na oczach, ale razem i gniewu na twarzy.

Pac obejrzał się czy ich nie podsłuchiowano.

— Zdaje się — rzekł — że królowa zażądała, aby jej królewicza przywieziono do Falent. Chce go poznać.

— Byłam pewna — wykrzyknęła Amanda — że wymyślą i to w końcu... Królowa! Waćpan wierzysz, że to królowa... nie... jej przyjaciele chcą tej grzeczności.

— Król sobie też życzy.

— Król nie ma najmniejszej mocy charakteru — zawołała niemka. — Wie, że go oszukano, że ta jego dziewczyna narzeczona była już zaręczoną, narzeczoną i zapewne więcej jeszcze... księżęcią... księżęt... i nie wiem ilu faworytów.

Plątała się i jękała.

— Postanowił był okazać jej — mówiła dalej — iż nie jest ślepym i głuchym, że wie o wszystkim, dał jej już do zrozumienia, że czułym małżonkiem być nie myśli, bo i zwłókl przybycie i wcale na krok się na spotkanie ruszyć nie myśli, a teraz nagle namówiono go na wcale co innego.

A! tegom się powinna była spodziewać! — dodała z gniewem. — On nie ma serca! Gotów wyjechać sam!

Rozpląkała się, ukryła twarz w dłonie i szlochała ze złości.

— Król — podchwycił Pac — nie jest panem swych czynności, musi uleść pewnym wymaganiom. Tysiące oczów patrzy na niego, tłumaczą złośliwie, dla majestatu tronu musi zachować pewne pozory.

— Niech więc robi co chce! — wykrzyknęła panna Amanda — niech mnie jutro precz ztąd wygna, niech jej odda królewicza, aby go struła, niech....

Nie dokończyła tylko łkaniem. Pac był mocno skłopotany.

— Panna Amanda nie masz wcale nad sobą mocy i wiary w siebie — odezwał się. Co tu płacz pomoże i narzekania. Więcej daleko zuchwalstwem i odwagąbyś wygrała. Samabyś mogła jechać do niej z królewiczem.

Krzyk się dał słyszeć. Niemka porwała się i padła na siedzenie.

— Ja? do niej? Jechać, kłaniać się, aby mi tam wzgardą rzucono w oczy i traktowano jak sługę?

Wolę pieszo wyjść ztąd i porzucić wszystko.

Wojewodzie czekał uspokojenia i nie mówił więcej aby nie drażnić.

Niemka wreszcie wymęczywszy siebie i jego, podniosła się z siedzenia z zaognionemi oczyma.

— Niech z królewiczem robią co chcą! — rzekła. — Naturalnie nowa pani potrafi go sobie ugłaskać i pozyskać.

Wszystko to jest przeciwko mnie wymierzone.

— I zamiast się bronić, wy składacie broń — wtrącił Pac — przyznam się, że się tego nie spodziewałem.

Amanda rzucała się na siedzeniu, to odwracając od wojewodzica, to ku niemu spoglądając z wymówką.

— Wy wszyscy teraz — rzekła — działacie przeciwko mnie! Cała sieć intryg osnuta. Wy nawet, wy, wy.

— Ja? — podchwycił Pac.

— Wyl tak... jeśli nie sam, to twoi — mówiła żywo niemka. — Sądziś, że ja nie wiem jak to było zręcznie osnutem, aby królowę zawczasu ostrzedz o wszystkim, uwiadomić o tem co się na dworze dzieje, nauczyć co ma robić.

Al ta żmija! — dodała z rosnącym gniewem rękę ściskając i podnosząc — ta żmija.

— Kto? — spytał Pac spokojnie.

— Udajesz niewinnego? ty? jakbyś nie nie wiedział. Bietka to wasza ulubienica... ta... wyrwała mi się z rąk po to tylko, aby się znalazła na dworze królowej.

Ona teraz podszeptuje co ma robić królowa, jak się bronić, jak z królem postępować, a nadewszystko jak się mnie ztąd pozbyć.

Na chwilę gniew mówić jej nie dał, tylko czarne oczy zapalały ogniem mściwym.

— Ale ja też nie jestem już tak całkiem bezsilną jak się zdawać może — mówiła drżącym głosem — znajduję sobie przyjaciół, pomocników i potrafię się pomścić.

Z królową ona przecież tu na zamek przybyć musi, a wiem, że jest przy niej, że tam uczy i tłumaczy, co poczynać mają, że francuzom zdradza wszystkie tajemnice. Gdy się zjawi tu na zamku, o! ani królowa, ani francuzi nie potrafią jej obronić odemnie. Muszę się zemścić.

I silnie uderzyła w stół ręką.

— Wyprawili ją ztąd umyślnie — poczęła żywo — Kazanowscy... wiem o tem, ale czynili tak jakby się do niczego nie mieszcali. Oni zawsze neutralnymi się czynią. Marszałek wita mnie uprzejmym uśmiechem, choć nienawidzi.

Marszałkowa gdy się jej przyjdzie otrzeć o mnie, nie widzi, nie ogląda się, nie chce znać.

Król ma pięknych przyjaciół.

Zwróciła się znowu do Bietki.

— Pan przecie powinieneś o swej przyjaciółeczce być uwiadomionym — odezwała się szydersko. — Biegałeś za nią i pewno niedaremnie, miała tu was i wielu z wami.

Zarumienił się wojewodzie.

— Panna Amanda wiesz najlepiej, że choć to serca królewskiego nie sięga i jest sobie fantazją przemijającą, ale miewa król kaprysy, a ja jestem sługą

i muszę się starać mu dopomódz. Rzucił był okiem na to dziewczę, kazał mi ją dla siebie ugłaskać.

— Składasz teraz na króla — wybuchnęła Amanda. — Chyba ty sam mu ją nastreczyłeś. Kłamstwa i brudne intrygi. Nigdy nie uwierzę temu, ażeby wyprawa tej dziewczyny na dwór królowej, z takim pośpiechem dla ostrzeżenia, stała się bez udziału was wszystkich. Mówicie sobie, że król mnie się pozbędzie, że francuzka zapanuje, wcześniej zaskarbicie jej łaski.

Spojrzała ostro na wojewodzica, jakby chciała wywołać odpowiedź, ale Pac milczał i wesa pokręcał. Dał się jej wyburzyć i wypłakać, czekał.

— Z czem powrócę do króla?—spytał w końcu.— Zgóry wiedziałem, że wy z królewiczem do Falent jechać nie zechcecie, ale podróż królewicza jest pomimo to nieuniknioną.

— Zatem mnie się ani pytać, ani radzić nie było potrzeba — wtrąciła z przekąsem. Jestem tu zawsze sługą. Przynosicie mi rozkazy, ja się do niczego mięszać nie mam prawa.

Krół mnie tylko zmusić nie może, abym ja do Falent jechała.

To nie!

— Przecież — rzekł Pac chłodno — gdy królowa przyjedzie, gdy cały dwór się jej przedstawiać będzie, nieuniknionem jest, że i wy.

Zmierzyła go niemka wzrokiem przeszywającym i nie nie odpowiadając odwróciła się ze wzgardą.

Wojewodzie znudzony dosyć tem poselstwem, powrócił do króla, ale go zastał zajętym gośćmi.

Przybywały oddziały różne, które miały wjazd królowej do Warszawy uświetniać; panowie co je prowadzili codziennie przedstawiali królowi, po większej części nie wiedząc, co się działo na dworze i wyobrażając sobie, iż król wdzięczny im być musi za to uczczenie narzeczonej.

Po kraju krążyły jeszcze wieści, że król od bardzo dawna się kochał w księżniczce Niwerneńskiej, że się o nią starał już raz przed ożenieniem z Cecylią, a teraz powrócił do dawnej tylko ku niej skłonności. Kto mógł więc starać się panu przypodobać, przybywając do Warszawy z umyślnie wystawionym oddziałem ludzi.

Dosyć zimno przyjmował Władysław te dowody przywiązania.

Ciągnęły się jedne po drugich odwiedziny, aż Pac w końcu mógł przyjść z raportem.

— Mówiłeś z nią?—spytał król.

— Tak — rzekł wojewodzie — ja mówiłem, a ona płakała... no i łajała.

Chwilka milczenia nastąpiła potem.

— Amanda wcale nie myśli z królewiczem jechać — rzekł Pac — ale trudno tego było po niej wymagać.

Władysław oddychał ciężko, zadumał się.

— Al te kobiety — odezwał się — te kobiety...

Skończyło się na tem. Oznajmiono księcia Karola, który wchodził, jak zawsze posępny, zachmurzony, sztywny, gdyż starał się, znając swój gwałtowny temperament, trzymać na wodzy i wydawać ostyglym.

— Chciałeś się widzieć ze mną? — zapytał cicho, zbliżając się ku łożu.

— Tak, bo musisz jutro z Zygmuntem do Falent — rzekł król. — Mówią mi wszyscy, iż królewicza należy jej zawieść, nie mam go komu powierzyć, najwłaściwszym posłem ty jesteś.

— Ja? — ruszając ramionami i siadając w krzesło ze znurzoną miną książę Karol — ja? ale ty wiesz jak mnie w towarzystwie kobiet jest obco i nieswojo. Oprócz pana de Brègy i biskupa auriackiego, którzy tam oba podrzędną rolę grają obok pani de Guebriant, same kobiety.

— Guebriant wiezie z sobą siostrzenicę bardzo podobno piękną? — wtrącił król złośliwie nieco, wie-

dząc że biskupowi tem dokuczy, bo ten i mówienia i spoglądania na pleć żeńską unikał, i znanym był z tego.

— Nie widziałem jej — odparł sucho biskup — co mnie to obchodzi, a sądzę, że i ciebie nie powinno.

— Ty wiesz, że ja piękne twarze lubię.

Biskup zmilczał trochę.

— Widziałeś ich już dosyć — szepnął po chwili.

— Jedziesz więc jutro z Zygmuntem — dodał król.

— Jeżeli to jest niuniknionem — szepnął biskup.

Oba westchnęli. Książę Karol powstał zaraz, zatrzymał się jeszcze krótko przed królem i zabrał do wyjścia.

— Właśnie jutro — odezwał się — miałem coś siać i przesadzać w ogródku.

— A! w tem masz się komu zastąpić — rzekł Władysław.

— Byłoby mi najprzykrzej właśnie być zastąpionym, bo mnie to sprawa przyjemność. Lubię nie tylko kwiatki, ale około nich starania.

Uśmiech przebiegł po ustach Władysławowi, w którym był odcień politowania.

Wkrótce po wyjściu księcia Karola, jak burza wpadł młody królewicz do sypialni ojca, lecz w progu sobie przypomniawszy uszanowanie, jakie mu nakazywano, starał się powściągnąć i uspokoić.

Pocałował rękę ojca.

— Jutro jedziesz ze stryjem Karolem do Falent — rzekł król — pokłonić się królowej. Spodziewam się, że tam będziesz się jak należy sprawował, i niezbyt dokazywał.

Dla królowej, jak dla mnie powinienes być z uszanowaniem.

Chciał coś dodać król, ale się powstrzymał, nie mógł wtajemniczać dziecięcia, a obawiał zbytniej jego czułości.

Królewicz był cały przejęty już jutrzejszą podróżą.

żną swoją i wielce nią szczęśliwy. Pochlebiało mu to, że był powierzonym stryjowi i że żaden kobiecy nadzór, czyniący go dzieckiem, ciążyć mu nie będzie. Chciał ojcu powiedzieć, jakby życzył sobie ustroić się, ale rozmowę przerwało nadejście Kazanowskiego.

W Falentach zapowiedziano wieczorem te odwiedziny królewicza, które, choć trochę opóźnionemi znajdowała pani de Guebriant, zaspokajały ją przecież. Etykieta, przyzwoitość były ocalone.

Bolała nad tem niezmiernie, iż sam król nie mógł się dostać do Falent, do czego był co najmniej obowiązany; tłumaczono to zawsze chorobą, dodawano, że nawet próbował się do kolebki, ale ruch powozu takie wywołał boleści, iż nazad musiał powrócić.

Wysiadającego w ganku Zygmuntka powitała zdala twarzyczka znajoma. W rogu dworu stała bardzo mu ulubiona Bietka, ta, którą dawniej przyjaciółką nazywał. Z okrzykiem byłby się ku niej rzucił pewnie, gdyby biskup za rączkę go nie pochwycił, i nie zmusił wniknąć do pokoju, w którym królowa czekała na nich.

Poprzedzali biskupa i królewicza razem z nimi wysłani, aby temu przedstawieniu jego nadać cechę urzędową i uroczystą, arcybiskup gnieźnieński i Kazanowski marszałek.

Nie obeszło się bez mowy solennej, do której może mimowoli arcybiskup ziarno gorzkie dorzucił... Zygmunta jako w przyszłości spodziewanego następcę króla podając, co dla królowej zbyt przyjemnem być nie mogło, gdyby ją Bóg obdarzył rodziną.

Królowa zaledwie się mogła przybliżyć do chłopaczka, którego serce sobie pozyskać pragnęła. Książę i marszałek Kazanowski, obawiając się jakiego niezręcznego słowa, pilnowali nazbyt żywego królewicza.

Marszałek Kazanowski dał się tu poznać Maryi Ludwice lepiej niż przy pierwszych odwiedzinach, nadzwyczaj umiejętnie i zręcznie prowadząc i nagi-

nając rozmowę tak, aby w niej żadnego dźwięku dysharmonijnego niedopuszczyć.

Wesołe twarze na tę uroczystość poprzybierali wszyscy, chociaż one mało kogo mogły uwieść. Poza nimi czuć było coś groźnego i niepewnego, kryjącego się we mrokach. P. de Guebriant, która zręcznością przechodziła może marszałka Kazanowskiego, mówiła za królową, potakiwał jej poseł pan de Brégy, a biskup auriacki z wielką uniżonością zabawić się starał poważnego prymasa. Królewicz słuchał i mało się potrzebował odzywać. Przez cały ciąg tych odwiedzin ceremonialnych, nie wypuszczono go ani na moment z pod dozoru, i poruszyć mu się nie dano swobodnie. Trwało to aż do wyjazdu, który równie uroczystymi formami jak przybycie, otoczony, wydawał się obrzędem jakimś niemal przymusowym.

Jedna pani de Guebriant, której szło o zachowanie form i etykiety, była tem zachwyconą. Unosiła się nad bardzo ładnym królewiczem, nad mową arcybiskupa, nad dystyngcją Kazanowskiego, a nawet nad dworem i powozami, którymi przybyli.

Królowa ciągle była milczącą.

Następnych dni na odwiedzających nie zbywało. Zdawało się, że nie chciano królowej dać się opamiętać, spocząć, pozwolić myśleć. Z Warszawy napływali panowie i panie z pokłonami, chociaż znaczna ich część po francuzku nie umiejąc tłumacza potrzebowała.

Biskup auriacki, pan de Brégy, potroszę sekretarz królowej Desnoyers zabawiali jak mogli gości, dla których stoły ciągle nakrywać i czemś zastawiać musiano, co kuchmistrza de Ronsay przyprowadzało do rozpacz.

Z Warszawy przychodziły najrozmaitsze wiadomości o królu, o dworze, o cichych intrygach, które jak miny pod twierdzą zawczasu podkładano, aby przybywająca pani bezpiecznie kroku stąpić nie mogła.

Bardzo szczęśliwem to było dla wszystkich, że od

królowej i tego, co ją jak chmura groźna otaczało odwracały oczy rozmaite sprawy, zajmujące króla i dwór jego.

Do posłów weneckiego i francuskiego, jacy już gościli w Warszawie, przybywał w tych dniach moskiewski, na którego król oczekiwał, bo sobie życzył pozyskać cara w przededniu marzonej wojny z Turcyą, jako sojusznika i pomocnika.

Wyznaczono mu nawet lepszą, niezwykle gospodę, nie w Gieldzie przy Długiej ulicy, ale w domu arcybiskupa i podejmować go nakazano jak najuprzejmiej.

Przybycie tego poselstwa rodziło przytem trdność, bo Tiepoło wenecki patrycysz wysłany tu od rzeczypospolitej, zawczasu zapowiadał, iż nie da się osiąść posłowi cara, a znano z drugiej strony niezmierną drażliwość moskiewskich posłanników.

Pan de Brégy poseł francuzki także musiał godności swego pana strzedz w sobie.

Wymijać się więc musiano ostrożnie, aby do konfliktu nie przyszło.

Codzień po kilka razy przybywali do Warszawy, powracający z Falent, wszyscy prawie zachwyceni królową, uprzejmością jej i rozumem.

Króla to niecierpliwiło.

Zbliżał się już dzień uroczystego wjazdu, kazał Pacowi z jakimś komplementem udać się do Falent.

— Powiesz mi przecie prawdę, bez tych pochlebstw i adulatory dla królowej. Chcę wiedzieć jak ona jest. Rozpatrz się we dworze, poznaj panią de Guebriant. Usiłuj mnie nią nastraszyć.

Niechętnie podjął się Pac posłannictwa, lecz wymówić od niego nie byłoby sposobu.

Zawiadomiona Amanda spojrzała ostro.

— Zobaczymy — rzekła — jakim mi się okażesz przyjacielem.

Dzień, chociaż bardzo jeszcze do zimowego podobny, było to dnia 9 marca, trochę już wiosnę zapo-

wiadał. Pac przybył do Falent raniej niż był powinien. Nie było go komu przyjąć... zajrzał do ogrodu.

Jakim sposobem znalazła się tu Bietka? ani on, ani onaby tego wytłumaczyć nie umiała. Skorzystał z tego dworak skwapliwie, ale ją znalazł wielce zmienioną.

Przybywasz pnn na zwiady — odezwała się szydersko—ja go tu oddawna wyglądałam. Spodziewam się, że zdasz sprawę panu wierną z tego, co tu u nas zobaczysz.

Ale cóż się dzieje z moją przyjaciółką?—wtrąciła. 'Czy jeszcze jest w Warszawie?

— Spodziewa się nawet pozostać, nie ruszając z zajmowanego apartamentu—rzekł Pac--trzeba się do tego przygotować.

— Na początek—odparła Bietka—lecz wszystko to się z czasem zmieni.

Radź pan pannie Amandzie, jako jej dobry przyjaciel, ażeby wcześniej sobie tłumoki przysposabiać zaczęła.

Dwóch pań żaden dwór nie cierpi, a my wieziemy taką, która nietylko prawo mieć będzie, sama tam królować, ale i siłę do tego potrzebną.

-- Królewicz—odezwał się Pac—potrzebuje nadzoru kobiecego, bez niego się nie obejdzie.

— Ten mu przybrana matka obmyśli — rzekła Bietka.

— Macocha—poprawił śmiejąc się Pac.

— Ja myślę, że matką być potrafi — zamruczała Bietka. — Jeśliście się spodziewali łatwego zwycięstwa...

— Proszę mnie do wojujących nie mieszać—rzekł Pac. — Pani to najlepiej wiesz, że ja królowi jednemu służę i na nikogo się więcej nie oglądam. Dopóki król mieć będzie słabość czy przywiązanie do Amandy...

— Szczęściem, że król na długo nigdy się nie przywiązuje—dorzuciła Bietka.

Miał już odchodzić, gdy po namyśle zwrócił się ku dziewczęciu.

— Nie zdradzaj mnie—rzekł—ale przestrzedz muszę ją... Amanda zemstę poprzysięga!

— Cóżem ja jej zawiniła? — z udanem podziwieniem spytała Bietka.

— Ona wie wszystko—mówił dalej Pac—kto jej doniósł o tem, nie wiem. Miejcie się na baczności.

— Dziękuję za życzliwą przestrogę, nawzajem możesz jej pan powiedzieć, że ja zemstę poprzysięgam jeszcze wprzód, która z nas będzie silniejszą? nie wiem?

— Król bardzo się do niej przywiązał ostatniemi czasy—rzekł Pac.

— Bardzo przyzwyczaił — przerwała Bietka — a to mnie uspokaja właśnie, bo im bardziej nawykł, tem prędzej się znudzi. Pan znasz króla.

— I pannę Amandę, która go zna lepiej jeszcze, a wie czem go do siebie przyciągnąć może—rzekł Pac.

Więc pewnie w środkach przebierać nie będzie.

Z uśmiechem skłoniło mu się dziewczę zdaleka; nadchodził w tej chwili pan des Essarts z oznajmieniem, że królowa wysłanego od męża przyjąć mogła.

Królowa była o Pacu uprzedzoną i знаła go dobrze, wiedziała, że przybywał aby zdał sprawę z tego, co tu postrzeże i usłyszy; przyjęła go więc nadzwyczaj zimno i wymówiwszy się bólem głowy, natychmiast wyszła. Do stołu zaś zaproszono go wprawdzie, ale królowa się nie ukazała. Miał tylko zręczność zapoznać się z posłową i jej śliczną siostrzenicą, którą został zachwyconym, z panią d'Aubigny, która z niego nadzwyczaj zręcznie żartowała, z kwaśną p. Langeron, z milczącą des Essarts, z doktorem de Lafage i ks. de Fleury.

Pani d'Aubigny poleciła królową, aby nie oszczędzała Paca, bo był nieprzyjacielem i z tego co mówiła Bietka o nim kilka szczegółów posłużyło zręcznej normandce-włoszce do wprowadzenia w kłopot nie-

szczęśliwego wojewodzica. Były to dwuznaczne frazesy, niepowiadające nic na pozór, a mogące się łatwo do przeszłości dworaka stosować.

Cały dwór królowej i wielka posłowa mieli sobie za obowiązek wszystko chwalić i wszystkim się zachwycać, z przyjęcia byli nadzwyczaj radzi... humory stroili na ton najwyższy.

Des Noyers sekretarz zapewniał, że we Francyi nie widział tak misternie urządzonego teatru jak w Gdańsku, a całą Europę przejechawszy podobnego jak tu rycerstwa widzieć nie było można. Były to ostatnie szczątki starej *chevalerie*.

Oprócz pani de Guebriant, która przy stole spytała pocichu o zdrowie króla, jak gdyby głośnie mówienie o chorobie nowożeńca znajdowała nieprzyzwoitem, nikt o nic nie zapytał nawet.

Pac zapowiadał wjazd do Warszawy niewypowiedzianie okazały.

Po obiedzie odwiedzwszy posła p. de Brégy i biskupa auriackiego, Pac musiał wracać, bo nie miał tu co robić. Powracał zaś upokorzony, bo z próżnym mieszkciem, gdy król tylko go po wiadomości wysłał.

Wojewodzie miał dosyć żywej imaginacyi i daru słowa, aby z tego co tu pochwycił zrobić obrazek, powiększyć, uzupełnić, ale zły był, bo widział w tem robotę tej, lekkoszacowanej dziewczeczki, którą miano za nic, a która się potrafiła uczynić narzędziem ważnem i sprężyną wszystkiego co się tu działo.

Uznawał, że panna Amanda miała słuszność pragnąc się pomścić, bo było za co.

Wyjeżdżającemu z za altany ogrodowej nad drogą, czatująca tam z Zubkówną Bietka, szyderski posłała ukłon.

Wojewodzie się gniewał.

— A! to szatan dziewczyna! — mruczał.

Król kazał go do siebie wołać jak tylko powróci; nie dano mu wprzód wpaść do Amandy, czego sobie życzył — Władysław się niecierpliwił.

Pac stawił się zimny i małowówny, zmęczony.

— Znalazłem na nieszczęście królowę chorą na głowę—rzekł—tak, że tylko na bardzo krótką chwilę miałem szczęście być przypuszczonym. Skarżyła się N. Pani na zmęczenie, i nie dziw, bo od kilku miesięcy bezprzestannie jest narażoną na uroczyste przyjęcia i na podróż. Klimat się też dał uczuć.

— Piękna? zapytał król—wygląda młodo jeszcze. Pac zawahał się.

— Piękna — rzekł — i do portretu podobna, ale... sama podróż tłumaczy dlaczego się wydaje zmęczoną.

Ale mówże co sądzisz o niej!—zawołał król niecierpliwie — nadewszystko bez ogródek! bez względu na to, z jakiej krwi pochodzi.

— Po tak krótkiem widzeniu—odezwał się Pac—cóż ja mogę więcej powiedzieć? Wydała mi się dosyć dumną, ale uprzejmą i grzeczną; dostojęństwo królewskie i koronę godnie nosić potrafi.

Pac podniósł oczy i wlepił je w króla.

— Jest w niej krew francuzka i włoska—dodał—niełatwo ją będzie uczynić powolną...

Władysław zrozumiał przestrożę, lecz ufał sobie.

— O! to moja rzecz—rzekł — nagiąć i zmusić do posłuszeństwa potrafię. Nie jestem z tych, co się zawojować dają.

Mówił to z taką wiarą w siebie!

Pac potem odmalował panią de Guebriant. jako istotnie stworzoną do poselstwa, znakomitego umysłu i taktu osobę, ale wpadłszy na wspomnienie jej siostrzenicy, o której już królowi mówiono, uniósł się i miarę stracił, powiadając, że piękniejszej kobiety w życiu ani widział, ani sobie wyobrażał.

— Królowa przy niej gaśnie — zamruczał Władysław—pani marszałkowa nie dała dowodu zręczności biorąc ją z sobą dla porównania.

Wojewodzie tłumaczył p. de Guebriant tem, że pomiędzy szesnasto czy siedemnastoletnią panienczką, a dojrzałą i rozwiniętą w pełni pięknoscią Maryi

Ludwiki porównania być nie mogło. Były to dwie zupełnie różnego rodzaju istoty.

Takie było czy usposobienie umysłu króla, czy potrzeba roztargnienia, iż mając tyle przykrych i dojmujących praw na głowie, o wszystkim zapomniał dla pięknej siostrzenicy posłowej i zdawał się już niecierpliwszym widzieć ją niż królowę.

— Pac—rzekł do niego w końcu—staraj się wkuścić w jej łaski, będziesz moim pośrednikiem.

Oślupiał wojewodzie.

— Jakto? N. Panie.

Rozśmiał się król.

— Chcesz, żebym tego kwiatka nawet nie powąchał?—rzekł wesoło.— Nacóżbym królem był, gdyby mi to nawet rozrywek podobnych nie ułatwiało. Wydamy tu za mąż pannę...

Rozmowa o kobietach głównie przeciągnęła się dosyć długo.

Tymczasem panna Amanda z równą przynajmniej niecierpliwością oczekająca powrotu Paca jak król, zżymała się, na próżno wyglądając go.

Przyszedł tak późno, zmęczony i znudzony, iż mało co mogła się od niego dowiedzieć. Zwierzył się jej tylko, że widział tam Bietkę, która zdawała się już zupełnie wcieloną do dworu i z nim obytą, i że wydała mu się słowo w słowo tak usposobiona dla panny Amandy, jak ona dla niej była.

Głównie jednak i niemka dowiadywała się o królowę.

— To tylko wam powiem — zakończył Pac — że pokorną jak Cecylia, ani tak bojaźliwą i posłuszną jak ona nie będzie. Kobiety na dworze francuzkiem nawykły wszystkie grać znaczną rolę, ona żyła już, widziała dość dużo, ma doświadczenie, i z pewnością jedzie nie dać się zawojować, ale zawojowywać.

— Król jest ostrzeżony—odpowiedziała niemka—tem lepiej, wywiąże się walka, a Władysław pan nasz w żadnej się dać zwyciężyć nie może. Fran-

cuzka pozostanie tu tak, jak osamotnioną... nas jest więcej i my znamy grunt, po którym chodzimy.

Panna Amanda w ten sposób dodawała sobie ducha i mężstwa, którego pono nie miała. Pac nie miał ochoty z nią prowadzić sporu.

Kilka razy zwróciła rozmowę na Bietkę i wyrwało się jej.

— Jej się pozbyć ztąd potrzeba!

— Królowa, wątpię, ażeby łatwo się z nią rozstała, jeżeli jest jej tak użyteczną — rzekł Pac.

— Alboż niema sposobów uprzątnięcia z drogi tego, co nam zawadza? — z rodzajem pogardy zawołała niemka. — Dziewczę jest zalotne i płochę, mężczyźni czasem z tego umieją korzystać. Słyszymy codzień o porwanych gwałtem i uwiezionych. Ktoś ją też może namówić, pochwycić i nas od niej uwolnić!

Mówiła to tak dwuznacznie, iż Pac prawie domyślać się mógł jakby już osnutego planu. Chociaż dziewczę mu dokuczyło, uląkł się i postanowił strzedz, aby mściwa niemka groźby nie przyprowadziła do skutku.

VI.

Okolo jedenastej zrana naznaczonego dnia królowa siadła wreszcie do tej kolebki złoconej, która ją na tron zawieźć miała, przed oblicze tego, co miał być mężem jej i panem, uprzedzonego, zniechęconego, zmuszonego niemal do małżeństwa.

Na pozór jednak tego ostygnięcia króla nie zdradzało. Królowę otaczał przepych, tłumy senato-

rów, panów, duchowieństwa, całe pułki rycerstwa najświetniejszego, okrzyki, uniesienia i oznaki radości.

Prawie od samych Falent po drodze stały uszykowane, jedno od drugich wykwintniej poprzybierane oddziały rycerstwa, wśród którego pułki Radziwiłłowskie, Kazanowskich, Opalińskiego, Ossolińskiego prym trzymały.

Francuzi nie mogli się nachwalić szczególniej pan-cernej chorągwi królewskiej, ze skrzydłami, w złoconych koszulkach, w skórach lamparcich, których kopij chorągiewki długie aż po ziemi się ciągnęły. Za najmniejszym wiatru powiewem jedwabne te proporczyki unosiły się w powietrze i polatywały jak różnorodne barwne obłoki nad złocistemi misiurkami rycerzy.

Oprócz wojsk, niezmiernie liczne ciągnęły za królową kolebki, powozy, koczne panów, pełne postrojonych pań. Nie zachowywano żadnego porządku hierarchicznego w tym pochodzie i każdy zabierał miejsce jakie mu się zdobyć udało.

Na chorągwiach półków herby panów malowane służyły za znaki, gdzie którego z nich szukać było potrzeba. Niezmierna różnaitość i żywość barw, świetność zbroi, przepych w rzędach na konie oczy porywał. Było w tem wszystkiem może dla francuzów coś dzikiego i nieco barbarzyńskiego, ale przepych, wspaniałość, bogactwo zdumiewało.

Szlachecka równość polska i tu się czuć dawała, gdyż każdy mógł sobie pierwsze miejsce przywłaszczyć, a nikt mu odjąć nie śmiał, chyba siłą.

Francuzi niedobrze wiedzieli, co się działo przed nimi i za nimi; ich jednak gromadka wedle pewnego się starszeństwa i etykiety uszykowała. W pierwszym powozie posadzono biskupa auriackiego, dawszy mu dwu polskich do towarzystwa; dalej jechał książę Karol z posłem Francyi, za nim marszałek dworu królowej z laską urząd ten znamionującą, poprzedzający karetę Maryi Ludwiki.

Królowa siedziała w niej z panią de Guebriant. Tuż za niemi jechało dwudziestu trębaczów i oddział jazdy przepyszny, po którym szły powozy dworu, pań, panien, domowników i t. p.

U drzwiczek karety Maryi Ludwiki dwóch urzędników przysłego dworu jechali konno, okryci klejnotami i jaśniejący od złota. Na końcu postępowały cechy warszawskie w rozmaitych barwach, umyślnie na tę uroczystość sprawionych, krojem i modą francuzką. Mieszczan tych liczono do ośmiuset, a za nimi jeszcze szedł pułk ułanów.

U bramy krakowskiej czekał łuk zwycięzki o trzech wrotach, na którym orły polskie z mantuańskimi połączone, niosły w dziobach różeczki oliwne i palmowe.

Lecz jakże nieskończenie długą wydała się ta droga królowej, na którą tysiące oczów patrzyło, czytając w jej twarzy zmęczonej uczucia, które nią miały.

Sześć godzin wydały się wiekami szczęściem. Guebriant kiedy niekiedy orzeźwiającym zapachem starała się prawie omdlewającą ożywić i cicho szeptała: *Courage!*

— Męztwa!

Męztwa też potrzeba było olbrzymiego, aby prze-trwać nie omdlewając te godziny, w których myśl wyścigała czas i starała się odgadnąć ciemną przyszłość.

Co ją tu czekało?

Chmurami zawleczony był horyzont.

Nieznajomy człowiek, nieznany kraj, ludzie nieznani, w których nie wiedziała czy ma wrogów czy przyjaciół się spodziewać. Ponad tem wszystkim korona.

Francya, która ją miała podpierać, daleko... ona tu sama, a wkrótce nawet ci, co jej towarzyszyli opuścić ją mieli.

Po kilkakroć na wspomnienie młodości i tych marzeń, które aż tronu Francyi sięgały, łzy zwilżyły jej

powieki. Młodość, złudzenia, wiara w serca i w ludzi, wszystko się rozwiało i znikło; pozostawało życie twarde, walka—komedia bolesna z uśmiechem na ustach.

W sercu było pusto... korona i berło wydawały się zabawkami dziecięcymi.

Oczy jej błdziły to po tych pułkach tak strojnych dziwacznie, tak niepodobnych do muszkiterów i lancknechtów francuzkich, to po szarych jeszcze polach i szkieletach drzew smutnych.

Kiedyniekiedy wybuch okrzyków, odgłos trąb i kotłów przerywał marzenie.

Lecz i na zamku warszawskim król nie z mniejszym niepokojem czekał na małżonkę, którą poślubił przymuszony, przeciwko woli.

Ostatnie dni usposobiły go jak najnieprzyjaźniej dla królowej; postarała się o to Amanda, aby ją przyjął nie tając swej odrazy.

Od rana już przysposobiony był strój, ozdoby, klejnoty, oznaczony orszak, urządzone wszystko tak, aby o niczem myśleć nie było potrzeba. Król kazał sobie, jakby dla utrzymania się w rozdrażnieniu, dawać znać o wjeździe, o zbliżeniu się orszaku, o każdym kroku jego.

Pac wchodził i wychodził nieustannie coś przynosząc. Jednemu z senatorów kość padł i obalił się z nim na ziemię, przywieziono go na prostym wozie do domu.

Musiano opowiadać jak postępowały powozy, w którym jechał książę Karol, gdzie i po której stronie siedziała posłowa, jaki był strój Maryi Ludwiki.

Zadumany, posepny, coraz to na zegar spoglądał król stojący u łóża. O zwykłej godzinie kazał sobie leżąc podać jedzenie, ale roztargniony jadł mało, pił nieco więcej i natychmiast potem zawołał, że wstawać chce i ubierać się.

Trudno było ściśle obrachować godzinę, o której przybędzie królowa, ale Pac z tej drogi, jaką prze-

była przed południem, wnosił, że przed piątą przybyć nie może.

Władysław, który ani kroku nie zrobił na powitanie przybywającej, sam czuł, że przynajmniej wchodząc do kościoła, przed ołtarzem go zastać powinna i nie być jeszcze oczekiwaniem upokorzona.

Chciał razem dać jej uczuć i że się zawiódł na niej i że był jednak rycerskiej grzeczności mężem, szanującym niewiastę.

Dwa różne uczucia ciągle się w nim ścierały... wstręt przemagał.

Najmniejszy ruch około zamku, głośniejszy okrzyk w ulicy poruszał go, obawiał się, aby nie był zaskoczonym niespodzianiem.

Pac musiał go zaspokoić tem, że trzech konnych ustawił na wjeździe w przedmieścia i przed bramą krakowską, którzy w porę znać dać mieli.

Zwolna kazał się pajukom swoim ubierać, ale z niczego nie był kontent. Naznaczone suknie, złotogłowy, koronki, pernka, szarfa, wydały mu się zmięte, nieświeże. Rzucił je i gniewał się. Łajał szatnych, którzy znosili coraz to nowe, a coraz przyjmowane części stroju.

Wśród tego dziwaczności, któreby ledwie w kościele usprawiedliwionem być mogło, pierścionek królowej Cecylii, który nosił na palcu od jej zgonu, zwrócił jego oko. Ta, której nigdy miłości nie okazał za życia, wyrwała mu z piersi westchnienie. Żalował cichej, pobożnej, potulnej towarzyszki.

Jeden z dworzan króla, młody Korycki, który się domyślał, jak wiadomości o pochodzenie będą pożądane, nadbiegł w tej chwili. Towarzyszył on zdaleka orszakowi od Falent prawie.

Król przerwał ubieranie się i chętnie słuchać począł...

— Wspaniale i przepysznie! — wołał Korycki. — Nie powstydzimy się francuzów, N. Pani! Otwierają gęby szeroko na naszych pancernych ze skrzydłami

i skórami lamparciami. Chorągiewki kopijników zdumiewają ich swą długością, i jeden z nich mnie pytał, na co się to zdać mogło.

Korycki śmiał się.

— Tarcze, sahajdaki, łuki, wszystko to dla nich nieznane rzeczy, a niektórzy panowie mają takie, że w istocie jest się dziwić czemu. Ossoliński jeden dźwiga tarczę pozłocistą, która dla samego kunsztu warta tyle, co dobry folwark! Niech znają francuzi! — czwanił się Korycki, ale to jakoś króla nie rozweseliło.

Spytał cicho o królowę.

Korycki nie polityk, pomimo że mu Pac znaki dawał, rzekł otwarcie.

— Królowej posłowa ciągle coś daje wachać, ażeby nie osłabła. Widać na twarzy jak zmęczona... albo to dziw, wloką się noga za nogą; z tyłu jak tych dwudziestu trębaczy się odezwie, zdaje się, że uszy pełną, z boku krzyki, a koło powozu u drzwi-czek żeby nie pan kasztelan i nie koniuszy, toby do karety lby końskie wpadały. Ale, już co prawda, to prawda! że wspaniałeśmy wystąpili. Radziwiłłowie po książęcemu, a przed wszystkim usarze W. Król. Mości; tych choć malować!

Król słuchał chwilę z zajęciem.

— Kiedyż tu królowa stanie?—zapytał.

— O, myśmy rachowali już — rzekł Korycki — przed piątą trudno aby stanęła, bo ciągle trzeba się zatrzymywać. Ale o piątej to już pewno będzie.

— Trzeba dać znać nuncyuszowi—szepnął król.

Są takie dni, godziny i minuty w życiu naszym, ciężkie do przebycia, poprzedzane przeczuciami złowrogimi, niepokojem, długie, dławiące i duszące. Zdaje się, że nigdy nie przyjdą i nie przejdą, że coś z sobą przyniosą, co się wypiętnuje na wieki.

Takim był ten dzień dla króla i dla królowej. Wejrzenie żywe, które na siebie rzucić mieli, mogło

Na królewskim dworze. T. II.

dopiero odsłonić im obojgu tajemnicę przyszłości... ono wyrokowało o tem, czy miłować się mieli, czy nienawidzić.

Wszystko co mówili ludzie, co pisano, konterfekty, malatury; opowiadania, miały zniknąć i roztopić się we wrażeniu tego wejrzenia pierwszego. Ono stało się o przyszłości.

Z całym swym meztwem bohatera, Władysław drżał, a królowa płakała.

Przeznaczenie obojga spełnić się miało. Król patrzył na posuwające się igielki zegarka z trwogą. Teraz zdawały się już biec zbyt szybko, godzina się zbliżała. Zdała, gdzieś od przedmieść głucho ozwały się dzwony. Władysław podniósł się z krzesła, aby wdziać płaszczyk, ręką drżącą wziął kapełusz i laskę, bez której iśćby nie mógł. W przedpokoju słychać było nadchodzących senatorów, którzy mu towarzyszyć mieli do kościoła. Zamyślony, zaszepiony król ust nie otwierał, poruszał się machinalnie, dając niekiedy oznaki zniecierpliwienia. Głośno poczęły rozlegać się dzwony... otwarto podwoje i poprzedzany przez kilku dworzan, król skierował się ku gankom, do kościoła Ś. Jana wiodącym.

Pochód to był smutny jak żałobny, król szedł z głową na piersi zwieszoną, dwór trwożnie spoglądał po sobie.

Stary kościół Ś. Jana, wielkie owo mauzoleum rodu książąt mazowieckich, z tragicznymi podaniami ich dziejów, pomimo rześzystych światła i zieleni, smutnie wyglądał i grobowo. Jarzemski powiada, że „stary płaszcz dźwigał na sobie.“ Lecz nie tylko to pokrycie czerniało i mury spękane czyniły go posępny, wewnątrz przepełnione było kamieniami grobowymi, a wizerunki ostatnich z rodu, przypominały truciznę, którą ich zgładzić miano. Do sklepień i murów przyległy tragiczne stare dzieje.

Na ten dzień starano się przystroić główną nawę; błyszczały trony pod baldachimami złocistymi, przy-

gotowanemi dla królestwa, siedzenia złotogłowami i szkarlatem okryte dla nuncyusza i biskupów. Posadzki uścielały kobierce, słupy obwijały gałęzie jałowców i świrek.

Pomimo to, zdawało się tylko katafalka braknąć w pośrodku, aby wesele w pogrzebowe przemienić nabożeństwo.

Gdy król wszedł zająć miejsce u ołtarza, gdzie miał oczekiwać na królowę, kościół w części był pusty jeszcze. Zdała od ulicy dochodził szmer głuchy, turkot powozów, okrzyki ludzi. Władysław spoglądał ku drzwiom trwożliwie, w których duchowieństwo na przyjęcie królowej się zbierało.

We drzwiach, strojny z tym zbytkiem i wytwornym smakiem, z którego był po świecie znany, czekał już z mową najslawniejszy z oratorów ówczesnej Polski, Ossoliński. Postać to była imponująca i pańska. Gronostaje na płaszczu zarzuconym na ramiona przypominały tytuł jego książęcy, którego rzeczpospolita szlachecka przyznać mu nie chciała.

Oczekiwanie przeciągało się. Król stał blady. Wtem przed drzwiami przesunęły się cienie, dał się słyszeć turkot; niespokojnie Władysław oczy zwrócił ku drzwiom.

Marya Ludwika wchodziła, lecz cień sklepień chóru dostrzedz ani jej postaci ni twarzy nie dawał. Za nią suknie niewieście, ubrania mężczyzn, komże i kapy duchownych, wszystko razem zbiło się w jedną mozaikę barw nierozwikłaną.

Ossoliński nie dopuściwszy królowej postąpić jak do pół kościoła, podniósł głos, który wśród ciszy odbił się o sklepienie kościoła, przedstawiającego widok wspaniały. Pełen on był wybranych, jaśniał złotem i klejnotami. Królowa biała jak suknie, które miała na sobie, drżąc, stała ściągając na siebie oczy wszystkich. O uszy jak szmer niezrozumiały odbiła się mowa Ossolińskiego, patrzała w dal i szukała oczyma męża.

Zaledwie skończył mówca, biskup auriacki rozpoczął odpowiedź.

Królowę podtrzymywała posłowa.

Jeszcze chwila... Poruszyli się wszyscy. Marya Ludwika zaczęła się zbliżać ku ołtarzowi, przy którym król na nią oczekiwał, przybrawszy dumną postawę.

Obyczaj wymagał, aby przed przyszłym panem swoim pokłękła, ugięła już kolana, gdy Władysław zimno i sztywnie podniósł ją i zbliżył twarz ku czołu, jakby miał na niem złożyć pocałunek.

W tej chwili wejrzenia ich się spotkały, trwożne królowej, gniewne pana, lecz, jakby zamienili wyraz ten, Marya Ludwika podniosła głowę dumnie, król spuścił ją zmięszany.

Królestwo stało już obok siebie. Nuncyusz *in pontificalibus* przed ołtarzem, ale mowom nie było jeszcze końca.

Przemówił cienkim głosem pieszczonym poseł pan de Brégy, jeden z prałatów kościoła do królowej, biskup auriacki musiał odpowiadać.

Król już dawał oznaki zniecierpliwienia, lecz musiał jeszcze wysłuchać i pani marszałkowej, która swej dostojności poselskiej kwoli odezwać się musiała, a dopełniła to z niewieścią odwagą i majestatem przesadą.

Wreszcie stanęli przyszli małżonkowie przed nuncyuszem, który dany już w Paryżu ślub nowem tylko błogosławieństwem potwierdził.

Z chóru odezwała się królewska kapela.

Już za Zygmunta III, który sam w kółku familijnem śpiewał, muzyka była przewyborna i kosztowała wiele, za Władysława nietylko jej nie zaniedbano, ale powiększono jeszcze.

Francuzi mogli się więc zdziwić, usłyszawszy tu rzadkiej piękności sopran Baltazara, alt Forsztera, Copulę i Gian-Maryę, śpiewaków króla i doskonałą orkiestrę jego, ale Władysław zmęczony nie dopuścił

się zatrzymać dłużej dworowi i razem z królową skierował się gankami wewnętrznymi na zamek.

Oboje szli milczący długo, a pierwszym może słowem, jakie król posłyszał od żony, było cicho ale stanowczo wyrażone życzenie, aby spocząć mogła w przeznaczonych dla niej komnacie.

Król skłonił głowę tylko i powiódł kurytarzami, pełnemi właśnie przybywających francuzów, dworu, służby, dworzan i całej tej gawiedzi, którą zamek był przepełniony.

Zaledwie królowa napół zemdlona ze zmęczenia i wrażeń jakich doznawała padła na krzesło, gdy Władysław prawie nie skłoniwszy się nawet, powolnym krokiem opuścił jej mieszkanie.

Panna Langeron, des Essarts i d'Aubigny czekały tu na nią blade i przestraszone. Wyglądała trupio i drżała.

Nie uszły słuchu królowej, gdy się do ołtarza zbliżała, wyrazy króla półgłosem wyrzeczone do Kazanowskiego.

— Toż to jest ta sławiona piękność, o której mówiliście tak wiele?

Bolesniejszego powitania dla kobiety, najzłośliwszy, najmściwszy wrógby nie wymyślił. Utkwiło ono w jej pamięci nazawsze. Były to pierwsze słowa, któremi przyjmował ją małżonek.

Mimowolnie spojrzała w przeciw stojące zwierciadło i sama się ulękła twarzy własnej żółklej, ściągniętej, z oczyma zapadłemi i usty zaciśniętymi boleścią.

U drzwi pokojów królowej na króla czekali pażowie jego z krzesłem, na którem go wyniesiono.

Pani de Guebriant spotkała w progu z kondolencją. Zimno począł się tłumaczyć, iż dla gwałtownego cierpienia i znużenia, i sobie i królowej spoczynek musi na dziś zapewnić i nie może być na wieczerzy.

Uroczysta uczta na dzień następny odłożoną zo-

stała. Ton jakim król przemawiał do posłowej, chociaż pełen galanteryi napozór, zdradzał takie podrażnienie i poruszenie jakieś wewnętrzne, iż pani de Guebriant już się wcale łudzić nie mogła. Była to zapowiedź wojny, z której ona musiała wyjść zwyciężko.

Sztywnie, etykietalnie, z całą godnością reprezentantki króla pierwszego w chrześcijaństwie skłoniwszy się Władysławowi, powróciła do biednej swej pani, ciągle to jedno powtarzając słowo.

— *Courage!*

Jakby na urągowisko, wprost od drzwi królowej, z którą już dnia tego nie miał się widzieć, Władysław nieść się kazał do pokojów przez pannę Amandę zajmowanych!

Wszyscy widzieli to i mogli sobie tłumaczyć jak chcieli. Kazanowski zmarszczył się smutnie, chciał się odezwać, lecz popatrzywszy na króla, którego znał dobrze, poznał, że go drażnić w tej chwili nie należało i trzeba było samemu sobie pozostawić. Z tryumfem, z rozjaśnioną twarzą, po której błyski radości przebiegały, przyjęła go w drzwiach Niemka.

Król kazał tu sobie przynieść suknie do przebrania, chcąc się od ciężkich uwolnić złotogłówów, i tu także przynieść wieszak. Dla francuzów książę Karol, Kazanowski, mnodzy senatorowie, w wielkiej sali służyli za gospodarzy, powtarzając nieustannie z ubolewaniem, iż król był mocno cierpiący.

Czy to kogo mogło przekonać, rozpoznać było trudno, gdyż francuzi nadto politykowali, aby się zdradzić z tem co myśleli. P. de Brégy głośną okazywał wesołość, pani de Guebriant nachodząca nadzwyczajne ukontentowanie z całej wspaniale dokonanej uroczystości.

Pac, który nie odstępował znowu króla, chodził wielce zadumany i chmurny.

— Panie wojewodzie—szepnął mu przechodzący

Korycki, który biegł z rozkazem pana — my górą z Panną Amanda! Victoria! Francuzi Tadeusza śpiewają.

Pac z dziwną miną popatrzył na niego.

— Widzę z tego jak doskonale znasz się na ludziach—rzekł z politowaniem. — Nasz tryumf będzie trwał może dni dziesiętek, a królowej jejmości należy reszta. Nasz pan za dzisiejszy swój humor drogo zapłaci, a panna Amanda za honor jaki jej uczynił, drożej jeszcze.

— Drwisz czy drogi pytasz? — odparł Korycki—czy oczów nie masz.

Pac poruszył ramionami i nie odpowiadając wsunął się do komnat niemki, w których król gorączkowo się rozgospodarowywał, udając wesołość.

Zaledwie się wojewodzie ukazał na progu, gdy Władysław zwrócił się do niego.

— Miejsce twoje nie tutaj — rzekł — idź zasiąść z francuzami, abyś mi dokładnie potem umiał opowiedzieć jak im uczta dzisiejsza smakować będzie.

— Spełnię rozkaz W. Król. Mości—rzekł z przesadzoną powagą—ale niebardzo potrzebuję być tam, aby wiedzieć, że francuzi są najlepszej myśli, i wszystkim co ich spotkało uszczęśliwieni.

Przybliżył się do królewskiego ucha.

— Przyjaciele i słudzy W. Król. Mości—odezwał się pocichu — są mocno zasmuceni tą gwałtownością zapowiadającą wojnę, do której nieprzyjaciół lepiej się postara przygotować.

Król, który sam już może nie był rad temu co uczynił i żałował brutalności swojej, oburzył się na Paca.

— Nie potrzebuję nauk od nikogo—rzekł nakazująco.—Idź zasiąść do stołu i o wszystkim mi potem rozpowiesz. De Brégy jest lalką, zwróć uwagę na posłowę, ona będzie tu grać rolę główną.

— Tem gorzej—zamruczał Pac—żaden mężczyzna

nie wygrał nigdy z kobietą, a tę niedarmo w Paryżu na ambasadorkę wybrał!

Nie odpowiedział już król, odwrócił się od niego, a wojewodzie musiał być posłusznym.

Zastawiono wieczerzę, król naprzeciw siebie kazał zasiąść uszczęśliwionej pannie Amandzie. Biegła ona usługując mu, nadskakując, ale widać było z za pożyczanego uśmiechu przezierającą w niej trwogę. Tryumf ten odniesiony tak głośny, tak stanowczy, tyle mówiący, przerażał ją więcej niż cieszył. Wiedziała dobrze, iż na nią teraz jako na wroga skierują się usiłowania wszystkich, że nadzwyczajnego szczęścia i siły potrzebować będzie, aby stawić im czoło.

Liczyła swych przyjaciół i znajdowała ich coraz mniej, bo na znaczniejszą część z pewnością rachować nie mogła.

Król jadł gorączkowo poruszony, chwytając się niekiedy za nogi, które podagra nielitościwie szarpała.

— Nie widziałas jej—mówił do Amandy — przechwalili jej piękność wielce; nigdy nie była piękną, a dziś jest to kwiat dawno uwiędły.

Zdaje się, że wie, iż ją tu poprzedziły wieści... mogła to poznać po mnie. Niech wie co ją czeka.

Jestem zmuszony, tak, dla Francyi jestem zmuszony ją przyjąć, ale naprzód zwłokę z koronacją, a u nas królowa niekoronowana za królowę się nie liczy, i żyć z nią nie będę. Nie, nie będę!

Podniósł oczy ku niemce.

— O — drżącym głosem odparła pochylając się Amanda—straszą nas tą panią posłową. Ma to być kobieta niezmiernie zřeczna i przewrotna.

— Nie tu polityka jej nie pomoże—począł król—ja mam mój cały plan osnuty. Wiem, że ona przecież bawić tu długo nie może. Pozostanę chorym, nie zbliżę się do królowej. Będzie musiała Warszawę opuścić, francuzów znaczniejsza część pociągnie

za nią. Pozbędę się natrętnej marszałkowej. A potem królowa mieć będzie swój dwór, ja mój, i możemy się nie znać wcale. Ja trybu życia zmieniać nie będę i dlatego od dziś dnia to chciałem jawnie okazać, że się z tem kryć nie myślę.

Oddychał ciężko król, mówił prędko, chwycił i rzucał co miał pod ręką, nie słuchał nawet co mu podszeptowała niemka. Pomimo wielkiego męztwa jakie objawiał, widać było, że słaby, trwożył się już własnem postępowaniem.

Sam musiał powątpiewać czy wytrwa, gdyż zcieha powtarzał sobie: Wytrwam! nie mnie nie ściągnie z tej drogi.

Uczta uroczysta w wielkiej sali, w której z boku stał opróżniony królewski, przygotowany dla państwa młodych stół na cztery stopnie podniesiony nad posadzkę, z krzesłami pod baldachimami, przeciągnęła się długo.

Mimowoli oczy gości zwracały się ku temu stołowi, przy którym brakło pary królewskiej, ale nikt nie śmiał dać poznać po sobie, jakie to obudzało uczucie. Jedna pani de Guebriant zdradzała się ruchami i mową gorączkowo podnieconą.

Książę Karol siedział niemy z oczyma na talerz spuszczone, zaledwie odpowiadając na zadawane mu pytania. Oprócz francuzów, liczni senatorowie, kilku cudzoziemców składali towarzystwo, któremu Kazanowski czynił honory domu.

Późno już goście wstali, pani de Guebriant zażądała udać się do przeznaczonych jej pokojów i wszyscy zwolna opuścili salę, wynosząc z niej przykre jakieś uczucie, a rozbudzoną następstw ciekawość.

Marszałek Kazanowski chciał ztąd wprost się udać do króla, lecz dowiedziawszy się, że dotąd bawi u Amandy, zwrócił się do pustej sypialni, aby tam oczekiwać na niego.

Nie widząc go przychodzącego, łatwo się było domyśleć Władysławowi, iż znajdzie go na pokojach.

Nie mógł się bowiem oddalić najlepszy z przyjaciół któła, po tym dniu tak wielkiego znaczenia, nie rozmówiwszy z nim. Władysław potrzebował wynurzyć się przed nim.

Znalazł go, powracając, smutnie zamyślonego w krześle, w sypialni swojej. Król natychmiast się rozebrał i położył, wszystkich aż do Paca odprawivszy; paziowie tylko w antykamerze pozostali. w której nocować byli zwykli.

Z pewną trwogą spojrział król na Kazanowskiego.

— Ciężki ten dla mnie dzień skończony nareszcie — odezwał się Władysław — wydał mi się długim jak wieki.

— I długo, długo — rzekł Kazanowski — pozostanie w pamięci. Skutki jego nieobrachowane.

— Owszem — przerwał Władysław gorąco — obrachowałem je ściśle i nie uczyniłem krokn jednego bez namysłu. Potrzebowałem otwarcie dać poznać królowej, iż zawiodłem się na niej.

Kazanowski ruszył ramionami.

— Jest-że w tem jej wina? — odezwał się zimno. Potwarz jaką na nią rzncono, ani może być dowiedziona, ani do prawdy podobną. Jest to wprost złośliwa jej nieprzyjaciół intryga.

Każesz jej za to pokntować, niesłusznie; lękam się, abyś potem nie był zmuszony uznać się winnym.

— Znasz mnie? — zamruczał król — nie zwykłem zwracać się z raz obranej drogi.

Kazanowski mógłby był odpowiedzieć jak dobrze wiedział, iż Władysław długo nigdy wytrwać nie umiał w jednym postanowieniu wymagającym stałej woli. Zmilczał jednak.

Król natychmiast zmienił umyślnie przedmiot, zapytując o świeżo przybyłych posłów moskiewskich. Skarżyli się oni, że ich na granicy niedosyć uprzejmie przyjęto, a Kazanowski wiedział, że za podkanclerzego litewskiego, który im uchybił, on solennem

przyjęciem zapłacić będzie musiał; szepnął więc z rezygnacją wdychając, że się to łatwo naprawi.

Odwracając od drażliwego przedmiotu, i lękając się wymówek przyjaciela, zagadnął król potem o to, jak Tiepolo wenecki poseł zachować się myśli względem pana de Brégy.

Kazanowski dobrze rozumiał o co królowi chodziło, odpowiadał zimno, krótko i niechętnie.

— Mówmy o królowej—rzekł w końcu ośmielając się.—Niepodobieństwem jest, abyś sobie chciał Francję zniechęcić w chwili, gdy jej do planów swych wojennych potrzebujesz. Dla fantazyi osobistej nie możesz przecie poświęcić wielkiej myśli.

Król dał znak, iż tego czynić nie zamierza.

— Zachowajże się względem żony tak, aby przynajmniej publicznie się obrażoną nie czuła — mówił dalej Kazanowski. — Wojna przeciwko poganom jest dla ciebie myślą główną, twojego życia uwiecznieniem, możnaż dla jakiejś płóchej plotki ją poświęcać?

Władysław słuchał z głową spuszczoną.

— Nic się nie stało—rzekł zakłopotany—czegooby wytłumaczyć nie można. Jestem chory, wszyscy widzą, że chory jestem. Jntro się zmnuszę do uroczystego festynu w wielkiej sali, królowę posadzę przy sobie, wszystkiemu stanie się zadość.

Zapewnieniem tem marszałek nie zdawał się zaspokojonym.

— Pozory przynajmniej—rzekł—dla czei i godności królewskiego domu twojego ocalić potrzeba. Ludzie już i tak złośliwe plotki siać będą. To co padnie na królowę, odbije się na tobie.

Odepchnąć jej nie możesz, sama polityka ci tego uczynić nie dozwala, należy więc zamknąć usta oszczercom.

Król słuchał nauki milczący.

— To co się stało, choć z trudnością, da się naprawić, ujmując posłowę p. de Guebriant, która tu

główną gra rolę. De Brégy nic nie znaczy. Resztę winy — dodał — złożyć będziemy mnsieli na pannę Amandę.

Z niechęcią i oburzeniem przerwał mu mowę Władysław.

— Ja na to pozwolić nie mogę, ty wiesz... mam do niej przywiązanie, które czas uczynił trwałem. Nie chcę najmniejszej jej uczynić przykrości, nie dozwolę na to.

— I sądzisz—przerwał Kazanowski—że życie się tak da ułożyć, aby ją królowa obok siebie cierpiała? że Amanda potrafi się zachować tak skromnie, tak cicho, aby nie wywołała gniewu i sama nie zaszkodziła sobie. Niemka jest gwałtowną. Im więcej okaziesz jej słabości, tem wymagać będzie coraz dobitniejszych jej dowodów. Gotujesz sobie nieskończone węzły do rozplątywania.

Marszałek poruszył ramionami.

Władysław milczał długo.

— Mam mocne postanowienie—rzekł w końcu—pozostawić Mandzię na tem stanowisku, jakie przy królewiczu zajmowała. To jej pobyt na zamku tłumaczy i moje u niej odwiedziny.

— Któż uwierzy?—szepnął Kazanowski.

— Niech myślą co chcą—zawołał król—powtarzam ci, nie ustąpię...

— A Gnebriant nie wyjedzie ztąd, przekonany jestem, dopóki ciebie z królową do zupełnego nie doprowadzi porozumienia.

— Długoby na to czekać mnsiała—wybąknął król.

Kazanowski niezrażony ciągnął dalej:

— Na wojnę potrzebujesz pieniędzy, rachowałeś na posag królowej. Ona sama nim rozporządza, wątpię zaś, aby go chciała ofiarować, widząc się pogardzoną i nie mogąc na przyszłość rachować.

Władysław milczał chwilę, ale i na to znalazł odpowiedź.

— Dla królowej znajdziemy gwarancyę, jeśli jej potrzebować będzie.

— Lecz zmusić jej niepodobna, aby robiła przy-sługi, gdy jej się będą przykrości wyrządzać. Dotąd wcale sobie serca jej nie mogłeś pozyskać. Strzegli-śmy ja i ks. Albrecht Radziwiłł, aby pozory ocalone zostały i to przyszło z trudnością... co dalej będzie, od ciebie zależy.

Pamiętaj tylko, że naprawiać złe spełnione daleko jest trudniej, niż powstrzymywać się od uczynie-nia go.

Kazanowski więcej może niż wymową i przeko-nywajacem argumentowaniem uczynił na królu wra-żenia smutkiem, jaki był rozlany na jego twarzy. Władysław znał dobrze przywiązanie jego do siebie. Smutek ten był dla niego najlepszą miarą popełnio-nego błęd, ale miłość własna nie pozwalała się ani przyznać do niego, ani zmienić tak rychło usposo-bienia.

Marszałek dowodził tak zręcznie, iż król go zbić nie mógł, musiał zamilczeć i w ten sposób zamknąć rozprawy, w których czuł, że został zwyciężonym.

Kazanowski zabierał się już do wyjścia.

— Proszę cię—łagodniej odezwał się, żegnając go król, który mu rękę podał i dłoń jego dłużej w obu swoich zatrzymał—proszę cię, nakaż jutro, aby nam wstydu nie uczyniono. Francuzi znają się na kuchni i przywiązują do niej wagę.

Nie odpowiadając na to, marszałek się uśmiechnął, poruszył ramionami i dopiero w progu zawołał:

— Gdybyśmy innej troski nie mieli!

VII.

Panna Amanda w czasie dosyć już długiego po-bytu w Warszawie i na dworze, otoczyła się całą gro-

madką ludzi, którzy jej byli oddani i wszystko też jej zawdzięczali. Miała tych swoich sojuszników wszędzie rozsianych, a pozyskiwanych w różny sposób.

Do najwierniejszych tych *animae damnatae*, które na wszystko dla niej były gotowe, liczył się niebardzo znaczny, ale ruchawy i czynny człowieczek, którego zwano Benedyktem Nesterackim. Zkąd on się tu wziął i jak wsrubował, dziś już dojść było trudno, ale z każdym rokiem czynniejszym był i nabywał znaczenia.

On sam bardzo huczno głosił się szlachcicem, drudzy mówili, śmiejąc się, że owo szlachectwo u jakichś ubogich Nesterackich kupił sobie za kilka beczek piwa, niewiele grosza i starą delię futrem podbitą, że pochodził z chłopów, a ojca miał sołtysem. Początki Nesterackiego na dworze Cecylii Renaty były bardzo skromne. Zdaje się, że sprzedawał owies do królewskich stajni, że się tu zapoznał, małemi usługami jakimś w łaski wkraść koniuszym, a przez jednego z nich poleconym był pannie Amandzie, jako pośrednik do kupna, na którym ona zarobić coś chciała.

Niemka bowiem nie zapominała o zysku, gdy mogła go sobie zapewnić.

Nesteracki wkrótce stał się jej niezbędnym; wyrobiła mu miejsce na dworze. Przyjęto go dla niej, jako komornika, którego obowiązki ściśle oznaczone nie były. Posyłała go, posługiwała się nim i nie zawiodła nigdy.

Ów tak zwany „Benedyk“ oprócz tego miał inne zajęcia, prowadził jakieś handle; przybierając do nich wspólników, na których składał winę, jeśli się co nie w porządku okazało, młodzieży na zakłady pożyczął pieniędzy i przyszedł do bardzo znacznej zażyłości, ale z nią więcej się krył niż popisывał.

Raz w rok dostawał na kilka tygodni uwolnienie i jechał w świat. Mówiono, iż miał posiadłości gdzieś

aż za Bugiem, w puszczy Kobryńskiej, bardzo już rozlegle, ale on się tego zapierał.

Zamożności po nim poznać było trudno, choć niby z pomocą ludzi, rozporządzał nieraz znacznemi pieniędźmi i po kilka tysięcy złotych, co na owe czasy było sumą już wielką, pożyczał.

Z pozoru był niepokąźny, z krzywemi w kabłąk wygiętymi nogami, przysadkowaty, z grubym karkiem, włosami jak szczecina twardemi, rękami długimi, twarzą okrągłą zawsze czerwoną i plamistą, wąsikiem rzadkim i rozbitym, tak że go nigdy skrócić nie mógł, wyglądał na parobka. Mówił śpiesznie, jękając się i zatracając z mazurską, co naówczas za znamię chłopskiego pochodzenia miano, choć niesłusznie.

Pannie Amandzie, gdy ona czego zażądała od niego, nigdy nie odmówił, choćby karku miał nadkręcić. Wierzył w jej rozum i potęgę, a pocichu czasem, od śmierci królowej Cecylii, mawiał:

— Zobaczycie, ona jeszcze się kiedyś na królowę wystrychnie.

Ambiecy nie miał wcale, ani za tytułami, ani za popisywaniem się sobą nie nbiegał się, ale całą swą mądrość i zabieглиwość na robienie grosza obracał.

Obok tego miał namiętnostkę skrytą do pięknych kobiet, ale gdy do konfliktu przyszło między nią a pieniędźmi, ona nlegać musiała.

Benedyk, za czasu, gdy Bietka była jeszcze przy królewiczu i pod rozkazami Amandy, razem z wielu innymi biegał za nią, równie bezskutecznie jak drudzy. Ta tylko była różnica między jego losem a innymi, że na Nesterackim często spędzała gniewy i mniej go od innych oszczędzała.

Napróżno posuwał się roznamiętniony aż tak daleko, że podarki jej chciał ofiarować, wyśmiała je i dawcę. Gdy potem dziewczę znikło nagle ze dworu, Nesteracki był w rozpacz. Chodził długo jak

przybity i nie krył się z tem, że za nią tęsknił okrutnie.

Wyśmiewano go—to mu było obojętnem.

Amanda, wiedząca o wszystkim, co się na dworze działo, знаła tę słabość Nesterackiego, wyśmiewała się i ona. Czasem mówiła mu żartobliwie, że około pieniędzy chodzić umiał, ale z kobietami wcale nie wiedział jak poczynać. Z głową spuszczoną słuchał tego Benedyk.

Gdy Bietka pokazała się z powrotem na zamku, tryumfująca na dworze królowej, jeden z pierwszych ją tu powitał Nesteracki.

— A co? panna powraca nam!—odezwał się, mrużąc.

— Tylko nie na dawne miejsce moje — uśmiechnęła się Bietka—tamtego już miałam dosyć.

— Daj Boże, aby z francuzami lepiej było — dodał Benedyk, przystępując bliżej — daj Boże; ano, niech mnie panienka z sobą otwarcie mówić pozwoli.

— A cóż mi powiedzieć chcecie?

— Że pannie ani tu, ani tam miejsca sobie szukać nie potrzeba—szepnął, oglądając się, Nesteracki, bo nie chciał, aby go pochwyciono na tej rozmowie.

— Zastęszalesz pewnie, że mam ojca i że mogłabym wrócić do niego?—spytała Bietka.

— A! nie! Ja tam o ojcu tak jak nie wiem i kiedy go tak długo nie było, to ja na niego niewiele rachuję, ale... pannie łatwo wyjść za męża i być u siebie panią w domu.

Bietka się śmiać poczęła.

— Za kogóż? za was, panie Benedyk?

Zczzerwieniał mocno Nesteracki.

— Panna sobie myślisz, że Benedyk nic nie wart, bo flamskiego sukna i atlasów nie nosi—rzekł—a on może więcej ma w kieszeni, niż nie jeden z tych, co się złotem i łańcuchami czwanią!

— Cóż z tego?—pochwyciła Bietka—albo to się pieniądze poślubia?

Nesteracki stał długo niemy. Nie pojmował naprzód, jak można było lekceważyć pieniądze, potem obraził się, że jego nie szacowała nic.

— A jam nie nie wart?—spytał.

Dziewczę popatrzyło na niego długo, zrobiło minkę dziwną, ukloniło się i pierzchnęło.

Benedyk stał długo i nie mógł przełknąć danej mu nauki.

Odepochnięty, brał na kiel.

— Ci ona sobie myśli!—zawołał w duchu—gdybym chciał, to ją tak czy owak mieć będę

Na dworze nie się długo nie może ukryć, zaraz więc zaczęto mówić o Nietykszy, którego tu dobrze znano, bo z ks. Radziwillem zawsze prawie przychodził, należąc do jego najulubieńszych dworzan.

Nesterackiemu któryś z dłużników szepnął:

— Co ty się darmo durzyć będziesz tą dziewczyną. Bałamutka jest, a teraz Nietyksza u niej na kołku. Ten, słyszę, nieubogi, a i księżę go proteguje, ożeni się z nią. Królowa ją lubi i wyposaży, co tobie o niej myśleć! gdzie się tobie mierzyć z Nietykszą!

Ile razy tak Nesterackiemu zadawano jego ekstrakcyę małą i położenie na dworze żadnego, niemające znaczenia, mało mu krew nie tryskała oczyma. Burzył się, jakby chciał kłam zadać tym, co go tak posponowali, ale przypomniawszy sobie potrzebę milczenia, dusił w sobie co miał już na ustach.

Obawiał się pochwalić z tem, co miał, aby go nie pytano jak się dorobił i nie korzystano z jego dóstatków, gdy mu z ubóstwem pozornem wygodnie było.

Komornicy drudzy i dworzanie wprawdzie domyślali się, że musiał mieć sporo uzbieranego grosza, ale nie przewidywali wcale jak dalece był zamożnym. O swoich posiadłościach nie mówił nigdy.

Zaraz po przybyciu królowej, Amanda, czując pod

bokiem Bietkę i bojąc się, aby ona jej nie szkodziła, przedsięwzięła koniecznie się jej ztąd pozbyć. Spróbowowała naprzód podszeptać królowi, aby na królowej wymógł jej oddalenie.

Król zaś nigdy żadnego pięknego dziewczęcia ze dworu swego usuwać nie dozwalał. Lubił bodajby popatrzeć na nie. Bietka zaś dla tego miała pewne względy u niego, że ją lubił królewicz.

Na pierwszą więc insynuację potrząsnął głową.

— Ja się w to nie wdaję!—zamruczał—co mi tam jeden ten fartuszek ma zawadzać.

Zagadnęła o nią potem Paca. Pac utrzymywał wprost, że na samym początku, gdy jeszcze nikogo nie znali, a najmniej królowę, dla Bietki się zadziierać, wciskać tam było wcale nierozumnem.

— Ale ta żmija tu... zobaczysz, nas wszystkich wyżenie!—wołała niemka.

— Królowa nie może nic — zawołał, śmiejąc się, Pac—a ty chcesz, aby ona tu coś mogła?

Śłuchać więc nie chciał.

Myśl rozpaczliwa i szalona przyszła w nocy panie Amandzie; powiedziała sobie: niech ją Nesteracki wykradnie i precz wywiezie. To najlepszy czas, na dworze nieład, ludzi nowych wiele, nikt zresztą nie będzie dbał o to. Zakochany w niej do szaleństwa, pieniądze ma, pomocników znajdzie, co łatwiejszego jak zasadzkę zrobić na nią i wywieźć ją precz. Ma tam gdzieś w lasach posiadłości jakieś, posadzi ją tam. Książd mu każdy ślub da, a jej się ztąd zbędziemy.

Myśl ta utkwiała w niej.

Wstała z nią z rana, a choć jak zwykle bywa, to co po nocy się wydawało możliwem, we dnie dzielnie się jej prezentowało, nie odstąpiła od zamiaru. Wieczorem kazała zawołać Nesterackiego.

Po krótkim wstępie, wprost się go spytała:

— Zawsze ty szalejsz za tą dziewczyną?

— Ja wiem, żem głupi — zamruczał Benedyk — a co to pomoże! co to pomoże!

— Czemuż nie starasz się o nią?

— A jak? — zapytał Benedyk — ja jej mówiłem: ożenię się z tobą, mam pieniądze... w oczy mi parsknęła. Ona ma Nietykszę.

— Nietyksza się z nią nie ożeni — zawołała Amanda.

Nesteracki z tych urywanych słów i nalegania zmiarkował, że panna Amanda nie jego, ale swój interes w tem miała, aby się ztąd pozbyć Bietki.

— Trudna z tym koziołkiem sprawa — zamruczał.

Niemka zbliżyła się do niego o krok i żywo mu rzuciła:

— Co to? porwać jej nie możesz? Kto się tu o nią upomni? Kto tu postrzeże, czy ona jest, czy jej niema?

— Mówią, że królowa...

— A! plotki — przerwała Amanda — nie miałaby o czem myśleć, żeby takimi się dziewczętami zajmowała.

Nesteracki stał zadumany, a potem począł pocichu:

— Dwa lata temu, panna pamięta? Emilkę tę co ją ze dworu porwał Szałwajski... he?

Zarumieniła się Amanda, bo jej to przypomniało że król bardzo się gorąco zajmował tą nieszczęśliwą Emilią.

Zmarszczyła brwi.

— Panna wie co się Szałwajskiemu stało? — dokończył z westchnieniem. — Dogonili go z nią i król dał ściąć.

Ręką posunął po gardle.

— Nie, tego ja nie chcę, nie — zamruczał — nie.

— Tu się tego niema co obawiać — dodała — na-przód, że schwytaćbyś się nie dał, a nikogo ona nie obchodzi.

— O! o! a Nietyksza, a za nietykszą Radziwił-łowie.

Benedyk zagrożoną głową potrząsał. Jednakże od-

szedlszy, gdy sam na sam rozmyślać począł, gdy mu Bietka na oczach stanęła i to szczęście, jakiego z nią mógł zażywać, bardzo mu się zdawało nieprzyzwoitem, że Szałwajskiego ścięto.

Historja ta była prawdziwą i nie ulegała wątpliwości.

Benedyk miał na dworze mnóstwo znajomych, którzy potrzebując go, wysługiwali mu się chętnie i z nim czasem gwarzyli. Męczyła go tak myśl przez Amandę rzucona, iż mimowoli począł niby żartami, badać różnych, czyby porwanie panienki ze dworu... ot tak, w ogóle, mogło njsć bezkarnie.

Zdania były wielce podzielone, jedni to brali za żart, drudzy przypominali ową Emilkę i ściętego rap-tora, inni utrzymywali, że pod te czasy nikt się tak podwiką nie opiekował, aby mścić chciał i ścigać.

— Ja ręczę—zaburczał jeden—że gdyby tak teraz, nieprzynierzając, królowi panu naszemu kto pannę Amandę porwał a drapnął z nią, dalipan by za nim nie posłano pogoni.

Iunv dodał.

— Baba z wozu kołom lżej — a nakoniec jeden zamknął.

— A komuby do głowy mogło przyjść dziewczy-nę wykradać? albo to ich niema poddostatkiem na targu za tanie pieniądze.

Benedyk tymczasem chodził myślą tą obładowany. Drugiego dnia sam zaczepił przy podanej zręczności Amandę, aby się przekonać, czy ona istotnie uważała to za rzecz możliwą.

Niemka nie chciała wydać się zupełnie, potrząsnęła głową.

— Na to pono innego człowieka trzeba a nie was—rzekła—u was pieniądz za wszystko starczy... karku dla niej nadstawić nie zechcecie.

Benedyk odszedł zadumany.

Bietka tymczasem, choć znikła wśród nagromadzonego nowego dworu i francuzów, którzy na siebie

zwracali oczy, była czynną i nieodstępowała królowej, aby stawić się na każde jej zawołanie. Budziła ona w niej litość, a oprócz tego Amandzie nie zapomniała przeszłości, we dwójnasób więc pobudzona, zapomniała o sobie, całą duszą oddana temu dramatowi, którego pierwsze sceny żywą walkę zapowiadały.

Nietyksza nawet, dla którego miała słabość, choć się do niej przyznawać nie chciała, nie mógł jej oderwać od antykamery królowej, w której nieustannie na zapytania pani, lub jednej z jej towarzyszek odpowiadać musiała. Dla ich osoby składające dwór króla, ich wpływ i znaczenie były jeszcze tajemnicą. Bietka więc musiała uczyć jak się z kim obchodzić miano, w kim przyjaciela upatrywać lub obawiać wroga. Było to tem ważniejszym, że ichmość niektórzy jak Platenberg mianowany koniuszym królowej, przyjaciel i pomocnik Paca, służka króla do spraw niewieścich, ufając sobie poczynali zabiegać, aby pozyskać zaufanie nowej pani i korzystać z niego przeciw niej samej.

Platenberg bezwstydnym i zuchwałym pierwszy rozpoczął te zabiegi, zbliżył się do państwa des Essarts, udawał wielce przejętego losem królowej i starał się wkraść w łaski u francuzów.

Bietka była na straży i natychmiast przestrzegła panią des Essarts, aby koniuszemu nie dawano wiary.

O ile mu obowiązki jego dozwalały, Nietyksza ciągle kręcił się przy dworze, na którym miał wiele znajomych i przyjaznych, korzystając z każdej zręczności, aby się choć na chwileczkę zbliżyć do swego dziewczęcia.

Litwin z nadzwyczajną zręcznością wynajdywał sobie rozmaite pozory, aby dla służby księcia wrzekomo ciągle się około zamku uwijać, a przeważnie przy królowej, której los Radziwiłła obchodził.

Dworzanie z nim spoufalerzy, bo ich sobie na wszelki sposób ujmował, nie żalując małmazji i najlepszych win, jakie u francuza świeżo pod zamkiem rozłożo-

nego dostać było można, służyli serdecznie litwinowi, choć go poufale zawsze boćwiną przezywali, za co się nie gniewał.

W wigilią tego dnia, gdy uroczysty obiad miał być na zamku, jeden z przyjaciół Nietykszy pochwycił go w korytarzu i szepnął mu na ucho.

— Baczność, boćwino, a nie, to ci z przed nosa porwą twoją Bietkę, ani się postrzeżesz.

— Kto? kto?—krzyknął Nietyksza.

— Nie jedenby rad, ale jeden może tylko łotr się na to gotów ośmielić—odparł przyjaciel—to ten bestya Nesteracki, Benedyk, który oddawna ostrzy zęby na nią, ale teraz już tak coś przebąkuje, jakby zamyślał raptu dokazać i gwałtem ją ztąd pochwycić. A nie głupi jest, bo z powodu przybycia królowej u nas wszystko w zamieszaniu, nieład, rwetes, ani się spostrzegą, jak jej zabraknie, a Amanda postara się o to, aby pogoni za nią nie słano, bo dawnoby się jej pozbyć gotowa.

— A zkądże wnosisz, że ten łotr Benedyk co podobnego zamierzać może?

— Bo się ciągle, niby żartami, dopytuje wszystkich o to, co by to było, gdyby się co podobnego przygodziło.

— Coby było? — zamruczał Nietyksza, któremu krew do głowy uderzyła. — Coby było! Możecie mu powiedzieć, że niezawodnieby łba zbył z karku, do czego ja sam gotówem się ofiarować, choć oprawcą nie jestem.

Z niezmiernym niepokojem począł się tedy rozpytywać, badać Nietyksza i nietylko tego jednego, który go przestrzegł, ale innych też rozpytując przekonał się, że istotnie Benedyk się odzywał z czemś podobnem.

Litwin znajdował najprostszem natychmiast wprost na samego rzucić się winowajcę, ale miał tyle siły nad sobą i przebiegłości, iż postanowił to uczynić łagodnie i drwiąco z początku.

— Jak się na tem nie pozna—mówił sobie—zażyję go inaczej.

Szukał więc Benedyka, który, nie zapominając o interesach, dostarczał obroków na rachunek króla dla pomnożonej na stajniach liczby koni, i znalazł go w istocie dozorującego wydawanie owsa, jakby odniechcenia i zdaleka.

Pozdrowił go litwin z uszanowaniem przesadzonem.

— A, co to?—zapytał stojąc obok—czyście szafarzem obroków mianowani, panie Nesteracki? Wicie to nie jest zły urząd, gdy koni dużo, gdyby po pół miarki na łeb każdy, wyspało się do kieszeni, stanie na garncy parę wina wieczorem!

— Ale ja nie jestem szafarzem!—zamruczał krzywonogi—cóż mi tu stać nie wolno?

— A któż wam broni?

— Bo czepiacie się mnie — rzekł Benedyk, chcąc odejść. Wtem Nietyksza zastąpił mu drogę.

— Ja wam do dozoru nad waszem owsem nie będę przeszkadzał — rzekł z przyciskiem, pochylając mu się do ucha—ale, proszę ja was, Benedyku mój, chcesz-li kości mieć całe nie włącz ty mi w drogę!

Nesteracki się rzucił.

— Ja z wami do czynienia nie mam nic—zawarował—ja was nie znam, daj mi pokój.

— No, ale ja was znam—odparł Nietyksza, który mu jak przyrósł do boku — ja was znam. Wicie o co chodzi. Zachciało się wam tego dziewczęcia, które ja sobie wybrałem i do niego nie dopuszczę nikogo, nietylko takiego Maledyka jak ty, ale gdyby daleko był z większym czubem.

Pamiętaj to sobie, że byleś mi ją palcem potracił, będziesz mi odpowiadał, a nawet dużo o niej mówić wara, bo w twojej paskudnej gębie jej imię się walić nie powinno.

Nesterackiemu tego już było zanadto, począł się rzuć, trząść i krzyczeć.

— Szalona pałko! daj ty mi święty pokój; ja z tobą

nie mam nic, ja ani wiem, ani znam czego ty się do mnie rwiesz. Jam ci nic nie winien. Niepora tu teraz za łebki chodzić. Ja ciebie się nie zlekne, ale ty wiesz, że na zamku szabli dobyć, znaczy gardłem odpowiadać.

— Ja szabli na ciebie, zgnilaku, nie potrzebuje— zawarczał Nietyksza, ogromną ręką podnosząc mu do oczu — dosyć będzie oto tych pięciu palców. Ale powiadam ci, abyś to wiedział i zapisał sobie, że byleś się zbliżył do mojej... już ty wiesz o kim mowa, toś życia niepewien.

Rzuciwszy mu to w oczy Nietyksza odszedł, bo się obawiał, aby w pasy od słowa do słowa nie przyszło do pięści.

Benedyk trząsł się i stał długo ruszyć nie mogąc, nie tak ze strachu, jak ze złości. Tchórzem nie był, pogrożki litwina to na nim sprawiły, że począł sobie poprzysięgać.

— Na złość tej boćwinie, choćby mnie to nie wiem co kosztowało, dziewczynę będę miał!

Litwin nie mogąc się uspokoić, wprost od Benedyka poleciał na wschody do pokojów królowej, do których wprawdzie dostać się nie mógł i nie miał pozorów żadnego, aby próbować, ale się spodziewał przez służebne na chwilę wywołać Bietkę. Chciał ją przestrzędz.

Dnia tego właśnie przystęp tu był trudny, bo przygotowania do wielkiej uczty, strojów kobiecych, fryzur, piór, sukni, cały dwór w ruch wprowadzały. Polki i francuzki biegały jak oparzone, a Nietyksza napróżno je zaklinał, aby mu na minutę tylko pannę Bietkę wywołano. Żadna z panien słuchać go nie chciała.

Wartę więc odprawiał u drzwi długo, gdy naostatek Bietka przypadkowo wybiegła. Pochwycił ją na korytarzu.

— Na miłego Boga! pannuniu! ja tu od godziny stoję, mam coś ważnego do powiedzenia.

— Czasu nie mam.

— Ale ja muszę, dwa słowa! — nalegał Nietyksza — a nie, to się wielkie nieszczęście stać może.

Zawsze o królowej tylko myśląc, Bietka nastraszyszy się o nią, stanęła.

— Masz co mówić? piorunem gadaj — zawołała — na mnie czekają.

— Znasz panna Benedyka Nesterackiego? — począł żywo Nietyksza.

— A co potem?

— Dawno on za wami biega? — pytał Nietyksza.

— A niezdolny zalant! — rozśmiało się dziewczę grożąc mu.

— Takżebym miał o kogo być zazdrośnym — zawołał litwin — nie o tego krzywonogę, ale ta bestya oszalała i pewnie na współ ze swoją panią, co się was ztąd pozbyć rada, knuje jakąś zasadzkę, chce was porwać i uprowadzić.

Bietka uszom nie wierzyła.

— Ktoś z was sobie żarty stroi! — odezwała się.

— Ale nie! — zawołał Nietyksza — to szalony człek, a po sobie ma niemkę. Tu we dworze zamęt taki, że niejedną aleby cztery można skraść i jeszcze by się nie opatrzyli.

— Ja jestem ciągle przy królowej prawie — zaczęła żywo i już się nie cierpliwiąc Bietka. — Gdyby nawet coś takiego zamyślał....

— Proszę sobie tego nie szacować lekko — żywo ciągnął dalej Nietyksza. — Wiem co mówię. Ja mu już zagroziłem, ale to go może jeszcze rozdrażni. Nie wierzę nikomu. Niemce wy solą w oku, ona gotowa pomódz, a u króla się postara, żeby mu uszło bezkarnie. Nie ruszajcie się z pokojów, nie wychodźcie na korytarze.

Bietka się śmiać zaczęła.

— Zamknęlibyście mnie do klatki — odparła — a wszystko to przez tę zazdrość. Nie wierzycie mi! Gotowam się pogniewać. Gdzieżby taki parobek ja-kiś śmiał..

Cheiała biedz dalej, powstrzymał ją Nietyksza.

— Klnę się wam na wszystko co mam najświętszego, nie komponuję. Chorwat mnie ostrzegł pierwszy, że już chodzi pogłoska, jakoby sobie Maledyk dobierał pomocników. Zulski mi potwierdził, iż z ust jego słyszał o tem gadanie, czy rapt jest teraz możliwy, bo nikt czasu nie będzie miał gonić, ani się tem zajmować.

Zmarszczyła brwi Bietka.

— Sądzę, że to są bałamuctwa tych darmożjadów — rzekła — którzy chcą się wam przysłużyć, abyście ich karmili i poili za to. Ja się nie obawiam. Zresztą, będę ostrożna, choć w niebezpieczeństwo nie wierzę.

Nietyksza biegł ciągle za nią.

— Gdyby nie służba u księcia — wołał — jabym się ztąd krokiem od progu nie ruszył i jak piesbym się u drzwi położył. Zlitujcie się, nie lekceważcie.

Bietka dała mu znak i pierzchnęła.

Czasu w istocie dnia tego nikt nie miał do stracenia na zamku.

Gotowano się do zapowiedzianej uczty. Wszyscy panowie senatorowie duchowni i świeccy, urzędnicy wielcy, posłowie cudzoziemscy, rycerstwo przedniejsze, szlachta przybyła z ziem różnych miała się znaleźć na zamku. Nie wiedziano na ile osób rachować, bo na takie przyjęcia ogólne zaproszenia starczyły, a każdy co się mógł ubrać pięknie, ciągnął na zamek i cisnął się do sali; nikt nie śmiał pytać i bronić wnijścia.

Spodziewano się więc natłoku.

Z powodu cudzoziemców król wymagał i Kazanowskiemu polecił, aby najwspanialej wystąpić.

Szło o splendor korony, a raczej dwu, bo Władysław zawsze jeszcze tytuł szwedzkiego też króla nosił.

Wiedziano tu jak świetnym był dwór francuzki nie chciano dać się zaćmić.

Król też od rana nie miał spoczynku, bo mu się

przybywający pokłonić chcieli, a mnóstwa drobnych trudności etykiety, rozwiązania od niego się domagano.

Wprawdzie od Zygmunta III i stosunków z dworem rakuzkim, na dworze ściślej były formy pewne zachowywane niż za Batorego, który do nich wielkiej nie przywiązywał wagi, lecz nigdy w Rzeczypospolitej zbyt ostro nie brano stopniowania hierarchicznego. Teraz bytność zarazem posłów tytu i jednej posłowej, która była czemś niezwykle i wyjątkowem, mnożyła trudności etykiety.

Od rana już w pokoju króla roztrząsano z nadzwyczajną troskliwością, jak u stołu króla miejscami rozporządzić należało.

Do wymienionych dostojników dodać było potrzeba nuncjusza papieżkiego, który miejsce musiał posiadać przy królu albo królowej. Zachodziły potem wątpliwości co do pierwszeństwa jakie dać należało posłowi, posłowej, biskupowi auriackiemu, wreszcie innym panom posłom *minorum gentium*.

Oprócz tego stołu głównego, do którego osób niewiele przypuszczonych być miało, trzy ogromnych ustawiono w sali poniżej, a przy tych, wyjąwszy miejsce głównych na czele, ku szarym końcom już ani można było myśleć o zachowaniu jakiegoś stopniowania.

Zwawszy i silniejszy musiał posiadać innych, a polskie—równy wojewodzie—nie dozwalało nikomu ustąpić starszym. Każdy się miał za tak dobrego jak drudzy.

Króla nudziły już te nieskończone rozprawy, w których Radziwiłł i Kazanowski najczynniejsi byli.

Królowej też nie zbywało na troskach dnia tego. Wiedziała, że się ze strony króla najmniejszej zmiany na lepsze spodziewać nie może, że spełni do czego ceremonial go obowiązywał, ale tak kwaśno, niechętnie, z odrazą, jak wczora jawnie przystępował do błogosławieństwa w kościele.

Pani de Guebriant dodawała odwagi, lecz sama

nie spodziewała się tak rychło odnieść zwycięstwa nad kliką nieprzyjazną, jaką króla otaczała. W dodatku do innych trosk Maryi Ludwiki przybywała nowa, dotąd nieprzewidywana. Francuzi dodani jej zaczęli waśnić się między sobą, jedni więcej, drudzy mniej zbliżali się do p. de Brégy. Pani des Essarts i jej rodzina krzywo patrzyła na pannę Langeron, która o nich wyrażała się przed królową niechętnie i złośliwie. Sekretarz Desnoyers, pan des Essarts, ksiądz de Fleury, stali już odosobnieni, a obóz panny de Langeron stał już oddzielnie. Spoglądano na siebie złośliwemi oczyma, dogryzano półśłówkami. Królowa była tem niemal do rozpacz przywiedziona.

Zkądinąd dochodziły ją już groźniejsze jeszcze wieści, że król postanowił cały jej dwór francuzki, nie wyjmując ani ks. de Fleury, ani sekretarza, nazać do Francyi odprawić z panią de Guebriant.

Dla Maryi Ludwiki nie straszniejszym być nie mogło. Widziała się już rzuconą na łup nieprzyjaciółom, prześladowaną, uciśniętą.

— Jeśli mi ich odbiorą — wołała do pani de Guebriant — ja tu nie zostanę, niech i mnie odeśle do Francyi.

Napróżno uspokajała ją marszałkowa. Obawy królowej wcale nie były próżne, bo wprzód jeszcze nim przybyła tu, panna Amanda starała się królowi wpoić to przekonanie, że francuzi będą szpiegami i donosicielami, że oni mnożyć mu będą trudności i poróżniać go z Francją.

Król myśli tę pozbycia się francuzów pochwycił skwapliwie, chcąc razem przykrość tem uczynić królowej i dać jej uczuć władzę swoją. Pani de Guebriant ze swą powagą, taktem i krwią zimną uspokajała jak mogła i umiała, lecz groźba sama zawieszona jak miecz Damoklesa nad biedną, znękaną królową starczyła, aby ją pozbawić spokoju.

Promieniejąca powinna była wynieść na tę ucztę weselną spóźnioną, a oczy jej łzami nocy i poranka

zarumienione, aż nadto łatwo dawały rozpoznać tłumione w sobie męczeństwo.

Nie miała ani chwili odpoczynku. D'Aubigny, która niezręcznie usiłowała rozerwać, panna Langeron co chwila przychodząca ze skargami, des Essarts przynosząca niepotrzebne plotki, dziewczęta szczebioczące i wesołe nad miarę, doktor rozpytujący o zdrowie i nienastannie jakieś medykamenta doradzający, szpiegujący każdy ruch i słowo des Essarts, milczący de Conrade, który posługiwał Langeronowej, nie dawali jej odpoczynku.

Drzwi się nie zamykały.

Bietka w drugim pokoju musiała być jako rodzaj tłumacza i komentatora na zawołanie, bo ani królowa, ani nikt z jej dworu po tytułach polskich, które mi wszystkich oznaczano, nie mógł ich rozróżnić. Ona jedna wskazać też umiała prawdopodobnych w przyszłości nieprzyjaciół i przychylnych.

Należący do nich książę Radziwiłł, którego żona już królowej była prezentowaną, jako dawny towarzysz podróży od Gdańska przyszedł tego rana, przewidując, że słowo uspokajające nie będzie zbytecznem.

Królowa przyjęła go chętnie. Nie śmiała pytać otwarcie, lecz oczy jej zdawały się błagać, aby pośpieszył z pociechą. Łatwo na nich ledwie otarte świeżo łzy dostrzedz było można.

Poważny książę musiał przybrać wesołą twarz, aby Maryę Ludwikę choć sprobować rozerwać nieco. Opowiadał jej o posłach, którzy przybyli i których przyjmować będzie musiała, potem o podarkach, które dni następnych składać jej miano wedle zwyczaju.

Królowa trochę się dziwiła obyczajowi temu, który raz już niegdyś Henryka Walezyusza, ale w Gdańsku przyjąć musiała jednak dwa tysiące czerwonych złotych, które miasto na szpilki jej ofiarowało. Radziwiłł nawet, wcale niepotrzebujący tego, nie odrzucił czterechset, które mu przy tej sposobności złożyli

gdańszczanie za to, że kluczów miasta przestał się domagać od nich.

— Podarki są u nas w tak wielkim zwyczaju — mówił książę — iż się żadne prawie odwiedziny bez nich nie obchodzą, nawet między dobrymi znajomymi. Przywozi się gościńca prawie zawsze, nie odjeżdża, nie będąc obdarowanym nawzajem.

Książę śmiał się.

— My mamy już na to osobne skarbee, w których trzymać musimy rzeczy na podarki przeznaczone, a królewski skarb szczególnie dla posłów z północy i wschodu zaopatrzony być musi w dary, bez których żaden ztąd nie odjedzie.

Zobaczysz W. Król. Mość, da Bóg — dodał Radziwiłł — gdy się zręczność nada z królem JMością odbywać podróże, iż żadne miasteczko i dwór nie wypuści dostojnych gości, nie obarczywszy go jakimś niepotrzebnym ciężarem.

Usiłując zabawić panią, Radziwiłł począł potem o innych polskich zwyczajach rozpowiadać i wyraził życzenie, aby one królowej się mogły podobać. Zapewnił ją też, że polacy do obcych zastosować się umieli chętnie i aż nadto chciwie ich obyczaje przejmowali.

Miała przytem zręczność królowa wtrącić słowo ciche o zagrożonym wygnaniem swym dworze francuzkim, lecz książę ją zapewnił, że do tak przykrej ostateczności nie przyjdzie.

Nadchodziła godzina uczyty.

VIII.

W wielkiej sali jadalnej przysposabiano się od wczora.

Mówiliśmy już o jej urządzeniu. Na podwyższeniu o cztery stopnie nad posadzkę wzniesionem i szkarłatnem suknem okrytem, wznosił się stół dla obojga królestwa i kilku dostojniejszych osób. Dwa złoczone krzesła pod baldachimami w pośrodku przeznaczone były dla królowej. Stół wspaniałemi szytymi obrusami okryty, przyozdabiały dwie ogromne skały z cukru, na których posągi allegoryczne dosyć zręcznie ustawione były. Nie zbywało i tu na dewizach i napisach.

Poniżej trzy ogromne, długie stoły miały pomieścić resztę duchowieństwa, senatorów, urzędników, gości cudzoziemskich, rycerstwa i szlachty. Galerya zajmująca naprzeciw królewskiego stołu całą ścianę, przeznaczona była dla muzyki, która w czasie uczty śpiewami i grą wirtuozów zabawiać miała gości.

Słynęła kapela ta już od Zygmunta czasów, z doskonałych śpiewaków i grających na różnych instrumentach, w większej części cudzoziemców, złożona, chociaż i na polakach wykształconych na dworze tym, u Kostków i po innych miastach nie zbywało. Wymieniliśmy już sopranistę Baltazara włocho, Copulę i Gian-Maryę, doskonałych śpiewaków, Foretera altystę, oprócz których odznaczał się Augustiani bas, rodem rzymianin, kilku polaków sopranistów niepospolitych. Z wirtuozów słynął niejaki Elert violonista, lutnista Galot, kornecista Simonides, szpornista Graniczny.

Skład ówczesnej kapeli wcale był różnym od dzisiejszego i znajdujemy w niej instrumenta dziś zarzu-

cone i zapomniane: pomorty, teorby, gitarony, stofy, liry, szałamaje, quarty i t. p. Mistrzem królewskiej kapeli był Marek Seacbi wloch, podmistrzem Pekiel, który się odznaczał też kompozycjami, a naostatek i polak do śpiewu, udatne piszący pieśni, Mielczewski.

Wszystkie siły tej niepośledniej kapeli dnia tego czynne być miały. Król nietylko ją lubił, ale przywiązywał pewną miłość własną do tego, że równej jej w całych Niemczech nie było.

Chociaż, jakeśmy wspomnieli już, zawczasu miejsca były oznaczone przy stole królewskim, w chwili, gdy oboje królestwo wśród dźwięku trąb i kotłów na chórze, uroczyscie weszli na salę i zajęli miejsca u swych krzesel, niezręczny i opryskliwy poseł francuzki de Brégy, któremu się miejsce dla niego naznaczone nie podobało, ponieważ go posadzono za nuncyuszem naprzeciw posła weneckiego, zażądał od nuncyusza, aby mu swojego miejsca ustąpił. Król milczał, ale pobladł z tłumionego gniewu.

Nuncyusz zaś z uśmiechem oświadczył posłowi nie ruszając się ze swego miejsca, iż posłusznym jest rozkazom króla JM. i pozostanie gdzie go posadzono. Musiał więc de Brégy połknąć tę gorycz, wiedząc, że się nią narazi królowi, który i tak już zniechęcony do francuzów, z największą trudnością się zgodził na to, aby biskup auriacki, towarzyszący pani de Guebriant, zajął miejsce przy królewskim stole. Porządek nareszcie utrzymał się taki, że przy królowej zasiadła pani de Guebriant, za nią nuncyusz, a po nim w rogu stołu pan de Brégy. Po drugiej stronie przy królu siedział brat jego Karol, poseł wenecki i biskup auriacki. Poniżej stołu osobny przeznaczonym był do stawiania półmisków, które przynosili paziowie i służba, a komornicy królewscy brali i podawali królestwu.

Trzy stoły przeznaczone dla gości, natłoczonych przez nich... dla królowej, gdyby patrzeć i widzieć coś mogła, widok zajmujący przedstawiały, gdyż naj-

osobliwsze stroje, jakich naówczas w całej Europie razem zebranych nigdzie widzieć nie było można, składały się na obraz godzien Weronezyusza.

Nie było mody i sukni, któraby tu się nie znalazła, począwszy od starodawnej polskiej, tureckiej, tatarskiej, ruskiej aż do hiszpańskiej, włoskiej, niemieckiej, szwedzkiej, i takich, którym imion właściwych dać było trudno.

Godzą się na to w opisach swych wszyscy współcześni, iż w Polsce ta różnaitość mód w ubiorach była cechą charakterystyczną. Tak samo po głowach spoglądawszy największą czupryn, czubów, bród i wąsów różność można było dostrzedz. Wszystkie stroje w ogóle niezmiernym przepychem się odznaczały; niektórzy z senatorów na szablach, guzach i spinkach dźwigali miliony, a czuby ich kołpaków na tysiące czerwonych złotych szacowano.

Zazwyczaj po takich ucztach weselnych następowały tańce, ale tu czas postu (była to niedziela Laetare) i choroba króla, który się w krzesle nosić kazał, ani myśleć o nich nie dozwalały. Usposobienie też gości główne zajmujących miejsca, na których oczy wszystkich były zwrócone, wcale się do skoków wesołych nie nadawało.

Królowa na siebie wymogła, aby twarz rozjaśnić i moc ducha tak potrzebną okazać, w czem jej umieszczona obok marszałkowa de Guebriant dopomagała; reszta zaś siedzących obok, z wyjątkiem nuncjusza, uśmiechającego się ciągle, oblicza miała posępne, nie wyjmując króla, na którego twarzy, oprócz cierpienia rzeczywistego, zły humor, znużenie, niechęć jakaś i duma najwidoczniejszemi były.

Książę Karol nigdy w życiu nie miewał wesołego oblicza, a nie przymuszał się dnia tego, aby je przybrać; biskup auriacki wiedział podobno, że mu miejsca dać nie chciano należnego i siedział posępny a milczący, Brégy jawnie nadąsany, Tiepolo wśród

dwu sąsiadów zmuszonym był patrzeć tylko nie mogąc zawiązać rozmowy.

Zdaje się, że król wydać musiał rozkazy, aby z półmiskami pośpieszono, gdyż aż do zbytku szybko się one po stolach posuwały.

Królowa nie przybierając postawy ani twarzy wyzywającej, oczekiwała słusznie na to, ażeby król zrobił jakiś pierwszy krok ku niej, odwrócił się, przemówił, choćby dla tych secin oczów, które na nich patrzyły. Tymczasem król blady, wyprostowany, widocznie zagniewany, a świeżo wystąpieniem posła francuzkiego dotknięty, jeśli się zwrócił i przemówił to tylko do komorników podających półmiski, do podczaszego, który nalewał. Królowa miała do rozmowy jedynie p. de Guebriant i nuncyusza, który się od p. de Brégy odwracał.

Obiad przy dźwiękach muzyki, chociaż król życzył sobie koniec jego przyśpieszyć, nie mógł skończyć się tak prędko. Ceremoniał wymagał dań wielu, które jakiś czas na stole tknięte czy nie, pozostać musiały.

Jedyną rozrywką dla uszu były istotnie piękne śpiewy i muzyka, ale kilkaset osób, bez względu na nie nietylko mruczało, ale bałasowało i pokrzykiwało, na króla nie zważając. Szum i wrzawa bardzo często pochłaniały dźwięki i pieśni gluszyły.

Ogromną sprzeczność stanowił ten Olymp w końcu sali w swym majestacie zimnym siedzący jakby bez życia, ze stolami pospolitej rzeszy, która w miarę jak się uczyła przeciągała, coraz gorętszem życiem pałała. Goście z otwartością republikańską zarówno wychwalali silne korzeniami zaprawną kuchnię króla i ganili wcale niewyborową piwnicę, gdyż ich zielarniakiem węgierskim wodnistym pojono, a czoło tylko senatorskie lepszymi winami obdzielane było.

Król siedział jak na mękach, a królowa tylko z pomocą posłowej i niezmiernego wysiłku mogła za

chować pozór jakiś wesołości, którą nie łudziła nikogo.

Niektórzy urzędnicy dworu, marszałkowie, podczaszowie, cześnicy, krajczy, kuchmistrze, dla tytułów, które nosili, nie siadali prawie do stołu będąc na rozkazach króla i rodzaju służby, która na dozwolenie i reprezentacyi zależała. Dozwoliło to parę razy Kazanowskiemu zbliżyć się do pana, potem do Maryi Ludwiki, a za jego przykładem poszli i inni towarzysze.

Stołu tego olimpijskiego wszakże żadna siła z jego uroczystego skostnienia wyprowadzić nie mogła. Wszyscy tu liczyli bijące na zegarze zamkowym godziny z upragnieniem czekając końca.

Pani de Guebriant choć wiedziała, że usposobienie króla z każdą chwilą było gorsze, że usiłowano go podburzyć i zobojętnić dla królowej, spodziewała się jednakże jakiegoś ceremonialnego zbliżenia, dwu słów zamienionych, a choćby ruchu, któryby rozmowy domyslać się pozwalał.

Ale Władysław z zaciętością dawał poznać francuzom, iż z nich, z żony, z ożenienia i ze wszystkiego był do najwyższego stopnia niezadowolony.

Dania następowały po daniach, śpiewy po śpiewach, coraz nowe popisy muzyków, coraz cięższe brzemie zdawało się ugniatać stół królewski. Szczęściem mrok sali, cień, który baldachimy rzuciły, pogoda, chwilami powlekająca niebo chmurami nie dozwalały dobrze się przypatrzeć królestwu.

Pani de Guebriant szeptała Maryi Ludwice.

— N. Pani, wszystko ma koniec, nawet najnudniejsze uczyły.

Na powiekach królowej łzy stawały. Przy toastach już podchmielonych senatorów, ozwały się mowy, wrzawa powstała taka, iż muzyka grać przestała. Niektórzy z ichmościów dobrze już rozweseleni, poszli z kielichami przyklękać przed majestatem,

ale i tych Władysław przyjął nadzwyczaj łodowato, a królowa łaciny ich dobrze zrozumieć nie mogła.

Naostatek przyszły wety, cukry, konfekta, owoce i koniec się zbliżył. Król sykał niecierpliwie domagając się, aby mógł odejść do swoich pokojów.

Zamiast jednak tłumaczyć się z tego przed królową, na którą unikał spojrzenia, pochylił się, pomijając ją, do marszałkowej de Guebriant.

— Jestem mocno cierpiącym — rzekł do niej. — Wymogłem to na sobie, aby się tu znajdować i dotrzymać placu, przebaczysz mi jednak pani, że się natychmiast na spoczynek udać muszę.

Post i obyczaj naszego kraju tańców wszelakich wzbraniają, a ja ledwie chodzić mogę. Kto łaskaw może pozostać u stołu, ja wstać i nieść się każę.

Nie mówiąc nic królowa ruszyła się także i nie do męża, ale do marszałkowej odezwała się.

— My opuszczamy salę.

Pani Guebriant skłoniła głowę.

Okolo królewskiego stołu ruch się dał uczuć, biesiadników reszta powstawała z miejsc, nie w zamiarze tak rychłego opuszczenia zamku, ale dla okazania królowi poszanowania.

Przyniesiono krzesło i nowożeniec z pomocą dwóch dworzan przesiadłszy się na nie, w pochodzie uroczystym, otoczony dworem, poprzedzany przez marszałków z łaskami, zniknął za drzwiami.

Tuż zanim królowa z marszałkową, z biskupem auriackim, z posłem, z kilkunastu senatorami udała się ku temu samemu wyjściu z sali i znikła także.

Reszta posłów, wyjąwszy nuncyusza, który także błogosławiąc żegnającym go, usunął się, wnięszała do tłumu pospolitych śmiertelników, i rozmowy dopiero teraz huknęły na całą salę.

Kapela zaś, która na wyjście króla grała marszałkowskiego, pamiętna programów dawnych, po chwili, nie pytając czy kto tańcować myśli i będzie, rozpoczęła menueta.

Cóż się to teraz dopiero działo w tym rozkołysanym jak fale morskie tłumie, już podochoconym!

Któż powtórzy, co tu za rozmowy się wiązały, rwały, wybuchały i niedokończone roztapiały w śmiechach. Brzęk szkła, szczęk dzbanów, rozbijanych mis, wywracane ławy, wszystko to razem zmieszane zamkową salę czyniły gospodą jakąś, ale żadna siła nie mogła tu przywrócić jakiegoś takiego porządku, dopóki by goście znużeni sami spoczynku nie zapragnęli.

Dopieroż słuchać było potrzeba zdań o królowej, o królu, o francuzach i o ich „pudlach“ (perukach) na głowie.

— Ale król—wołała mazowiecka szlachta, której było najwięcej—król nam coś bardzo nierycersko wygląda!

— A mimo to na koń chce sięść i na turka gwałtem—wołał drugi.

— Poco?—przerywał trzeci.—Mamy z nim pokój... co to my dla drugich będziemy ręce sobie parzyli kasztany z ognia wydobywając! My na wojnę grośsza nie damy.

Zahuezano przyjaciela pokoju.

— Mówili, że królowa jak róża — wołał jeden— w czasie wjazdu stała się lilią, bo francuzki herb też lilie, ale co dziś to dalipan i do maku ją trudno było porównać.

Z należnym poszanowaniem potroszę wyśmiewano wszystkich, nawet się i duchowieństwu dostało. Biskup auriacki nie podobał się ogólnie.

Ini powtarzali plotki, a na ucho szeptało sobie, że król zamiast do pokojów żony, wprost się nieść kazał do mieszkania niemki, którą jako kochankę jego dawną palcami wytykano.

Niestety, tak było w istocie, a nietylko nie starano się ukryć z tem, ale z pewną ostentacją Władysław wydał rozkazy. Chorym był tylko dla tej żo-

ny, ale do panny Amandy odpoczywać się udał, i pozostać tam miał do nocy.

Cały dwór wiedział dokąd go niesiono, i wszyscy francuzi zostali zawiadomieni przez usłużnych dworaków, iż N. Pan nie do swoich pokojów, ale do panny Amandy nieść się kazał.

Gospodyni wystrojona czekała go na progu, a Pac i Platenberg mu towarzyszyli.

Nie dziw też, że Marya Ludwika zaledwie dopadłszy do swej sypialni, z płaczem się rzuciła kryjąc twarz w poduszki na łożu.

Nawet dotąd wytrzymująca wszystko pani marszałkowa de Guebriant, weszła za nią zmieszana nieco i widocznie przybita tą jawnością, jaką nadawano temu, co ona dotąd za małe nieporozumienie tylko brać chciała.

Usiadła przy królowej i wzięła jej ostygłe ręce w swe dłonie, powtarzając znowu: *Courage!*

— Wszystko to im się gwałtowniej poczyna, królowo moja — rzekła głosem poważnym, ale współczucia pełnym — tem pewniej skończy się waszem zwycięstwem.

Nikt nas nie słucha, mówić więc mogę otwarcie; jesteśmy kobietami, ja mam długich lat doświadczenie. Mężczyźni z wielkim charakterem i energią nigdy tak porywczo i nierozważnie nie stają do walki. Wszystko to są dowody słabości, siebie niepewnej, dowody wpływu jaki niepocziwy dwór, wyzyskujący króla, wywiera na niego. Czują oni, że się zbliża ostatnia ich godzina, bronią się rozpaczliwie, ale polegnąć muszą.

Gdyby na króla miało wpływ duchowieństwo, najskutecznijszem byłoby pośrednictwo kapłana, spowiednika. Król jednak, o ile wiem, dosyć ma być obojętnym w religii. Słyszałam, że niegdyś w młodości w kościele od powietrza jakie go obwiało dostał mdłości, i odtąd unikać miał kościołów, ale po-

dobno zbytnia ojca i macochy pobożność sprzykrzyły mu się.

Zamiast pobożnych kapłanów, słucha zepsutej młodzieży i pochlebców, którzy go na zgubę prowadzą. Wszystko to mocą charakteru wam trzeba zwyciężyć i naprawić.

— W tym wieku! — zawołała królowa ręce łamiąc. — A! gdybyśmy były przewidzieć mogły co mnie tu czekało, gdybym choć obyczaj tego narodu, tego dworu znała wprzód, gdybym miała wyobrażenie zepsucia jakie tu panuje... stokroćbym wołała do klasztoru pójść.

Cierniowa to będzie korona!

— Początki są zawsze trudne! — pocieszała de Guebriant. — Mówiłam dziś poufnie z księżną Radziwiłłową, każą się spodziewać zmiany na lepsze... Senatorowie sami będą się starali o to. Kazanowscy, chociaż powoli, działać będą... wreszcie czas, czas, ten najdzielniejszy pomocnik.

Królowa z rozpaczą patrzyła osłupiałemi oczyma w okno.

— Nie opuszczajcie wy mnie! nie odjeżdżajcie — zawołała błagając — a nadewszystko nie pozwólcie, aby mi król z okrucieństwem niemiłosiernem odebrał służbę moją, oddając na łup tym obcym, nieprzyjaźnym. Jeżeli dwór mój nie ma pozostać przy mnie, ja wolę powrócić do Francji.

Guebriant pochyliła się ku niej.

— Ale oni właśnie tego chcą, do tego dążą, abyś ty, królowo moja, ty sama zerwała ten związek i powróciła ze sromotą do Paryża. Oni ci grożą, aby przestraszyć.

Co do mnie — dodała Guebriant — bądźcie pewni, nie ruszę się ztąd dopóki pożycie małżeńskie nie stanie się rzeczywistością.

Król może być chorym jak długo zechce... dla mnie musi na parę dni zdrowie odzyskać, aby małżeństwo miało znaczenie i ważność. Dotąd, biskup

auriacki mówił mi to dziś jeszcze, ślub nie jest w pełni uznanym przez Kościół, gdy małżonkowie żyć z sobą nie mogą.

Nastanę na króla, wystąpię w imieniu króla naszego, który nie nawykł, aby go lekce sobie ważono... Dajmy przejść tym burzom, które siłę stracić muszą. Odwagi i cierpliwości.

Plakała Marya Ludwika, lecz potem osłabnięciu niewieściem, duma rodu, poczucie godności swej dźwigało ją; gotową się czuła do walki, do której musiała znaleźć sprzymierzeńców.

Położenie nakazywało, bądźcobądź, z niezbędnem, z nieuniknionem obyć się, i szukać jego stron słabych.

Na nieszczęście jedyna podpora, marszałkowa, nie mogła tu pozostać z nią, a de Brégy poseł francuzki, który dla zaciągów miał bawić w Polsce, nie miał ani jej taktu, ani zręczności, ani bystrości i przenikliwości, ani ochoty poświęcenia się. Płochy francuz rzucony wśród społeczeństwa, które też mu się płochem wydało, zaczynał już przejmować jego obyczaje i sam jeden podobał sobie wśród zepsutego dworu Władysława.

Gdy Królowa zawczasu się usunęła i drzwi swe dla wszystkich zamknąć kazała, pozostając w kółku swoich domowników, u panny Amandy otwierano podwoje, król poufalszych przyjmował, a Niemce nie bronili tu grać roli gospodyni.

Ci, co go widzieli w czasie obiadu martwego, napuszonego wewnętrznym gniewem, poznać go nie mogli tak się tu ożywił, tak nawet chwilami był wesółym.

Pac i Platenberg zabawiali go powieściami o francuzach, nastając na to, że oprócz siostrzenicy pani de Guebriant, w której już paniczów zakochanych czasu podróży kilku jej nadskakiwało, nie było ani jednej z dziewcząt przy królowej, wartiej, aby ją w Polsce zatrzymać.

Wszystko to należało precz odprawić, aby sobie spokój zapewnić.

Nazajutrz król zgóry zapowiedział, że będzie chorował, i jeżeli zostanie zmuszony na chwilę się nkażać przy obrzędzie oddawania darów, jakie mieli składać posłowie i korporacye, ks. Neubnrgski, Pruski i inni, natychmiast potem powróci na swe pokoje.

Do tego obrzędu królowa już była przygotowana; zawczasu; uniknąć go, mów, które mu towarzyszyły, i siedzenia w nieogrzejanej dużej sali, nie mogła odłożyć, nie zdało się na nic, musiała więc przywdziać strój uroczysty, obmyć oczy splakane, zasiąść pod baldachimem i uśmiechać się przypadającym na kolana, a u nóg jej składającym złociste naczynia, misy, klejnoty, futra i najrozmaitsze ofiary. Wartość ich, dosyć stosunkowo mierna, nie zdołała na chwilę ciekawości obudzić i zajęcia. Były to zawsze też same wyroby złotniczej sztuki, które po skarbcach leżały długie lata czekając, aż przy podobnej uroczystości z jednego przeszły do drugiego na nowy spoczynek.

Król prawie się nie pokazywał.

Posłowa trzeciego dnia już zniecierpliwiona, postanowiła prosić go o posłuchanie.

Ze wszystkich osób, z Francyi przybyłych, ona jedna wywierała pewne na króla wrażenie, kazała się szanować. Władysław miał najmocniejsze postanowienie pozbywania się jej tak lekko, jak się zbywał p. de Brégy i biskupa auriackiego, ale zobaczywszy ją, czuł się podbitym, onieśmielonym, stawał grzeczny, a potem sam to sobie wyrzucał.

P. de Guebriant winna to była charakterowi, tak-
towi, krwi zimnej, wielkiemu obyciu z życiem dworskim, naostatek osobistym przymiotom dającym jej wyższość nad wielu. Znano ją we Francyi z tej powagi i wpływu i to było przyczyną, że ją wysłano z Maryą Ludwiką, a z pewnością gdyby nie ona, stosunki między królem a królową nawet tak zno-

śnie i biednie jak się ułożyły, nie byłyby się zawiązały. Daleko groźniej przygotowywała się przyszłość, kto wie, czy królowa pozostaćby była mogła w Polsce.

Pierwsze żądanie posłuchania, król domyślając się o co chodziło, zbył obietnicą, nieoznaczając terminu, składając się chorobą.

Marszałkowa dni parę była cierpliwą, ale po nich wysłała prośbę powtórę; król zmuszonym został ją przyjąć, przepraszając, że w krześle siedzący, nie mogąc się poruszyć, krótką tylko może rozmową zadośćuczynić jej życzeniu.

Nagradzając to Władysław twarz przybrał jak najśłodszy wyrazem, a że posłowa nie spodziewając się, aby dnia tego ważniejsze sprawy mogły być roztrząsane, przybrała do boku piękną swą siostrzenicę, którą król niemniej się zachwycił od innych, posłuchanie więc upłynęło na wymianie najwyszukańszych grzeczności i oświadczeń najczulszych.

O królowej jednak wzmianki prawie nie było. Gdy Guebriant rozpoczynała o niej, Władysław przerwał jej skargami na zdrowie swe i podagrę.

Umiejająca wszystko zużytkować francuzka, nie wahała się wpływu widocznego młodej swej towarzyszki wyzyskać na korzyść królowej. Śmiało i wyuczono dziewczę umiało tak zręcznie przemawiać do króla, że mu się nie dało pogniewać i zmusiło go z należącym poszanowaniem mówić o Maryi Ludwice.

Ponieważ towarzystwo młodej panienki bardzo było miłym królowi, który widocznie chciał się jej przypodobać, przedłużyło się posłuchanie, przyniesiono owoce i słodycze, humor się polepszył znacznie, ale gdy wnet posłowa znowu wróciła domagając się obietnicy, kiedy król razem z żoną będzie mógł zamieszkać, podagra wystąpiła, a przytomny Pac zapewnił, że król tak bywa trapiiony bólami, iż krzyczeń musi, a w tym stanie nie chciałby się dać widzieć nikomu.

W ten sposób, chociaż pani de Guebriant nie mogła skarżyć się na przyjęcie, nie przyniosła z niego królowej nic, oprócz bardzo wątłej nadziei, iż król kiedyś znudzony będzie musiał wstać z krzesła i przestać się składać chorobą.

Cierpienia były rzeczywiste, trwały one już od lat wielu, ale nie były w tej porze tak gwałtownymi, ażeby Władysławowi odejmowały władzę poruszania się i nie dawały chwil swobodnych. Wiedzano, że samnasam z panną Amandą o kijku chodził bez pomocy po pokoju, poruszał się dosyć swobodnie i zapominał o obrzękłych nogach.

Dla królowej tylko pozostawał chorym zawsze.

Zabawiały ją tymczasem panie senatorowe, które się w Warszawie znajdowały, było parę wesel w domach znaczniejszych, na które ją zaproszono, odwiedzała kościoły, przejeżdżała się po mieście. Nabożeństwo i z potrzeby dusznej i dla zajęcia czasu stało się jej ucieczką najmiłą.

Długie godziny spędzała w pobliskich kościołach, a że pora wiosenna coraz dalszym wycieczkom sprzyjała, marszałkowa Kazanowska, Opalińscy, Ossolińscy, Radziwiłł chętnie jej w nich towarzyszyli.

Król wiedział o każdym jej kroku, ale bardzo często dwa i trzy dni upłynęły, a wcale się z nią nie spotykał. Opowiadano o chorobie, Platenberg koniuszy, wielce nadskakujący Maryi Ludwice, mówił o krzykach bólesci, jakimi się komnaty pańskie rozlegały.

Pani de Guebriant nie przedstawiała codziennie dowiadywać się o zdrowie i po upływie kilku dni znówu żądała posłuchania, nadaremnie. Walka to była, która ostatecznie musiała się na stronę posłowej rozstrzygnąć.

Królowa nieco się oswoiła ze swem położeniem, chłodniej spoglądała na to, co ją opasywało, ale niemniej pragnęła jakiegoś stanowczego końca.

Senatorowie jej przyjaźni mówili już o korona-

cyi, która była formą konieczną dla uzyskania królowej ubezpieczenia, wyposażenia, jakie jej była winna Rzeczpospolita.

Dotąd jednakże małżonkowie z sobą zaledwie słów niewiele chłodnych i ceremonialnych zamienili, a w tych jakie słyszała od męża, Marya Ludwika więcej znalazła goryczy, niż oznaki uprzejmości; każde spotkanie oblewała łzami, a gdy powróciła do swoich francuzów, wszyscy oni biorąc jej stronę, roznamietniali się przeciw Polsce i królowi. Bietka już nawet nie mogła ułagodzić ich, zapewniając, że nie wszystkich za nieprzyjaciół liczyć mieli, że wielką część najgorętszem współczuciem podzielała cierpienie i gotową była służyć uciśnionej.

Dziewczę, które wpadło nierozważnie w ten wir, traciło już i odwagę i cierpliwość, a nieraz wzdychało do tego, ażeby się mogło ojca doczekać i uwolnić od służby przy dworze. Wpływał może na to i Nietyksza.

Zatwiejszą też zdawała się jej zemsta nad niemką, niż teraz okazywała. Amanda popierana przez tych, co najbliżej stali łożnicy, ucha i serca pańskiego, brała widocznie górę.

Dopóki ona tu pozostawała, stan ten zmienić się nie mógł.

¶ Tak samo niemka, przez Paca i Platenberga dowiadując się jak czynną, choć mało widoczną na dworze królowej grała rolę Bietka, powiadała sobie, że się jej ztąd koniecznie pozbyć było potrzeba.

To przekonanie właśnie jeszcze następujący wypadek jaknajmocniej wpoił niespokojnej Amandzie. Jedną Bietka знаła tu ludzi, mogła przestrzedz o każdym, bez niej francuzi nigdyby sobie rady nie dali, jedna ona miała odwagę wcisnąć się wszędzie.

W czasie, gdy król składając się podagrał tak dobrze unikał Maryi Ludwiki, że się z nią nie spotykał prawie, jednego dnia Bietka przechodziła zamyślona korytarzami, które z pokojów króla prowadziły

do niemki. Było to dziełem wypadku czy obrachowania, że w tej chwili, gdy hajducy króla przynosili dosyć ciasnym korytarzem, Bietka się ukazała w drugim jego końcu.

Zatrzymała się z początku namyślając, czy nie zawrócić, ale nie chciała okazać, że ucieka od oblicza pańskiego. Król znał ją dobrze i pamiętał, była nawet na regestrze u Paca, jako pożądana rozrywka.

Chwilę postawszy, Bietka nie zawracając się, wybrała miejsce za pilastrem, aby z krzesłem pańskim rozminąć. Spojrzenie na tego nowożeńca obudzało litość, siedział w krześle z obwiniętymi futrem nogami, okryty płaszczem podbitym rysiami, z głową osłoniętą, z twarzą żółtą i nalaną, której barwa od siwiejącej bródki i wąsa jeszcze mocniej odbijała, posępny, namarszczony, zgięty. Nadrabiał tylko dumą, ale widocznie był nieszczęśliwym i uciśniętym.

Chociaż Bietka starała się niby ukryć za pilastrem, Władysław ją zobaczył, i zrównawszy się z miejscem, w którym stała, laską, którą miał w ręku, dał znak hajdukom, aby się zatrzymali. Zwrócił na nią oczy.

Wargi mu się podniosły.

— Na francuzkę cię już przerobili!—zamruczał.

Bietce nigdy na odwadze nie zbywało.

— Jeszcze nie, miłościwy panie—rzekła śmiało—ale wszystko może być, nie ja jedna się nią stanę.

Władysławowi w rozmowę się wdawać w korytarzu nie zdało, skinął ręką.

— Chodź za mną!

— N. Panie—odparła—do panny Amandy ja nie pójdę.

Król się nadąsał.

— Nie do Amandy—zawołał z gniewem—ja tu jestem wszędzie u siebie... Chodź... słyszysz.

Krzesło poniesiono dalej, a dziewczę szło posłuszne, któż wie, może nawet uradowane, że je zmuszono...

We drzwiach o niczem niewiedząca niemka oczekiwiała na króla, którego jej oznajmiono, ale ujrzawszy idącą tuż za nim Bietkę, z krzykiem się w tył cofnęła.

Widział to król, zamruczał tylko, ale wcale się nie poruszył. Wniesiono go do pokoju, z którego Amanda wybiegła, drzwi za sobą zatrzasnąwszy.

Ustawiono krzesło w zwykłym miejscu, a król natychmiast się zwrócił do dziewczęcia. Naprzód ciekawie jej się przypatrywał, jakby zmiany w niej jakiegś szukał, potem mówić zaczął.

— Przystałaś na służbę do francuzów—rzekł.

— Tak jest—zawołała Bietka—bo tu wytrwać nie mogłam.

Zamilkł król, a po przestanku podnosząc oczy na nią, rzekł.

— No, cóż nowa pani?

— Nie pożądam innej ani lepszej — zawołała Bietka.

Po krótkim milczeniu Władysław zapytał znowu.

— Cóż tam francuzi?

Dziewczę się trochę namyślało z odpowiedzią.

— A! N. Panie — rzekło — kryć tego nie będę, wszyscy oni Pana Boga o jedno proszą, ażeby ztąd conajprędzej się wydobyć mogli.

— Oprócz królowej — przerwał Władysław.

— Owszem — mówiła Bietka żywo — owszem. N. Panią tak tu przyjęto, że i ona i pani de Guebriant, i pewnie posel przemyślają tylko, jakby się wydobyć nazad i to co się stało odrobić.

Zmarszczył się król mocno, dotknęło to jego miłość własną.

— Co za dziw—mówiła dalej Bietka.— Trzebaby nie mieć najmniejszego czucia, żeby nie być do żywego obrażoną, bo tu się wszystko składa na to, aby N. Panią boleśnie drażnić, a ona się przecie nie napraszała. To też całym teraz rozumem ich wszystkich zręcznie się wysliznąć, i pod pozorem choroby

N. Pana, tymczasowo podróż do Francyi przedsięwziąć, z której pewno nie powróci.

Król słuchał tak zdumiony, iż mówić nie mógł.

— Pleciesz! — zamruczał gniewnie. — Pani de Guebriant wcale co innego powiada, nagli...

— A! wie ona dlaczego to czyni — szezebićtało dziewczę dalej. — W ostatku, gdy się przekona, że na chorobę długą się zanosi, wniesie powrót, a posel i wszyscy popierać będą.

Trudno wymagać, aby tak przyjmowani francuzi podobać sobie u nas mieli, oprócz jednej marszałkowej, która sama powiada, że łaskę W. Król. Mości dla siebie winna pięknej siostrzenicy. Posel się skarży na miejsce u stołu niewłaściwe, na równi z włochem, biskup wie, że mu całkiem chciano odmówić krzesła u stołu, a do królowej nawet W. Miłość mówić nie raczyście. Tyle czasu, a męża tak jak nie zna. Więc wołałaby zwrócić do Francyi, i o to jedno Pana Boga prosi.

Francuzom zresztą wcale się u nas nie podobalo. Kraj znajdują dzikim, ubogim, zimnym, gotowi ztąd uciekać wszyscy, i nie dziwią się królowi Henrykowi.

Czy wyrachowana, czy nieostrożna ta paplanina Bietki króla poruszyła do najwyższego stopnia, zburzyła w nim żółć. Dokuczać chciał królowej, gotów był francuzów powypędzać, ale dozwolić, aby ona sama ztąd zażądała powrotu, a oni się wynosili dobrowolnie, nie mógł! Było to obrazą jego majestatu, lekceważeniem.

Bietka tymczasem ciągnęła dalej.

Francuzi mówią, że król polski tylko dla wyłudzenia posagu królowej na jakąś tam wojnę, zażądał się żenić, a chory jest i nie do ślubu mu, ale do pościeli i doktora.

Słowa te zuchwałe cicho i szybko wymówione wprost do ucha Władysława, dopełniły miary; zżymnął się i rzucił Władysław do najwyższego stopnia

obrażony i, nieprzedłużając już rozmowy, wskazał na drzwi Bietce. Dziewczę się niziuchno ukloniło i furknęło jak ptaszek, a w tejże chwili drugimi drzwiami wpadła panna Amanda cała w płomieniach.

IX.

Ujazdów, w którym król czasem przebywał, szczególnie dla zwierzynca i polowania wygodnego w nim, naówczas zwał się miejscem za Warszawą, o ćwierć mili położonem i do miasta się nie liczył.

Pominąwszy tak zwane Folwarki miejskie na Górze szpitalnej, place były rozległe, niezajęte, czasem zasiewane, należące do mieszczan Kamieńskich i Skurczyńskich.

Nie dojeżdżając do wioski Ujazdowa, na gościńcu naprzód widać było kamienną piękną figurę z krzyżem, która zapowiadała rezydencyą królewską. Składała się one z gmachu nowego, rozległego i już na sposób wytworniejszy zbudowanego, mieszczącego w sobie okazałe apartamenta, z kuchni; oficyn, podwórza trochę ciasnego i naokoło zwierzynca, a na koniec ze starego dworu Ujazdowskiego z obszernymi ogrodami i szklarniami.

Te to ogrody cieniste i zwierzyniec szczególnie pobyt w Ujazdowie uprzyjemniały, a król się nim tak chwalił, jak francuzi swemi podmiejskimi królewskimi pałacami w Fontainebleau.

Gmach nowy w Ujazdowie napozór już ukończony, wewnątrz przyozdobiony i mieszkalny, w istocie jednak nie był po myśli króla wykonanym. Miano go rozszerzyć i ubrać w kolumny, które dotąd leżały w podwórcu pod szopami, razem z marmurowymi lwami, przeznaczonemi do wjazdu. Wszystko to spro-

wadzone znacznym kosztem z zagranicy czekało na budowniczego. Pałac Ujazdowski, chociaż w cieplejszej porze bywał zamieszkiwanym, więcej się nadawał do uroczystych przyjęć, niż do wygodnego pobytu. Najwięcej miejsca zajmowały w nim wielkie sale, których ściany całe okrywały obrazy umyślnie malowane, przedstawujące allegoryczno-historyczne dzieje panowania Władysława. Nie zbywało też na mnogich wizerunkach.

Wspomnieliśmy już mówiąc o pałacu Kazanowskich, jak za tego króla miłość sztuki, malarstwa i rzeźby była powszechną. Wzorem króla, Kazanowskich i Ossolińskiego tak samo biskup Zadzik ściany swych pałaców i zamków, które rad przerabiał, okrywał malowaniami.

W Ujazdowie nie ściennie, ale olejne wielkie obrazy porozwieszane były.

Dół pałacu stanowiły galerye na słupach wsparte, w których się składy mieściły. Wschody wygodne i niezbyt wyniosłe prowadziły na pierwsze piętro główne, którego plan nadzwyczaj prosty składał się z całego szeregu sal, wzdłuż idących jedna za drugą; z końca w koniec.

Pomiędzy innemi obrazami najświeższy zdawał się myśł teraz właśnie króla najgoręcej zajmującą przedstawiać.

Obraz też ten może na pierwszym miejscu, rzucający się w oczy, przeznaczonym był dla propagowania umiłowanej myśli pańskiej.

Drugi znacznych rozmiarów obraz w tej samej był koronacją Cecylii Renaty i składał się z mnogich postaci *ad vivum* ujętych, z tłumu cudzoziemców w przeróżnych strojach, muzyków, dworu i t. p. Trzeci przypominał chrzciny uroczyste pierworodnego syna, nad którego kolebką pochlebca malarz w obłokach wysławił spuszczałą się z niebios koronę. Różne postacie składających podarki urozmaicały i ożywiały malowanie.

Oprócz tego wjazd Cecylii Renaty wspaniały, stanowił przedmiot jeszcze jednego płótna znacznych rozmiarów. Artysta malując królowę nie skąpił jej dziewiczego wdzięku i uczynił istotnie uroczą i idealną.

W czterech narożnikach nowego pałacu wyskakujące altany, przeznaczone były do napawania się pięknym a rozległym widokiem Wisły i jej brzegów, ożywionych latem ruchem szkut, bark, tratw, które w górę i w dół ciągle się przesuwwały.

Tuż pod pałacem cały obwiedziony parkanami wysokimi otwierał się zwierzyńiec, w kilku miejscach poprzerynany urządzone w nim umyślnie sadzawkami, napelniony sarnami, jeleniami, zającami i królikami, mnóstwem ptactwa ożywiony. Nawet ci co zagranicą wiele widzieli starannie urządzonych ogrodów dla oka, oddawali ówczesnemu Ujazdowskiemu sprawiedliwość, iż trudno było o równy mu rozmaitością i bogactwem widoków, a szczególnie pięknością drzew starych i krzewów.

Miłość ogrodów, która w XVIII wieku tak aż do przesady posunięta przybrała u nas rozmiary, tu się pierwsza objawiła w parku prawdziwie królewskim, ulubionym wielce królowi.

Z drugiej strony zwierzyńca wznosił się tak zwany Stary Dwór Ujazdowski z całą osadą budowli gospodarskich, stajen, gumien, szop, z łaźnią, z sadzawką...

Do dworu starego przylegał drugi ogród mniejszy dla użytku szczególnie królewskiego stołu przeznaczony, w którym hodowano drzewa owocowe przednie, sprowadzane z zagranicy, wytworne jarzyny, a w figarniach ubezpieczonych na zimę, drzewa, z których owoce, jak zapewnia współczesny nasz przewodnik, na korce mierzono. Cegielnie, dworek rządcy, sadzawki dla ryb, mały lasek dopełniały zabudowań i gospodarstwa ujazdowskiego.

Należy tu wspomnienie resztkom jakiegoś starożytnego wału, jeszcze za Władysława czwartego wi-

docznego, zwanego Mazowieckim, o którym podanie było, iż tu jakieś ksiąŜatko pojmano i więziono.

Nie brakło i kościółka na wzgórzu, z plebanią i obrazem cudownym, założonego staraniem i kosztem królowej Anny Jagiellonki podobno.

Król, chociaŜ miał bliŜej zamku pałac teraz niezajęty na Krakowskiem Przedmieściu, równie wspólnie urządzony, gdy chciał się rozerwać i odpocząć, najchętniej do Ujazdowa się przenosił. Lecz, aŜeby się tam udać swobodnie, potrzeba było raz skończyć z panią de Guebriant, która królowi wręcz i otwarcie zapowiedziała we cztery oczy, iż nie odjedzie, dopóki małŜeństwo się nie stanie rzeczywistym życiem wspólnem.

Miała ona zrzęcnosć odwrócić od królowej wszelkie podejrzenia i potwarze, a Ŝe, oprócz tego, plany wojenne króla wymagały pieniędzy, a tych się ani podobna było domagać od Maryi Ludwiki bez zbliŜenia się i przejednania, Władysław naostatek, pomimo całych wysiłków panny Amandy i jej przyjaciół, musiał się poddać.

Dzień został wyznaczony, pani marszałkowa dopilnowała, aŜeby jnŜ nic nie stanęło na przeszkodzie, i królowa po ponfałej z mężem rozmowie, w której okazała wiele taktn i zrzęcnosć, pauzując nad sobą, mogła naostatek przenieść się do apartamentów wspólnych i zająć naleŜne stanowisko.

ChociaŜ w istocie moŜe usposobienie króla wcale się nie zmieniło, czego przyszłosć dowiodła, a panowie Pac i Platenberg strzegli, aby król miał zawsze nową jakąś niewieścią rozrywkę, chociaŜ panna Amanda zachowała łaski króla i pozostała na swem stanowisku ochmistrzyni królewicza, napozór wszystko weszło w tryb i karby przyzwoitości.

GroŜba nawet straszliwa odprawienia słuŜby francuskiej i pozbawienia królowej jej ulubionych towarzyszek, rozbila się o starania posłowej, o znudzenie króla jakieś, i wszyscy na miejscach pozostali.

Pani de Guebriant, która z niezmierną zręcznością sprawę zawikłaną i trudną doprowadziła do szczęśliwego końca, natychmiast pośpiesznie się zaczęła wybierać napowrót do Francyi, ale kierując się na Włochy, gdy biskup auriacki poprzedził ją jeszcze i tą samą drogą, którą przybyła królowa, pośpieszył do swej stolicy.

Początek był zrobiony; panna Amanda codzień przez wiernego jej Platenberga zawiadamiana o wszystkim szczegółowo, chociaż wiedziała, jak wielki w tem udział miała pani de Guebriant, pamiętała zarazem, że pierwszy zwrot w usposobieniu króla wywołała zręczna Bietka. Darować jej tego nie mogła.

Pozbyć się jej, jakimkolwiek sposobem, było dla niejki tem, *Dclenda Carthago*, do którego najwyższą przywiązywała wagę. Miłość własna nakazywała też okazać jawnemu wrogowi swą siłę.

Nie było to jednak tak bardzo łatwem, jak się wydawać mogło. Bietka zupełnie znikła wśród dworu tego, na którym francuzi i francuzki stali w pierwszych rzędach, lecz niewidoczna, zakryta była nie mniej tak królowej potrzebną, że bez niej się obejść nie mogła. Długi pobyt, prawie od dzieciństwa, przy dworze, osłuchanie się z tem co tu krążyło, dawało jej świadomość charakterów ludzi, którzy się około króla obracali, miarą ważności ich, przywiązania Władysława i t. p.

W początkach wśród natłoku przedstawiających się jej osób, z temi twarzami sarmackimi, które się jej wszystkie do siebie podobnemi zdawały, Marya Ludwika z trudnością się mogła zorientować. Zaraz w początku tego pamiętnego dnia niedzielnego, gdy uroczyście odprawiono smutne na zamku wesele, śmierć niespodziana żalobą okryła rzeczpospolitą całą. Zmarł w Brodach hetman wielki i pan krakowski, Koniecpolski. Spadek po nim poruszył wszystkich, którzy się z odkrytych wakansów, kasztelanii, starostwa krakowskiego, a naostatek i buławy spodziewać

mogli. Warszawa się zaludniła gośćmi. Wkrótce potem śmierć biskupa chełmińskiego, Działyńskiego, również miała skutek; każdy nowy gość był dla królowej zagadką, miała-li go liczyć do przyjaciół lub do mniemanych wrogów. Pytać innych nie śmiała.

Wówczas więc to roztropne, przebiegłe i zręczne dziewczę, jeżeli samo na razie odpowiedzieć nie umiało, potrafiło przez swego Nietykszę i przez innych zasięgnąć informacyi o charakterze i stosunkach; a że królowa dotąd się nie zawiodła na tem co jej Bietka przynosiła, miała w niej ufność nieograniczoną.

Cieszyła się i dumną tem była Bietka, lecz łaski królowej zaczynały obudzać w jej francuzkim dworze zazdrość i niechęci. Właśnie w tym czasie zarysowało się jeszcze mocniej dosyć dla królowej przykre jej sług rozdwojenie. Zgryźliwa panna de Langeron, z pomocą podstępnego, milczącego a zazdrośnego pana de Conrade i kilku zniechęconych do pani i pana des Essarts, zaczynała u królowej intrygować przeciwko nim, podszeptując, że des Essarts, sekretarz królowej Desnoyers, a nawet spowiednik królowej ks. de Fleury, nadto dobrze byli z ambasadorem de Brégy, z którego królowa nie była kontenta.

Panna de Langeron wiedząc jak jej pożyteczną być może Bietka, starała się ją sobie pozyskać, ale ostrożne dziewczę nie chcąc do żadnego się obozu łączyć, stało obojętnie na boku. Nie mogła jej tego przebaczyć Langeronowa, i postanowiła szkodzić jej o ile mogła.

Miała zaś u królowej pewne wzięcie i wiarę, bo nikt tyle plotek jej nie przynosił co Langeronowa, i ona pierwsza odkryła, że p. de Brégy przywiózł sobie z Gdańska czy Elbląga bardzo piękną niemeczkę, którą w swym domu przechowywał. Królowę to zniechęciło ku niemu, a oprócz tego, już mu wiele niezręczności w postępowaniu miała do wyrzucenia.

Płatały się więc znowu na wszystkie strony pozostawiane sieci, na które baczne oko mieć musiała

Bietka, aby nie wpadła w nie i nie stała się ich ofiarą.

Coraz piękniejsza i cieplejsza wiosna skłoniła królową do przeniesienia się do Ujazdowa, naturalnie z królową razem. Zapowiedziano te przenosiny, a choć odległość od Warszawy była nie nieznaczącą, nie mogło się ruszyć królestwo nie przygotowując, gdyż Ujazdów oprócz najpotrzebniejszego sprzętu nie miał nic, nawet pościeli i łóżek.

Na zamku więc z tego powodu rozpoczął się ruch niezwykle: ładowano wozy, układano suknie do skrzyń; francuzi z obawy aby im tam czego nie brakło, gotowi byli co mieli ciągnąć za sobą.

Bietka pomagała o ile mogła.

Dni kilka upłynęło na tych przygotowaniach, przyspieszanych, gdyż król tęsknił za polowaniem, a nie mógł w lasy się puścić, zawsze z obawy podagry, która powracała.

Nazajutrz miano przenieść się już do Ujazdowa, gdy wieczorem przychodząca do królowej pani des Essarts, z pannami de Mailly i de Lucé, napomknęła jakby nawiasowo, iż Bietka gdzieś znikła.

Królowa właśnie się świeżo o nią dowiadywała, mając jakieś zapytanie pilne; posłano szukać po zamku.

Nikt jej nie widział. Nie było we zwyczaju, aby się oddalała bez opowiadania, nawet do Bieleckich lub do starej Mingajłowej. Można było przypuścić chyba, że na odjeźdnem coś pilnego ją zmusiło wybieść bez oznajmienia o sobie.

Oczekiwano cierpliwie powrotu, lecz gdy późnym już wieczorem, nie zjawiała się z powrotem, królowa niespokojna, raz i drugi swoich paziów wysłała na zwiady. Rozbiegli się oni po zamku, szukali nawet w ogrodzie pod mieszkaniem księcia Karola, gdzie nigdy chodzić była niezwykle, dopytywali kogo spotkali, ale nikt nie widział jej, nikt o niej nie wiedział.

Na to niespokojne dowiadywanie się o nią wpadł Nietyksza. Jak piorunem go to raziło. Naprzód zbiegł na dół do stajen i gdziekolwiek o Nesterackim się mógł dowiedzieć, ale Benedyka tego dnia jakoś nikt tu nie widział. Z zamku poleciał Nietyksza do Bieleckich, i tu jej nie było, a nawet od kilku dni Bielecka o niej nic nie wiedziała; naostatek popędził i dotarł litwin aż do Mingajłowej. Staruszka odpowiedziała na zapytanie, że w istocie Bietka była u niej na pożegnaniu, ale przed godziną sama jedna od niej wyszła, mówiąc, że musi na zamek pośpieszyć.

Miała się więc tam wprost udać, to nie ulegało wątpliwości.

Nietyksza nie wątpił już, że korzystając z ruchu, jaki na zamku panował w wigilię przenosin do Ujazdowa, łotr Nesteracki, który się odgrażał, że porwie dziewczę, musiał zasadzkę uczynić i nikczemny zamiar przyprowadzić do skutku.

Nie mogło się to dokonać gdzieindziej, jak na małej przestrzeni, która zamek dzieliła od pałacu Kazanowskich, Bernardyńskiego kościoła i klasztoru.

Tu właśnie nie było się u kogo dopytać.

Nietyksza stał rozmyślając, gdyż natychmiast chciał się pnąć w pogoń, gdyby tylko wiedział w jakim się ma udać kierunku, gdy spostrzegł w ulicy ogromnego draba, który się spokojnie z rękami w kieszeniach spodni kozackich przechadzał.

Był to ów Parfen, który z Warszawy się jeszcze nie oddalił. Zrozpaczony Nietyksza zbliżył się do niego.

W kilkunastu słowach dał mu zrozumieć o co chodziło.

— Ja tu już stoję od mroku — odparł kozak — bo czekam na kogoś... A no prawda, przed niespełną godziną szła kobieta jakaś od pałacu Kazanowskich.

Kozak opisał ubranie i postawę, które mogły Bietce przystać.

— Nie wiem co się stało—dodał Parfen—ale na rogu od kościoła kilku ludzi zabiegło jej drogę, otoczyli... Krzyknę nie było słyhać żadnego... gromadką potem pośpieszyli do krytego wozu, który czekał trochę dalej, no i popędzili zdaje się na most i za Wisłę chyba.

Z kilku pytań rzuconych jeszcze pośpiesznie Parfenowi okazało się, iż prawie pewno Bietka tu pochwyconą być musiała, że jej nsta zawiązano i uwieziono o mroku.

Co się stało z Nietykszą opisać niepodobna, oszalał, pędem pobiegł do dworu Radziwiłłowskiego, a tu go już żadna siła ludzka zahamować nie mogła.

Miał kilku dobrych towarzyszków i przyjaciół, krzyknął ku nim.

— Życie mi wzięto! Ratujcie, oddam ostatnią koszulę, kto żyw na pomoc, na koń, na koń!

W początku sądzono, że się upił biedny Nietyksza, lecz wiedziano o jego kochaniu na zamku, bo o niem ciągle prawili, przyjaciele więc serdecznie wzięli jego sprawę. A przytem po nocy sięś, pędzić, było to tak powabnem dla dziarskiej młodzieży, iż pół godziny nie potrzebowali, aby już konie posiadłane dosiąść i razem z Nietykszą puścić się na Pragę i Skarżyszów w świat.

Litwin tylko dobiegł na zamek i tu u bramy kornikowi królowej dwa słowa powiedział, aby natychmiast pani doniesiono co się stało; nie wąpił bowiem, że kozak go na drogę naprowadził.

Królowa dnia tego sama wieczerała, gdy des Essarts wpadła przestraszona z wiadomością, którą jej przyniesiono.

Załamala ręce Marya Ludwika i sama chciała biedz na skargę do króla, gdy szczęściem się zjawił koniuszy Platenberg.

Najgorszy był to poseł w tej sprawie, ale umiał uniżonością, pochlebstw i udawanemi doniesieniami

tak się wkraść w zaufanie znacznej części dworu, że się nim posługiwano, nie podejrzewając go o zdradę.

Platenberga więc królowa odprawiła natychmiast do króla. Ten, nim poszedł, wywołał Paca, z którym oba wszystko nawspół knowali i robili, pomagając sobie wzajemnie.

— Bietka znikła! — zawołał śmiejąc się Platenberg.

— Alarm u królowej, jakby jej największy skarb odjęto.

Pac nie okazał najmniejszego zdziwienia, zagryzł usta.

— A! — rzekł obojętnie — znikła! Może gdzie o mroku kogo bałamuci w kącie. To frant dziewczyna. Gdzież się podziać miała? Zabawiła u przyjaciół na mieście.

Co ty masz takim głupstwem króla zajmować pod wieczór, kiedy on spoczynku potrzebuje. Powiesz mu o tem jutro.

— Ale nie! straciłbym wiarę całą u Pani — przerwał Platenberg — królowa wie, że się Pan tak wczśnie do snu nie kładzie. Muszę oznajmić.

— Co? — zawołał wstrzymując go we drzwiach Pac. — Iść do króla? ha? to trzeba wiedzieć z czem? Cóż mu powiesz? że królowa się zlekła, bo dziewczyna się jej gdzieś zadziała. To śmiechu warte. Tymczasem ta z kąta gdzie wyjdzie i... *finita la comedia*. Dajże pokój. Ja ci mówię, wytłumacz się, a odłóż do jutra.

Król zaraz się zaniepokoi, spać nie będzie.

Uderzyło to Platenberga, że dobry jego przyjaciel tak mu jakoś odradzał krok, za który on sam tylko w każdym razie mógł odpowiadać.

— Już niechaj będzie co chce — rzekł — ja muszę spełnić rozkaz Pani. Puszczaj.

Pac spróbował go jeszcze powstrzymać, ale koniuszy stanowczo się oparł.

Władysława zastał już w łóżku.

— N. Pani mnie przysyła — rzekł — ze skargą. Dziewczyna jej ze dworu przepadła... lęka się o nią! Król się zawsze dziewczętami mocno interesował, podniósł się nieco.

— Jaka? która? — zapytał.

— Bietka! — mruknął Platenberg.

Zamyślił się Władysław.

— Bietka?

Tuż za Platenbergiem stał Pac przygotowany do tego, aby wrażenie tej wiadomości osłabić. Rozśmiał się.

— Miłościwy Panie — rzekł — dowodzi to dobrego serca N. Pani, że się tak niepokoi tą dziewczyną, ale to bałamutka jest. Zagadala się gdzieś, albo u przyjaciółki pani Bieleckiej, albo u starej Mingajłowej u pp. Kazanowskich, ona tam często chadza.

— Posłać mi zaraz do Bieleckich i do ciwunowej, słyszysz, zaraz! — zawołał król — a mnie dać znać, gdy się znajdzie.

Rozkaz był tak dobitny i takim głosem wyrzeczo-ny, że Pac, który się skrzywił, nie śmiał mu się sprzeciwiać, a Platenberg wyszedł go spełnić.

Przez czas jakiś zabawiał Władysława Pac nadaremnie, tak był zamyślony. W dobre pół godziny powrócił Platenberg z doniesieniem, że Bietki nie było ani w pałacu Kazanowskich, gdzie pod wieczór w istocie znajdowała się u Mingajłowej i opuściła ją o mroku, ani u Bieleckich.

Posłano do królowej. Sądzone, że się już może znalazła zguba. Marya Ludwika była we łzach, Bietki szukano po zamku całym, ale nigdzie ani śladu nie znaleziono.

Ponieważ przy tych poszukiwaniach po służbie i dworze pogłoska się rozeszła o zniknięciu i wielkiej troskliwości królowej, niektórzy z komorników zaczęli się z tem odzywać, iż sprawa była niczyja, tylko Nesterackiego.

Ale Pac wpadł na tych, co się ośmielili go podej-

rzewać, zakrzyczał, zahuczał i zagroził, aby nie śmieli się z tem odzywać.

Dziwnem się to wydało wielu, iż panna Amanda, którą znano jako nieprzyjaciółkę Bietki, gorąco bardzo się o to dowiadywała, wychodziła, rozpytywała i widocznie była niespokojną, a nieuradowaną.

Pac i ona coś szeptali i naradzali się. Jeden z przyjaciół Nietykszy, nie wiedząc, że on już był zawiadomiony, pobiegł do Radziwiłłowskiego dworu i przyniósł ztamtąd wiadomość, że Nietyksza miał już trop i w dziesięć koni puścił się w pogoń.

Pac, usłyszawszy to, jak szalony wpadł do panny Amandy.

Mogło to dać do myślenia, iż i wojewodzie i ona do zbytku się teraz interesowali tym wypadkiem, chociaż on w ogóle na zamku wywołał takie zajęcie, ruch, rozprawy, jak gdyby nie szło o ladajaką dziewczynę, ale o wielkiego rodu dziedziczkę.

Kilkadziesiąt lat temu porwanie podobne było daleko pospolitszym wypadkiem, teraz obyczaje się znacznie zmieniły, a ludzie uspokoili i najazdy stały się bardzo rzadkimi.

Królowa była nadzwyczaj zmartwioną losem swojej służki, a że jej uczyniono nadzieję, iż pogoń może doścignąć złoczyńcę i Bietkę wyswobodzić, spędziła niemal całą noc bezsenną na posyłaniu i dowiadywaniu się o nią.

Ludzie jednak rozsądniejsi słusznie czynili uwagę, że odbicie było prawie niepodobieństwem dla tego, iż nikt drogi, jaką się puścił gwałtownik ów, odgadnąć nie mógł, a z pewnością nie wybrał on największego gościńca, gdzie się mnóstwo spotykało podróżnych, tylko boczne manowce.

Imię Nesterackiego było na ustach u wszystkich, gdyż nie wątpiono, że on jeden mógł szalony ten rapt popełnić w przystępie jakiegoś szału dzikiego.

Nazajutrz rano, gdy żadna wieść jeszcze o pogoni nie nadeszła, a we dworze Radziwiłłowskim nie było

z powrotem nikogo, choć królowa czuła się zmęczoną, podróż (!) owa do Ujazdowa, którą śmiejąc się tak nazywano, przysła do skutku. Ale Marya Ludwika część tylko dworu swojego wzięła z sobą do Ujazdowa, nie chcąc królowi przyczyniać tam troski w ugaszczaniu liczniejszego orszaku.

Królewicz Zygmunt i panna Amanda z nim pozostali w Warszawie; niezawsze bowiem król był z ukochanego syna rad i często jego prawdomówności i naiwności się obawiał. Kilka razy już w znaczniejszych towarzystwach takie się chłopięciu wyrzywały zeznania, dotyczące niemki i ojca, że potem go za karę po kilka dni z za klauzury nie wypuszczano.

Z południa do Ujazdowa Kazanowski przywiózł wiadomość, iż pogoń, która się puściła za porwanem dziewczęciem (mówiono o niem w całej Warszawie) prawie na oku miała tego co ją porwał i niezmordowanie ściagała, spodziewając się odzyskać. Królowa się tem wielce uradowała.

Przybycie marszałka do Ujazdowa miało jednak cel inny nie samo tylko uspokojenie o los Bietki. Kazanowski przybywał głównie dla rozmowy z Maryą Ludwiką w sprawie najważniejszej — pożyczki pieniędzy na wojnę.

Zbliżenie się do królowej, do czego się nie przyznawano, nie co innego spowodowało, jak ta potrzeba. Wiadomo było, że królowa rozporządzała znacznym kapitałem złożonym w Amsterdamie, który w każdej chwili mógł być podniesiony. Część jego była już w Gdańsku. Ona sama i francuzi życzyli jej go obrócić na zakupienie dóbr we Francji; król spodziewał się pozyskać na tę wojnę, która znowu zapalała go do najwyższego stopnia.

Marszałek znalazłszy królowę samą, bo Władysław z krzesłem się kazał zanieść do zwierzyńca i tam z ptaszniczek do królików strzelał, rozpoczął otwarcie rozmowę.

— Nie przychodzę ja do W. Król. Mości od kró-

la — rzekł — bo on wcale o tym kroku nie wie, ale przez tę cześć i przywiązanie, jakie mam dla niej, jako przyjaciel pana mojego z poradą i życzeniem.

Wojna przeciwko poganom była oddawna i jest marzeniem naszego bohatera. Od bardzo dawna starał się on ją przyprowadzić do skutku, ale teraz dopiero staje się ona możliwą. Pozyskujemy właśnie w tych dniach cara moskiewskiego, który się obo wiąże być naszym sprzymierzeńcem, co jest tryumfem wielkim; mamy wenetów i mieć będziemy innych książąt włoskich i niemieckich.

Ale wszystkich nawet w. kniazia Moskwy łatwiej nam pozyskać, niż naszą szlachtę już zniewieściałą, obawiającą się wojny długiej, a od niej zależy u nas pobór na wojsko, to jest koszt. Nie dadzą podatków na wojnę, aż w ostateczności. Król wszystkie swe środki wyczerpał na działa i zaciągi, ale te są niedostateczne, czas nagli, potrzebuje pieniędzy, a niczem go sobie skuteczniej ująć nie można, jak posiłkując mu do osiągnięcia dawno upragnionego celu. Przychodzę więc z radą i życzeniem, abyś W. Król. Mość zaofiarowała swą pomoc.

Marya Ludwika myślała chwilę.

— Co do mnie — rzekła — z największą ochotą i gotowością oddam N. Panu nietylko to, czego żąda, ale wszystko co mam; nie mogę jednak tego uczynić bez wiedzy Francyi i opiekunów moich, którym choćby przez grzeczność winnam zapytanie ich o zdanie. Nie zabierze to czasu wiele.

— Mogę więc ja — wtrącił Kazanowski — uczynić królowi nadzieję?

Królowa przyzwoliła na to i marszałek poszedł do króla.

Rzecz napozór wydawała się bardzo prostą i łatwą i za taką ją miała Marya Ludwika, która tegoż dnia zawiadomiła p. de Brégy przez sekretarza swego Desnoyers, że widzieć się z nim pragnie.

Brégy pośpieszył tak, iż przed wieczorem był już w Ujazdowie.

Nie lubiła go królowa, tym razem jednak narada z nim była nieuniknioną. Na pierwsze słowo w tym przedmiocie francuz odparł tem, że oddawna był o to już szturmowany przez króla i o projekcie pożyczki wiedział, ale nie mówił o nim, bo go nie życzył ani popierać, ni przyprowadzać do skutku.

— Wiem to od pp. senatorów—rzekł w końcu de Brégy — iż cała niemal rzeczpospolita jest przeciwko wojnie, z wyjątkiem bardzo niewielu osobistych króla przyjaciół. Szlachta nie chce grosza dać na nowe zaciągi, a te, które król z własnej szkatuły poczynił, widzi złem okiem i na sejmie się ich rozpuszczenia domagać będzie gwałtownie.

Interesem jest waszym, miłościwa pani — ciągnął dalej — zyskać sobie miłość, choćby dla tego, aby szlachta wyposażyla ją jak należy.

Pożyczając królowi na tę wojnę, W. Król. Mość zniechęcisz cały kraj, całą szlachtę.

— Na tobym nie zważała, panie de Brégy—przerwała Marya Ludwika — gdybym jedno serce króla wzamian pozyskać mogła. Niestety, dziś to dla mnie wątpliwem nawet.

Były chwile, w których ludziłam się jakąś nadzieją, ale widzę, że król powraca do swoich obyczajów, a dla mnie jest zaledwie w oczach ludzi uprzejmym, serca nie ma.

Wręcz jednak odmówić tych nieszczęsnych pieniędzy nie mogę, bo bym wywołała burzę, a tych mam dosyć. Pomóż mi waćpan formalnościami do przeciągnięcia tej sprawy.

To, o czem p. de Brégy nie mówił, przyczyniało się także do zwlekania. Król francuzki żądał pozwolenia zaciągania w Polskę żołnierza, gdy z drugiej strony były zapewnione posiłki Austrii w ludziach. Władysław VI więc z tem upoważnieniem do zaciągów się wahał, a posel chciał, wyrabiając u królo-

wej pożyczkę, wzamian przytem upiec to, co mu powierzono.

Plątało się tak dokoła nieszczęśliwej królowej mnóstwo nici pozaciąganych, które groźne dla niej być mogły, a dobrego jej nic nie obiecywały. Wiedziała, że król niemki znienawidzonej pozbywać się nie myślał, chociaż Kazanowski przyrzekał, że ją za mąż za ubogiego Czartoryskiego wyswata.

Oprócz tego krótkotrwałe liche miłostki z mieszcankami warszawskimi, o których względy dla króla starali się na wypródki Pac i Platenberg, bezwstydnie się przeciągały. Obu tych ichmościów surowsi ludzie przezwali „koczotami“ i znani byli pod tem mianem obelżywem.

W ulicach Warszawy widywano te postrojone raziąco ichmościanki, które się względami na zamku uzyskaniami niemal chlubiły. Nigdy zbytek w ubiorach tej klasy ludności nie dochodził takich rozmiarów i współcześni świadczą jak raz ił a bił w oczy.

Panna Amanda patrzała przez szpary na te fantazyje zdzieciniałego i zepsutego pana i tem sobie łaski jego zaskarbiała.

Królowej i wielu z nią zdawało się, że wojna mogła ten sposób życia zmienić i zgorszeniu położyć koniec, bo ona jedna tak poruszała i unosiła Władysława, że dla niej zapominał o wszystkim.

Z tej więc strony pomoc dana była w interesie królowej.

Oprócz p. de Brégy, Kazanowskiego tylko i ks. Radziwiłła miała Marya Ludwika, którego rady mogła zasięgnąć. Ten ostatni zaś był wywolywaniu wojny tak zasadniczo przeciwnym, iż o niej wspomnieć, ani mówić nie dawał.

— Na wojnę z turkiem nie dam ani jednego człowieka, ani złamanego szeląga, całą siłą się będę jej przeciwil.

Ile razy to od niego lub kogokolwiekbaż słyssał

król, krew mu nabiegała do oczów, trząsł się i mru-
czał:

— Zmuszę szlachtę do wojny, mam kozaków
w ręku, którzy nie rzeczypospolitej, ale mnie służyć
będą.

W tym to celu przez Ossolińskiego pośrednictwo
zawiązały się i przeciągały układy z Siczą, a teraz
po wyprawieniu Płazy, który nadto długo nie wra-
cał, król już mówił o tem, że kogoś należało wypra-
wić na Niż, aby stosunkom tym nie dać zasnąć. Ale
cóż? kozacy kłaniali się, bili czołem, obiecywali po-
słuszeństwo, a rękę wyciągali. Widzieli w tem czy-
sty zysk dla siebie, aby podlegać wprost tylko kró-
lowi, nie sejmom i szlachcie, o interesie jednak nie
zapominali.

— Chcą mieć pułki? — mówiła starszyzna — wie-
dzieć powinni, że żołd każdemu żołnierzowi płacić
potrzeba. I nam się on należy... zatem...

Pan ataman, śmiejąc się do posła, wyciągał rękę,
a drugą na dłoni pokazywał, iż liczyć trzeba było ta-
lary.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.







Biblioteka Raczyńskich

JIK 647



JIK0647